KUPUJ Z GŁOWĄ
Poradnik na czas drożyzny

CESARSKIE CIĘCIA
Dlaczego natura przegrywa ze skalpelem

HONGKONG
Złamany duch wolności

DZIECI KSIĘŻY
Niewidzialne w Kościele

MOBY DICK
Powrót białego wieloryba

Kraków 3 lipca 2022 nr 27 (3808) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Przygoda jest tutaj

ADAM ROBIŃSKI O WAKACJACH, KTÓRE NIE KOSZTUJĄ

W WYDANIU DODATEK
FESTIWAL OTWARCIA W ZAMKU KRÓLEWSKIM NA WAWELU

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379425

REKLAMA

WYSTAWA CZASOWA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

ŻYDOWSKA KULTURA KULINARNA

11.03–12.12.2022

polin.pl

Współorganizator:

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Mecenas:

Jankilevitsch Foundation

Wsparcie finansowe wystawy:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy wystawy:

ARCHIWA PAŃSTWOWE NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

JEWISH FOOD SOCIETY

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

Partnerzy medialni:

zwierciadło, sens, TYGODNIK POWSZECHNY, VOGUE, wyborza.pl, wyborza.pl WARSZAWA, ams, TOK FM, VIVA!, Newsweek, HISTORIA, KUKBUK.pl, K MAG, onet

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

KSIĄŻKI W TYGODNIKU

specjalnie dla WYDAWCÓW i instytucji kultury!

Nadchodząca jesień w „Tygodniku Powszechnym” pełna będzie literackich odniesień. Kolejna edycja Festiwalu Conrada oraz jubileuszowe 25. Targi Książki w Krakowie to dwa ważne punkty w kalendarzu wszystkich miłośników dobrej książki, które zagoszczą na naszych łamach. W październiku wydamy obszerny **magazyn literacki**, w którym znajdą się m.in. zapowiedzi i recenzje nowości książkowych, wywiady z autorami, eseje o literaturze.

Zapraszamy wydawnictwa, księgarnie oraz organizatorów wydarzeń literackich do obecności na łamach „TP” oraz w serwisie TygodnikPowszechny.pl/ksiazki.

Kontakt: **literacki@tygodnikpowszechny.pl**
lub telefonicznie: **Anna Pietrzykowska 602 590 416**.

24 Lotnisko jak z bajki
PIOTR WÓJCIK
W rządowej wizji Centralny Port Komunikacyjny przenosi Polskę do pierwszej ligi lotnictwa pasażerskiego. Nikt nie mówi, że odbędzie się to kosztem regionalnych portów, a cała idea grozi porażką.

30 Dzieci Boga
ROZMOWA Z VINCENTEM DOYLEM:
Karą za szczerość i publiczne przyznanie, że jest się ojcem, nie powinno być wydalenie ze stanu duchownego.

42 Pożegnanie z Hongkongiem
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO
1 lipca zawita tu chiński przywódca Xi Jinping, by osobiście odebrać przysięgę od nowego szefa lokalnej administracji. Będzie nim człowiek, którego biografia zwiastuje erę represji.

54 Ład nieład
MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI
Kiedyś była symbolem sowieckiej motoryzacji. Dziś staje się symbolem Rosji Putina: obłożonej sankcjami i odciętej od zachodniej technologii.

60 Wojny klonów
ROZMOWA Z KEVINEM FOSTEREM, BIOLOGIEM:
Bakterie mają znakomite nosy. Są w stanie wykryć sygnały świadczące o tym, że w pobliżu jest wróg lub przyjaciel, i rzucić się do walki lub rozpocząć współpracę.

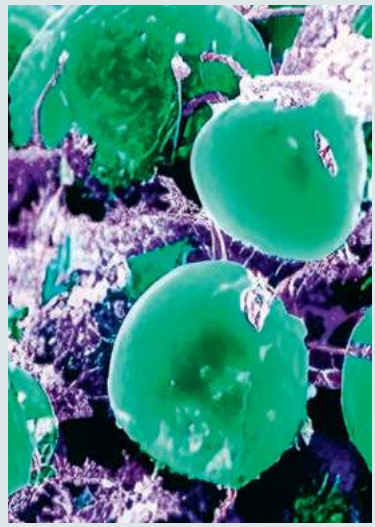

70 Znak wieloryba
MICHAŁ SOWIŃSKI:
Pojawia się we wszystkich kulturach i mitologiach świata jako stwór wyniosły i groźny, emanacja potęgi natury, nieludzkie ukoronowanie dzieła stworzenia.

SEBASTIAN WIELECHOWSKI / SUPER EXPRESS / EAST NEWS // ARCHIWUM PRYWATNE // ANDREY RUDAKOV / BLOOMBERG / GETTY IMAGES // HELMUT CORNELI / ALAMY / BE&W // BSIP / GETTY IMAGES // VERNON YUEN / NURPHOTO / GETTY IMAGES

6 Szkolne rachunki i porachunki
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Cięcie na życzenie
MAŁGORZATA NOCUŃ: *Najbezpieczniejsza droga dziecka na świat nie prowadzi przez „cesarkę”*

24 Lotnisko jak z bajki
PIOTR WÓJCIK

26 Trzeźwy brzeg Wisły
DOROTA DROŚ: *Nie wypiła zimą, mając pod stopami skrzypiący śnieg. I latem, czując w letnim powietrzu mirabelki*

WIARA

30 Dzieci Boga
ROZMOWA Z VINCENTEM DOYLEM

35 Kolorowa czapka
ANDRZEJ OTCZYK: *Parafia jest maleńka – zaledwie sto osób, ale znana nawet za granicą. Za sprawą energicznego proboszcza*

38 Błądzenie jest boskie
PIOTR SIKORA: *Włóczenie się bez celu może być nie gorszą praktyką duchową niż pielgrzymka do jakiegoś świętego miejsca*

FOTOESEJ

40 Cztery historie
ANDRZEJ LAZAR ZE LWOWA

ŚWIAT

42 Pożegnanie z Hongkongiem
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

46 Trumny przyjeżdżają codziennie
ANDRZEJ MUSZYŃSKI Z WOŁYNIA: *Dubno w czwartym miesiącu inwazji jest ukraińskie jak nigdy wcześniej*

TEMAT TYGODNIKA

3DSCULPTOR / STOCK.ADOBE.COM

12 Jak samemu zrobić tarczę antyinflacyjną
MAREK RABIJ
Przez dwa ostatnie tygodnie sprawdzałem, czy bez mocnego zaciskania pasa można ograniczyć wydatki o wysokość inflacji. Wnioski są budujące: możemy pokonać drożyznę bez pomocy rządu i NBP.

DODATEK

65 FESTIWAL OTWARCIA W ZAMKU KRÓLEWSKIM NA WAWELU

FELIETONY

29 JACEK PODSIADŁO
39 WOJCIECH BONOWICZ **58** HANNA KRALL
81 JAN KLATA
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
ADAM ROBIŃSKI, OKOLICE STOLICY, 21 CZERWCA 2022 R.
FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA

Redaktor prowadzący:
MACIEJ MÜLLER

49 Kaliningradzki pretekst
WOJCIECH KONOŃCZUK: *Litwa wdraża unijny zakaz tranzytu do Kaliningradu rosyjskich towarów objętych sankcjami*

50 Tallinn patrzy na Kijów
TOMASZ OTOCKI: *W cieniu inwazji sąsiadująca z Rosją Estonia musi radzić sobie z kryzysem rządowym*

52 Powtórka z rozrywki
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU *o niestabilnym politycznie Izraelu*

HISTORIA

54 Ład nieład
MARTA PANAS-GOWORSKA I ANDRZEJ GOWORSKI

NAUKA

60 Wojny klonów
ROZMOWA Z KEVINEM FOSTEREM, BIOLOGIEM

64 Dwanaście szczepów
ŁUKASZ KWIATEK: *Prowadzony od 34 lat eksperyment szuka odpowiedzi na fundamentalne pytania biologii ewolucyjnej*

KULTURA

70 Znak wieloryba
MICHAŁ SOWIŃSKI

75 Koty to wiedzą
PIOTR KOSIEWSKI: *Sztuka Aleksandry Waliszewskiej współgra z rzeczywistością naznaczoną lękiem*

78 Zawsze będzie inaczej
KAJETAN PROCHYRA: *Gitara Billa Frisella ogrywa każdy element amerykańskiego pejzażu*

89 Król Ameryki
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Elvis”*

WAKACJE

82 Obieżykraj
ROZMOWA Z ADAMEM ROBIŃSKIM, KRAJOZNAWCĄ: *Zawsze jest coś do odkrycia*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Wyspa Kaliningrad [Rosyjska Ruletka]
Litwa ogranicza tranzyt do obwodu kaliningradzkiego. Pomimo odpowiedzi Kremla, już zapowiedziano kolejne sankcje
– pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** | **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

JAGIELSKI STORY: Kongo i Rwanda
Partyzancka grupa M23 zajęła kongijskie miasto Banagana. Czy Afrykę czeka znów wojna? Na podkast zapraszają **WOJCIECH JAGIELSKI** i **KRZYSZTOF STORY** | **tygodnikpowszechny.pl/podkast**

Serwisy specjalne: patrz szerzej
GOSPODARKA TRZESZCZY
Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?
WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

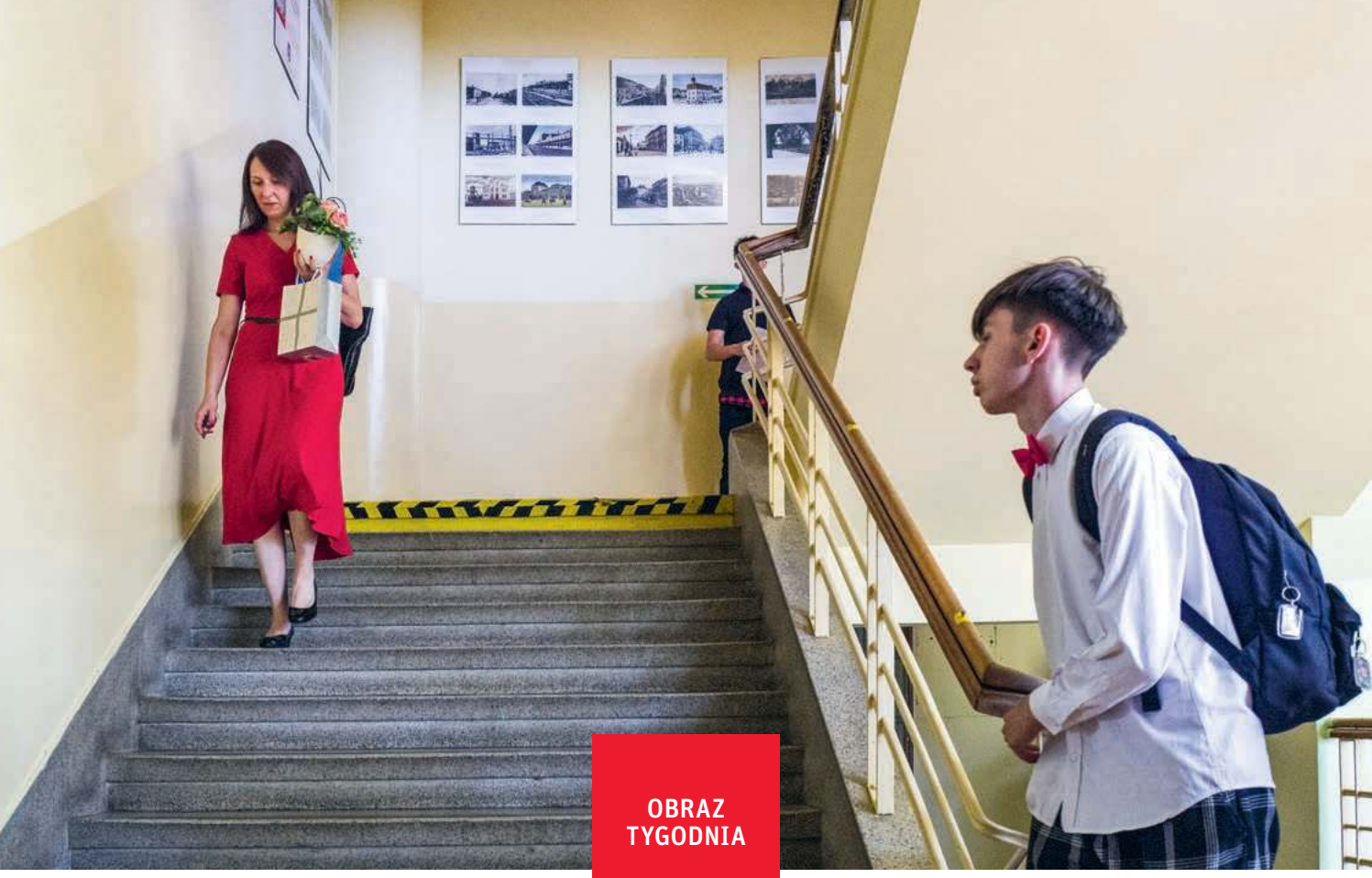

OBRAZ TYGODNIA

SZKOLNE RACHUNKI I PORACHUNKI

Wiceminister edukacji i nauki fantazjujący o 11-tysięcznych zarobkach nauczycieli wpisał się w polską tradycję: każdy ma tu swoją, politycznie słuszną „prawdę" do opowiedzenia.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Tomasz Rzymkowski z przytupem zakończył wyjątkowo trudny rok szkolny 2021-22 – jeszcze częściowo pandemiczny, a już dotknięty wynikającym z wojny kryzysem uchodźczym. Wiceminister edukacji i nauki powiedział w Radiu Zet, że zna nauczycieli zarabiających – podobnie jak on za pracę ministra „siedem dni w tygodniu" – 11 tys. zł na rękę, zastrzegając, że ma na myśli pedagoga zarobkującego w dwóch szkołach. A na skierowaną doń uwagę prowadzącej wywiad dziennikarki, iż „widziały gały, co brały", odparł, że nauczyciele „też wiedzieli, co brali". Później Rzymkowski przeprosił „osoby, które poczuły się urażone", od jego słów zdystansował się też rzecznik rządu, ale media i internetowe fora rozgrzały się do czerwoności od oburzenia oraz doniesień, jakie są „prawdziwe zarobki nauczycieli".

Kłopot w tym, że w Polsce tę prawdę trudno ustalić. Po pierwsze z tego powodu, że nasz system nauczycielskich płac bije światowe re-

Zakończenie roku szkolnego w Zespole Szkół Technicznych w Tarnowie. 24 czerwca 2022 r.

kordy stopnia skomplikowania. Stan konta pedagoga zależy od wykształcenia, stopnia awansu zawodowego (dziś są cztery: od stażystów, przez kontraktowych i mianowanych, aż po – stanowiących większość – dyplomowanych), stażu, miejsca zamieszkania i innych czynników, związanych głównie z pobieraniem bądź niepobieraniem wyjątkowo licznych dodatków. Powód drugi to tradycja, w którą wpisał się wiceminister: niemal każdy ma u nas swoją, skrojoną na polityczne potrzeby „prawdę" o poborach pedagogów. Związkowiec czy polityk opozycji poda więc – zwykle zaniżone, bo niezawierające dodatków – wartości pensji zasadniczej (brutto między 3 tys. z hakiem stażysty a nieco ponad 4,2 tys. dyplomowanego), polityk obozu rządzącego zaś tak zwane średnie wynagrodzenie nauczycieli (brutto między 3693 a 6795 zł). „Tak zwane", bo zawierające wszelkie możliwe dodatki, a więc mające częściej odzwierciedlenie w excelowskich tabelkach ministra niż w realnym życiu.

Prawda o dzisiejszych zarobkach polskiego pedagoga to nic innego jak wartości mieszczące się w „widełkach" między tymi wersjami. Oznacza to, że nauczyciel stażysta dostaje na konto (netto) niecałe 3 tysiące złotych, kontraktowy od niecałych 3 tys. do nieco ponad 3 tys., mianowany od około 3 do niecałych 4 tys., a dyplomowany od niecałych 3,5 tys. do niecałych 5 tys. zł miesięcznie. Dużo to czy mało? Biorąc pod uwagę stopień psychicznego obciążenia, ilość pracy sięgającą wedle ustaleń Instytutu Badań Edukacyjnych przeciętnie 46 godzin tygodniowo, a także kolejne systemowe przesilenia (reforma, pandemia, wojna) – skandalicznie mało. Tej oceny nie jest w stanie zmienić ani wprowadzona niedawno nędzna, nieco ponad 4-procentowa waloryzacja – zwana przez ministerstwo dla niepoznaki podwyżką – ani planowane od 1 września zwiększenie pensji dla pedagogów wchodzących do zawodu. Ani tym bardziej coś, co rząd położył na negocjacyjnym stole, ale nie zostało uchwalone: „podwyżkę" oznaczającą tyleż większe pensje, co... proporcjonalnie większy nakład pracy.

Jesień może przynieść nie tylko rekordową skalę odejść z zawodu (widać je już teraz, np. na Mazowszu jest 3 tysiące wakatów), ale też największe od wiosny 2019 r. niepokoje wśród przedstawicieli tej profesji. Związek Nauczycielstwa Polskiego wysłał do swoich ogniw terenowych ankiety z pytaniami m.in. o ewentualne formy upominania się o lepsze warunki pracy – wyniki będą znane lada chwila, ale już teraz mówi się o możliwym proteście. Jeśli wybuchnie, aktywny medialnie wiceminister edukacji i nauki będzie się mógł poczuć jednym z jego ojców. ©℗

TADEUSZ KONIARZ / REPORTER

Obligacje pachną już kryzysem

MAREK RABIJ

Dwudziestego czerwca rentowność polskich 10-letnich obligacji skarbowych przekroczyła 8 proc., mimo że jeszcze kilka dni wcześniej oscylowała na poziomie 7 proc. Nazajutrz, 21 czerwca, GUS podał jednak niższe od oczekiwań dane o produkcji przemysłowej i wynagrodzeniach w maju. Efekt? Już w czwartek rentowność tychże obligacji – czyli procent, na jaki gotowi byli pożyczyć rządowi inwestorzy – była znowu poniżej 7 proc.

Punkt procentowy może się wydawać dobrą zmianą, ale w świecie obligacji skarbu państwa, jednego z najbezpieczniejszych i najstabilniejszych papierów wartościowych, podobne skoki w tak krótkim czasie zdarzają się rzadko i zwykle zwiastują kłopoty. Inwestorzy, którzy widzą, że polski rząd potrzebuje na gwałt gotówki do zbilansowania rozdętych wydatków budżetowych, w ostatnich miesiącach żądali za pożyczki coraz więcej. W efekcie rentowność polskich obligacji, która na początku ub. roku nie przekraczała jeszcze 2 proc., rosła z miesiąca na miesiąc, aż do szczytu z początku ubiegłego tygodnia. Nagły spadek, jak twierdzą ekonomiści, świadczy o tym, że pożyczający zaczęli obstawiać scenariusz, w którym podwyżek stóp procentowych nie będzie tak dużo, jak dotychczas zakładali. Gdyby NBP nadal mocno windował stopy, rosłaby także przestrzeń dla dalszego wzrostu rentowności obligacji. Większe prawdopodobieństwo wyhamowania polskiej gospodarki – a z nią także płac, konsumpcji oraz wzrostu bezrobocia – sprawia jednak, że bank centralny będzie musiał uwzględnić to ryzyko w swojej polityce i wcześniej zakończyć cykl podwyżek. Kredytobiorcy się ucieszą, ale powodów do radości jest tak naprawdę niewiele. Coraz mocniej pachnie kryzysem. ©℗

Słońce, wiatr, energia. Polskie OZE biją rekordy

PO POŁUDNIU 19 CZERWCA największym źródłem energii w Polsce stało się słońce. Panele fotowoltaiczne dawały wtedy więcej mocy niż spalanie węgla kamiennego. Razem z farmami wiatrowymi między godziną 14 a 15 wyprodukowały 9687 MWh – ponad połowę krajowego zapotrzebowania. Stanowi to ekwiwalent energii otrzymanej z tysiąca wagonów węgla. Jednak dużo ważniejszy niż pojedyncze piki osiągów jest ogólny trend: rekordów na rynku polskich odnawialnych źródeł energii ostatnio nie brakuje.

56

procent produkowanej w Polsce energii w niedzielne popołudnie 19 czerwca pochodziło ze słońca i wiatru.

24 czerwca (piątek, a więc zwykły dzień roboczy, kiedy nasze zapotrzebowanie na prąd jest około 25 proc. wyższe niż w weekend) wiatr i słońce okazały się wydajniejsze od całego naszego węgla brunatnego. Wiatraki (13,7 proc.) oraz panele (12,6 proc.) wyprodukowały tego dnia ponad jedną czwartą prądu w Polsce – o prawie 15 GWh więcej niż elektrownie w Bełchatowie, Turowie i Koninie razem wzięte.

Warto spojrzeć na ten problem w jeszcze większej skali: w 2022 roku OZE (słońce, wiatr i elektrownie wodne, nie licząc spalania biomasy) stanowią ponad 18 proc. polskiego miksu energetycznego. W maju moc zainstalowanych w kraju paneli fotowoltaicznych przekroczyła 10 GW, co daje nam już siódme miejsce w Europie. Dalszy rozwój energetyki odnawialnej będzie wymagał jednak zwiększenia możliwości magazynowania energii (np. budowy elektrowni szczytowo-pompowych) oraz zmiany niektórych przepisów. Przykładem jest reguła 10h, która na lata zablokowała budowę nowych farm wiatrowych. Można je budować tylko wtedy, jeśli w promieniu 10-krotnie większym niż wysokość turbiny nie ma zabudowań mieszkalnych, lasów i różnych form ochrony przyrody, czyli w praktyce niemal nigdzie.

©℗ KRZYSZTOF STORY

Więcej badań u lekarza

SZERSZĄ NIŻ DO TEJ PORY opiekę otrzymają pacjenci od 1 lipca w poradniach podstawowej opieki zdrowotnej. Ministerstwo Zdrowia powiększa pakiet badań, które będzie mógł zlecać lub przeprowadzać lekarz POZ, bez konieczności wysyłania pacjenta do specjalisty (chodzi m.in. o testy anty-HCV, poziomu witaminy B12 czy szybkie testy potwierdzające lub wykluczające bakteryjne podłoże infekcji u dzieci).

To dobry kierunek zmian – cieszą się organizacje pacjentów, eksperci i lekarze. Dobry, bo więcej badań wykonywanych na poziomie POZ to szybciej wychwycone problemy zdrowotne, ale też zmniejszenie kolejek w poradniach specjalistycznych, do których część pacjentów wysyłano wyłącznie po skierowania. Lekarze POZ nie kryją jednak obaw: nie wiedzą, ile pieniędzy otrzymają na nowe zadania ani jakie będą zasady, według których przyjdzie im kontraktować badania w laboratoriach. Martwią się też, że z nowych możliwości w pełni skorzystają przede wszystkim pacjenci w wielkich miastach, a inni będą się musieli zadowolić dotychczasową ofertą poradni POZ. Dlatego mówią o ryzyku powstania „POZ dwóch prędkości".

Taki scenariusz stałby w sprzeczności nie tylko z oficjalnymi deklaracjami o ujednolicaniu standardów opieki bez względu na miejsce zamieszkania, ale też zdrowym rozsądkiem i potrzebami – zwłaszcza w kontekście długu zdrowotnego, który narósł po pandemii. © MAŁGORZATA SOLECKA

Ścigaj rzucona na front migracji

JEDNO STANOWISKO MINISTERIALNE za trzy głosy. Tak tania jeszcze nie była polska polityka. Agnieszka Ścigaj dostała tekę ministra ds. integracji i – wedle premiera – ma się zająć „zjawiskami o wiele szerszymi" niż ukraińscy uchodźcy.

To fakt, trudno rozpatrywać kwestię migracyjną w oderwaniu choćby od zmian klimatu, które stworzą ogromną presję, głównie z kierunku Afryki. Wydaje się jednak, że tak naprawdę nie o uchodźców tu chodzi, bo tymi zajmuje się kilka instytucji. „Najszerszym" ze zjawisk, na które odpowiedziano tym powołaniem, są kłopoty w koalicji z utrzymaniem większości. Chodzi o trzy głosy koła Sprawy Polskie (Ścigaj, Girzyński, Sośnierz) oraz komfort przy kolejnych głosowaniach. Ceną za to mają być miejsca dla nich na listach wyborczych PiS. Co ciekawe, zarówno Ścigaj (sprawa szefa NIK), jak i Sośnierz (pandemia) byli do niedawna krytykami rządu. Może teraz będą grzeczniejsi. ©℗ KĘS

KRAJ W SKRÓCIE

NAJWAŻNIEJSZE

Tydzień po złożeniu rezygnacji z funkcji wicepremiera Jarosław Kaczyński powiedział PAP, że nie jest już członkiem rządu (wiadomości nie podały wcześniej ani Kancelaria Premiera, ani Kancelaria Prezydenta). „Postanowiłem, że muszę się skoncentrować na tym, co jest dla przyszłości Polski najważniejsze. To nie tak, że przeceniam swoją rolę, chodzi po prostu o to, że partia musi odzyskać werwę" – stwierdził.

NAJŚMIESZNIEJSZE

W ramach odzyskiwania werwy lider PiS ruszył w Polskę i podczas spotkań z wyborcami żartował z postulatów środowisk LGBT+ dotyczących możliwości korekty płci, sprowadzając je do poziomu frazy: „do godziny 17.30 byłem mężczyzną, ale teraz jestem kobietą".

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

NAJGŁOŚNIEJSZE

Wygląda więc na to, że tematem zbliżającej się kampanii znów będą kwestie obyczajowe, a nie np. drożyzna. Wybitnie pomoże w tym podręcznik do przedmiotu Historia i Teraźniejszość, zawierający nie tylko krytykę ideologii gender, ale także rockowego boomu z lat 60.

NAJSZYBSZE

Tymczasem w Sejmie odrzucono obywatelski projekt liberalizujący ustawę antyaborcyjną. Dokument padł już w pierwszym czytaniu, choć wcześniej posłowie PiS deklarowali, że projekty obywateli powinny być kierowane do prac w komisjach.

Na wschodzie Kongo bez zmian

WOJCIECH JAGIELSKI

W afrykańskim kolosie, jakim jest Demokratyczna Republika Konga, wybuchło nowe powstanie, a Kongijczycy skarżą się, że znów wywołała je ich sąsiadka – maleńka, lecz potężna wojskowo Rwanda.

Rwanda najeżdża DRK od końca lat 90., odkąd władzę w Kigali przejęli w 1994 r. partyzanci Tutsi, przybyli na ratunek rodakom mordowanym przez Hutu. Pokonani Hutu uciekli przed zemstą do wschodniego Konga, gdzie w obozach uchodźców założyli państwo na wygnaniu i szykowali się, by odzyskać władzę w Rwandzie. Tutsi z Kigali uznali, że jedynym sposobem, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, będzie przekształcenie wschodniego Konga w strefę buforową. W 1996 r. wywołali powstanie, które zakończyło się upadkiem rządu w Kinszasie. Kolejny bunt i rwandyjski najazd nastąpiły w 1998 r., gdy ustanowiony w Kinszasie prezydent chciał wyzwolić się spod rwandyjskiej kurateli. Rebelia przekształciła się w najkrwawszy konflikt współczesnej Afryki. Po stronie rebeliantów znów stanęły Rwanda, Uganda i Burundi, a po stronie rządu z Kinszasy – Zimbabwe, Angola, Namibia, Sudan i Czad. W wojnie, którą przerwała w 2003 r. interwencja ONZ, zginęło ok. 5 mln ludzi.

Kolejne wzniecane przez Rwandę bunty kongijskich Tutsich na wschodzie kraju – w 2008 oraz w 2012 r. – wybuchały, ilekroć rząd w Kigali uznawał, że Kinszasa nie dba o jego bezpieczeństwo. Zagrożone władze z Kinszasy podpisywały nowe układy pokojowe, gwarantowały miejscowym Tutsim rządy na wschodzie DRK, a Rwandzie bezpieczeństwo.

Najazdom towarzyszyła grabież lokalnych surowców. W rabunku przodują Uganda i Rwanda – i wszystko wskazuje, że to rywalizacja o wpływy tych niedawnych sojuszniczek stała się powodem najnowszego powstania, wywołanego w maju przez kongijskich Tutsich. Jesienią 2021 r. rząd z Kinszasy pozwolił, by ugandyjskie wojsko wkroczyło do Konga i urządziło tu obławę na ukrywających się ugandyjskich rebeliantów. Rwanda uznała to za zagrożenie dla jej wpływów – i wznieciła nową rebelię, by przywołać Kinszasę do porządku. ©℗

Więcej w serwisie specjalnym na **TygodnikPowszechny.pl/StronaSwiata**

LEAH MILLIS / REUTERS / FORUM

ROSYJSKIE RAKIETY uderzały w ostatnich dniach na całej Ukrainie: od Jaworowa i Saren na zachodzie przez Czerkasy i Kijów po Odessę i Mikołajów; było wiele ofiar. Tak Rosja odpowiadała na serię politycznych szczytów – UE w Brukseli, grupy G7 w niemieckich Alpach i NATO w Madrycie – podczas których głównym tematem była rosyjska agresja; w Brukseli Ukraina i Mołdawia otrzymały status krajów kandydujących do UE. Tymczasem na froncie armia rosyjska posuwa się naprzód: po zajęciu Siewierodoniecka atakuje Łysyczańsk. Prezydent Zełenski ponawia apele o broń. W tym tygodniu USA mają podjąć decyzję o przekazaniu Ukrainie systemów przeciwlotniczych, by miała czym się bronić przed rakietami i lotnictwem. Na zdjęciu: usuwanie 500-kilogramowej bomby, która spadła na dach budynku, ale nie wybuchła. Charków, 23 czerwca 2022 r. ©℗ WP

Sąd Najwyższy USA ogranicza prawo do aborcji

ZA OCEANEM MIAŁY MIEJSCE dwa historyczne wydarzenia. Jedno z nich cofnęło Stany Zjednoczone do lat 70. XX stulecia.

Zacznijmy od przełomu, jakiego na Kapitolu nie było od trzech dekad: w Senacie 50 Demokratów wraz z poparciem 15 Republikanów zagłosowało za zaostrzeniem dostępu do broni palnej. Ustawa, podpisana już przez prezydenta Bidena, przewiduje m.in. ściślejsze kontrole nabywców poniżej 21. roku życia, zakaz zakupu broni przez sprawców przemocy domowej i fundusze dla stanów, które dopuszczają konfiskatę broni należącej do osoby uznanej za zagrożenie dla siebie lub innych. Ustawę poparli czołowi Republikanie: lider tej partii w Senacie Mitch McConnell i senator Lindsey Graham, obaj postrzegani dotąd jako sprzymierzeńcy Narodowego Związku Strzeleckiego (NRA). To duży przełom po głośnej strzelaninie w Teksasie, gdzie w maju zginęło 19 dzieci i dwoje nauczycieli.

Ustawa ta została przyćmiona przez inne historyczne wydarzenie: w piątek 24 czerwca Sąd Najwyższy USA unieważnił wyrok z 1973 r., legalizujący dostęp do aborcji w każdym przypadku, jeśli taka jest wola kobiety. Za prawną regulację kwestii aborcji odpowiadają odtąd tylko poszczególne stany. Niektóre nie czekały nawet doby, by wdrożyć nowe przepisy: w Kentucky, Missouri czy Luizjanie obowiązuje już zakaz aborcji nawet w przypadku gwałtu lub kazirodztwa, a za przeprowadzenie aborcji lekarzom grozi do 15 lat więzienia. Przepisy może zaostrzyć nawet 26 kolejnych stanów, co potencjalnie uderzy w 35 mln kobiet w wieku reprodukcyjnym.

Orzeczenie wywołało demonstracje przed budynkiem Sądu Najwyższego w Waszyngtonie i w innych miastach. Burzliwie było w Phoenix w Arizonie, gdzie protestujący dobijali się do gmachu parlamentu stanowego, a policja użyła gazu łzawiącego. Media rozpisują się już o kobietach, które po nagłym zamknięciu klinik przeprowadzających aborcję jadą tam, gdzie jest ona legalna. Eksperci twierdzą, że w najtrudniejszej sytuacji znajdą się biedniejsze Amerykanki z mniejszości etnicznych, których nie stać na taką podróż.

Tymczasem amerykańska prawica chce iść dalej. Były wiceprezydent Mike Pence nawołuje do wprowadzenia federalnego zakazu aborcji, co podchwycili niektórzy Republikanie. Przewiduje się też, że konserwatyści będą dążyli do zaostrzenia regulacji w sprawie tabletek wczesnoporonnych.

Orzeczenie skrytykował Joe Biden: nazwał je „tragicznym błędem" i zasugerował, że ostatnie słowo w tej kwestii powinien mieć parlament – co można interpretować tak, że prezydent będzie zabiegać, by Kongres podjął zabiegi o przywrócenie liberalnego prawa na poziomie federalnym. Demokratyczni gubernatorzy Kalifornii, Oregonu i stanu Waszyngton zapowiadają, że pomogą w opłaceniu podróży do klinik aborcyjnych na ich terytorium. Dofinansowanie dla pracowniczek, które nie mogą wykonać aborcji w pobliżu miejsca zamieszkania, zapowiadają takie koncerny jak Amazon, Disney czy Microsoft.

Tymczasem wyrok Sądu Najwyższego USA skrytykowali premier Kanady Justin Trudeau, prezydent Francji Emmanuel Macron i brytyjski premier Boris Johnson. Ten ostatni zniesienie federalnego prawa do aborcji nazwał „krokiem wstecz". © MARTA ZDZIEBORSKA

Niemcy: wakacyjna fala covidu

NOWY PODTYP OMIKRONA, nazwany BA.5, jest już dominujący w Niemczech – stwierdził w cotygodniowym raporcie Instytut Kocha, główna instytucja monitorująca za Odrą przebieg epidemii. Wraz z rozprzestrzenianiem się tego podtypu, który jest bardziej zakaźny niż „stary" Omikron, rosną statystyki: w ostatnim tygodniu było to dziennie średnio ponad 80 tys. nowych infekcji i ok. 80 zgonów. Rośnie też, choć powoli, liczba pacjentów na intensywnej terapii: na początku czerwca było ich 600, a w połowie ubiegłego tygodnia 810. Najbardziej dotknięte nową falą są osoby w wieku 70-79 lat (stanowią 32 proc. zakażonych) – może dlatego, że notuje się sporo ognisk infekcji w domach opieki.

Instytut Kocha stwierdza, że ryzyko ciężkiego przebiegu zakażenia podtypem BA.5 jest niewielkie w przypadku osób zaszczepionych, ale zaleca ostrożność i unikanie okazji, gdzie można się zakazić. Wirusolog Christian Drosten uważa, że po wakacjach należy spodziewać się bardzo wysokich wskaźników zakażeń, choć mniej osób niż w 2021 r. będzie chorować ciężko. Tymczasem konsorcjum BioNTech/Pfizer ogłosiło, że przygotowało szczepionkę, która jest skuteczna przeciw nowym wariantom covidu.

©℗ WP / FAZ, DPA

Marzenia o Kościele

PIOTR SIKORA

Ostatnio ukazało się kilka diecezjalnych syntez konsultacji synodalnych (z diecezji gnieźnieńskiej, warszawskiej, łódzkiej, płockiej), a także omówienia wyników prac synodalnych diecezji poznańskiej i kaliskiej. Treść tych dokumentów ujawnia ciekawy obraz Kościoła w Polsce – zwłaszcza gdy dokona się porównania np. z francuską krajową syntezą synodalną. Dominującym motywem polskich syntez jest kwestia relacji księży i wiernych. Z jednej strony spotkania synodalne jawią się jako doświadczenia bardzo pozytywne: uczestnicy czuli, że mogą wypowiedzieć swoje troski i pragnienia związane ze wspólnotą Kościoła i zostać wysłuchani. Z drugiej strony dla bardzo wielu (jeśli nie większości) było to pierwsze takie doświadczenie w życiu (co jest tym bardziej znamienne, iż wśród zaangażowanych uczestników synodu młodzież była w znaczącej mniejszości). Nic dziwnego, że jeden z najczęstszych postulatów synodalnych dotyczył tego, by księża słuchali świeckich i nawiązywali z nimi normalne, bliskie relacje (a klerycy byli tego uczeni w seminariach).

Autorzy większości polskich syntez podkreślają, że dla polskich świeckich jest oczywiste, że decyzje powinni podejmować biskupi i księża (po wysłuchaniu wiernych). Możliwość, by świeccy jakoś uczestniczyli w procesie decyzyjnym, wydaje się na tyle odległa od kościelnej rzeczywistości, że samo pytanie o „metody rozeznawania i podejmowania decyzji" było dla wielu niezrozumiałe. W dokumentach powtarzają się zastrzeżenia, że uczestnicy spotkań nie chcieli w żadnym względzie zmieniać doktryny, a raportowany znaczny opór przed synodem – ujawniający się zwłaszcza wśród księży – wiązany jest z negatywnie ocenianą niemiecką „drogą synodalną".

Tu widać różnicę między Kościołami w Polsce i we Francji. W Polsce postulaty dotyczą tego, by wprowadzić w życie już istniejące „synodalne" przepisy prawa kanonicznego – np. by w każdej parafii rzeczywiście funkcjonowały rady duszpasterskie i finansowe. Francuzi postulują zniesienie obowiązkowego celibatu. W Polsce mówi się o dopuszczeniu kobiet do udzielania komunii – we Francji o udzielaniu im święceń diakonatu. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POŚWIĘCENIE

„Siostra Luisa uczyniła swoje życie darem dla innych, aż po męczeństwo" – powiedział papież po niedzielnej modlitwie „Anioł Pański" o zamordowanej na Haiti w napadzie rabunkowym małej siostrze od Karola de Foucauld. 65-letnia Włoszka Luisa Dell'Orto (na zdjęciu) od dwudziestu lat pracowała z dziećmi ulicy w tym jednym z najbiedniejszych krajów świata.

MATERIAŁY PRASOWE

SPOTKANIE

„Nie obchodzi mnie, kim byłaś, mamy przecież jednego Ojca" – powiedział Franciszek do Alessii Nobile, kobiety transpłciowej, która wraz z pięcioma innymi kobietami transpłciowymi i matką transpłciowego chłopca oraz z księdzem z chrześcijańskiej grupy LGBT+ spotkała się z papieżem. Franciszek otrzymał od niej książkę „Niewidzialne dziecko", w której opisała swoje doświadczenia jako osoby transpłciowej. Papież prosił, by była sobą, ale także, by nie uprzedzała się do Kościoła.

KOMUNIKACJA

29 czerwca ukaże się pierwszy numer pisma „L'Osservatore di Strada" (Obserwatora Ulicznego) redagowanego przez bezdomnych przyjaciół kard. Konrada Krajewskiego. 12-stronicowy miesięcznik będzie głosem ludzi marginalizowanych, a do współpracy zostaną zaproszeni znani publicyści, pisarze i artyści. Dostępny będzie za dobrowolną ofiarę.

Czy w Paderborn świeccy wybiorą biskupa?

NIE MA DOKTRYNALNYCH PRZESZKÓD, by świeccy mogli uczestniczyć w takim wyborze – Kościół nie wypracował dotąd odpowiednich procedur. To się właśnie zmienia. W niemieckiej diecezji Paderborn na mocy konkordatu w wyborze biskupa do tej pory uczestniczyła 14-osobowa kapituła katedralna, która tworzyła listę kandydatów. Z listy tej papież wybierał trzy nazwiska, z pośród których kapituła wskazywała nowego ordynariusza. Gdy niedawno z powodu osiągnięcia wieku emerytalnego miejscowy biskup podał się do dymisji, kanonicy postanowili uwzględnić postulaty niemieckiej Drogi Synodalnej i opracowali procedurę wyboru 14 świeckich, którzy razem z nimi będą wybierać nowego biskupa.

Problem w tym, że wiedza, które nazwiska wskazał papież, obowiązuje pod rygorem tajemnicy papieskiej. Sankcją za jej złamanie jest ekskomunika. Czy papież zdejmie tajemnicę dla wybranych świeckich? To będzie sprawdzian, na ile poważnie traktuje swój postulat, by świeckich mocniej angażować w struktury kościelne. ©℗ ARTUR SPORNIAK

Srebrna szczepionka

LEKARZ I PIELĘGNIARKA szczepiący dziecko znaleźli się na kolekcjonerskiej watykańskiej monecie o nominale 20 euro, jako wyraz uznania dla postępów medycyny – papież Franciszek nieraz powtarzał, że są one wyrazem bożego błogosławieństwa dla człowieka, a szczepienie jest naszym moralnym obowiązkiem.

Nowa srebrna moneta (projekt Chiary Principe, nakład 4 tys.) to jedna z trzech numizmatycznych nowości Watykanu, obok dwukolorowej piecioeurówki z wizerunkiem Benedykta XV i jego pamiętnymi słowami: „Wojna to niepotrzebna rzeź", wybitej w stulecie śmierci papieża (projekt Patrizio Daniele, nakład 8 tys.) oraz złotej monety o nominale 50 euro, poświęconej Caritasowi, której rewers przedstawia postać Matki Bożej Miłosierdzia z obrazu Piera della Francesca (projekt Marco Ventura, nakład 799 sztuk). ©℗ EA

VATICANA NEWS

KULTURA W SKRÓCIE

WYRÓŻNIENIA

Podczas Festiwalu Fantastyki Pyrkon ogłoszono nominacje do Nagrody Fandomu Polskiego im. Janusza A. Zajdla za rok 2021. To najstarsze polskie wyróżnienie dla twórców literatury fantastycznej – przyznaje się je od 1984 r. Wśród laureatów poprzednich edycji są m.in. Radek Rak, Anna Kańtoch, Łukasz Orbitowski, Maja Lidia Kossakowska, Jacek Dukaj, Anna Brzezińska i Andrzej Sapkowski. Zwycięskie utwory zostaną wyłonione w czasie Krakowskiego Weekendu z Fantastyką Imladris.

PRZYGOTOWANIA

Spółka Starving Pixels, która odpowiada za realizację gry o Kajku i Kokoszu, zaprezentowała krótki filmik z testową wersją rozgrywki. Premiera produkcji planowana jest na 2023 rok. „Kajko i Kokosz: Na plasterki" to gra RPG typu hack'n'slash, co oznacza, że dominującą funkcję pełnić będą w niej pojedynki, zdobywanie doświadczenia i rozbudowywanie statystyk postaci.

ZAPROSZENIA

Wrocławski Dom Literatury ogłosił nabór na pobyty rezydencyjne w czeskim Broumovie. Oferta skierowana jest do pisarzy (niezależnie od uprawianego gatunku literackiego), ilustratorów książek oraz osób tworzących komiksy. Zgłoszenia są przyjmowane do 4 lipca, a miesięczne pobyty zaplanowano na jesień.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

LONDON FEATURES / PAP

DZIWNIEJSZE NIŻ „STRANGER THINGS"? W polskim „Top 50" według Spotify ustępuje jedynie nowym kawałkom rodzimych raperów. W Belgii i Szwecji znalazła się na miejscu pierwszym, a w USA dotarła do czwartego w zestawieniu „Billboardu". Piosenka Kate Bush (na zdjęciu, ok. 1980 r.) „Running Up That Hill" pochodząca z wydanej latem 1985 r. płyty „Hounds of Love" na nowo stała się międzynarodowym przebojem. Wszystko za sprawą popularnego serialu „Stranger Things", wykorzystującego kawałki z lat 80. do swojej ścieżki dźwiękowej. Dwa ostatnie odcinki 4 sezonu Netflix udostępni w tym tygodniu. ©℗ MOCH

Kiedy warto wysłać syna do zakonu

JESZCZE W POŁOWIE XX W. biolodzy mieli problem z wyjaśnieniem obserwowanych w przyrodzie przejawów altruizmu: dlaczego dobór naturalny nie wyeliminował wszelkich skłonności do ponoszenia pewnych kosztów przez osobniki dla cudzego dobra? W nowym świetle problem ukazała koncepcja dostosowania łącznego, z której wynika, że zachowania altruistyczne mogą się rozpowszechniać w populacji, gdy ich beneficjentami są krewni altruisty, dzielący z nim część genów.

Mechanizm ten odgrywa w ewolucji olbrzymią rolę – i może wpływać nawet na naszą kulturę. W rolniczo-pasterskiej społeczności zachodniego Tybetu wielu rodziców wysyła w młodym wieku jednego z młodszych synów do klasztoru, by spędził życie w celibacie i ubóstwie. Jak wykazali Alberto Micheletti i współpracownicy, to strategia adaptatywna. Rodzice, którzy mają syna w klasztorze, posiadają średnio większą liczbę wnuków niż rodzice bez syna-mnicha. Ich dostosowanie łączne jest wyższe, ponieważ pozostali synowie są bogatsi i wcześniej zaczynają prokreację. ©℗ ŁK

Rak budzi się, gdy śpisz

CECHĄ NOWOTWORÓW LITYCH, która powoduje, że często są one trudne do wyleczenia, jest zdolność tworzenia przerzutów. W ogólnym zarysie wygląda to tak: pojedyncze komórki, np. raka piersi, odrywają się od piętrzącej się masy nowotworowej i wraz z krwią lub limfą wędrują w bardziej lub mniej odległe miejsca. Tam, gdzie osiądą, namnażają się i tworzą przerzut. Jednak mechanizmy molekularne kontrolujące powstawanie przerzutów nie są do końca poznane.

Jednym z czynników okazuje się rytm dobowy. Opublikowane w „Nature" badanie dowodzi, że komórki nowotworowe znacznie chętniej przerzutują w trakcie snu. Zespół szwajcarskich naukowców pobierał próbki krwi pacjentkom chorym na raka piersi, by ocenić w nich liczbę tzw. krążących komórek nowotworowych (CTC). Okazało się, że liczba CTC była najczęściej najwyższa w próbce pobranej o 4 nad ranem.

Podobne wyniki uzyskano, badając myszy z wszczepionym rakiem piersi (myszy aktywne są głównie w nocy, więc szczyt produkcji CTC przypadał za dnia). Co więcej, po wszczepieniu CTC powstałych w ciągu nocy i w ciągu dnia do innego organizmu myszy te pierwsze komórki wykazywały się większą skłonnością tworzenia przerzutów. Rzecz jasna, wnioskiem płynącym z tej pracy nie jest konieczność ograniczenia snu u pacjentów. Dokładne zrozumienie zawiłości mechanizmów tworzenia przerzutów da szansę na skuteczniejsze leczenie. © BARTOSZ KABAŁA

TEMAT TYGODNIKA

OLLY / ADOBE STOCK

JAK SAMEMU ZROBIĆ TARCZĘ ANTYINFLACYJNĄ

Przez dwa ostatnie tygodnie sprawdzałem, czy bez mocnego zaciskania pasa da się ograniczyć wydatki o wysokość inflacji. Wnioski są budujące: możemy pokonać drożyznę bez pomocy rządu i NBP.

MAREK RABIJ

Lektura poradników pod hasłem „jak mądrze wydawać pieniądze" prowadzi do przykrej konstatacji, że piszą je z reguły ludzie o skłonnościach sadystycznych. A w najlepszym razie tacy, którzy sami nie zdecydowaliby się na wcielenie w życie własnych pomysłów.

Oto pierwszy z brzegu przykład: „wyłączaj telewizor z gniazdka". Nowoczesny odbiornik o przekątnej ekranu 50 cali w trybie czuwania pobiera około 0,5 wata na godzinę, co w ciągu roku oznacza zużycie ok. 4380 watów. Czyli – zaledwie trzy złote oszczędności na rachunku za prąd, za to okupione codzienną akrobatyką z wciskaniem wtyczki do kontaktu.

Nie żartujcie, drodzy eksperci od racjonalizacji wydatków. Z piętnastoprocentową inflacją – bo zapewne tyle pokaże jej najnowszy, czerwcowy odczyt – nikomu nie jest do śmiechu.

Wybór diaboliczny

O oszczędzaniu przestajemy mówić z zakłopotaniem. Inflacja kosi wszak jednakowo rzutkich przedstawicieli handlowych i klientów pomocy społecznej, mieszkańców miast i wsi, wyborców PiS i opozycji. Jak wynika z badań firmy Kantar Media dla „Faktów" TVN, to właśnie walka z drożyzną będzie dla wyborców głównym kryterium oceny rządzących, bez względu na to, co mówią o Brukseli, Putinie czy gender.

Inflacja za nic ma nawet przywileje wieku. Nie traktuje ulgowo emerytów, którzy tylko obserwują, jak jej wskaźnik zostawia za sobą ostatnią waloryzację, ani młodych, którzy np. planują zakup mieszkania. Pokolenie dwudziestolatków, które nie pamięta życia z dwucyfrową inflacją, czuje się przez nią wręcz oszukane.

Sam próbuję funkcjonować jak dotąd. Nie dlatego, że pamiętam inflację z lutego 1990 r., kiedy jej wskaźnik dobił do 1183 proc. W naszej klasie w liceum temat nie rezonował przesadnie mocno. Zupełnie inna była również Polska upstrzona targowiskami oraz ulicznymi szczękami, w których sprzedawano i poradziecki szrot, i surowe mięso. Bycie konsumentem z tamtych czasów ma się zatem nijak do tego, jak czujemy się dziś, gdy drożyzna brutalnie odcina od kolorowego świata handlu i usług, mającego odpowiedź na prawie każdą potrzebę.

W pierwszym obronnym odruchu na galopadę cen zareagowałem jak struś i właściwie przestałem kupować cokolwiek poza podstawowymi produktami; na bok poszły nawet pierwsze majowe truskawki. Potem przyszła jednak refleksja: a właściwie dlaczego? Jaki sens ma bilansowanie zachwianego domowego budżetu w sytuacji,

↦

↦ kiedy przestaje on starczać na cokolwiek poza rachunkami i podstawowymi produktami? Diaboliczność wyborów konsumenckich dyktowanych przez inflację polega na tym, że czego byśmy nie zrobili, i tak wyrządzimy jakąś szkodę. Albo własnemu portfelowi – jeśli nie przytniemy wydatków. Albo gospodarce – jeśli to uczynimy, a wraz z nami miliony innych konsumentów. A przecież w tym ostatnim scenariuszu prędzej czy później dostaniemy jeszcze rykoszetem recesji.

Tnij to, co drożeje szybko

Inflacja będzie rosnąć jeszcze wiele miesięcy, a na poziomie 2,5 proc. – wpisanym w konstytucji jako cel Narodowego Banku Polskiego – ujrzymy ją najwcześniej za kilka lat. Jedno wydaje się dziś pewne: epokę łatwej konsumpcji i tanich kredytów mamy za sobą.

Jak podaje GUS, w 2021 r. przeciętne polskie gospodarstwo domowe wydawało w sklepach i na usługi ok. 3,4 tys. zł miesięcznie, aż o 8,8 proc. więcej niż rok wcześniej. Inflacja, która w maju wyniosła 13,9 proc., rok do roku zwiększyła te wydatki o 476 zł miesięcznie. Przy poziomie 15 proc. co miesiąc dopisze nam do rachunku za życie średnio po 513 zł. Polityka rządu i NBP na razie nie przynosi rezultatów, jedynym rozwiązaniem pozostają zatem oszczędności. Gdyby udało się obniżyć wydatki o co najmniej 500 zł miesięcznie, wpływ inflacji na portfel stałby się niezauważalny. Tylko czy to wykonalne bez drastycznego obniżenia standardu życia?

Podawany co miesiąc przez GUS wskaźnik inflacji oddaje dynamikę cen w skali roku, w codziennej domowej buchalterii będzie zatem mało przydatny. Na szczęście komunikaty Urzędu zawierają także dane o inflacji liczonej z miesiąca na miesiąc – właśnie dzięki nim najdokładniej widać to, co dzieje się w sklepach i w gospodarce. Takie wskazania będą często pokazywać nie tylko wpływ inflacji, ale również sezonowe wahania, choćby wzrost cen paliw w okolicach 1 listopada, kiedy odwiedzamy groby, czy suszę lub spóźnioną wiosnę, które mogą podnieść ceny produktów rolnych. Dla domowych strategii walki z drożyzną nie ma to jednak znaczenia – pod wydatkowy nóż w pierwszej kolejności powinno trafić to, co drożeje najszybciej.

Co zatem szło w górę najszybciej w maju w porównaniu z kwietniem? Pierwsze miejsce zajmuje transport, głównie za sprawą szybko drożejących paliw (3,4 proc.). Na drugim miejscu znalazły się koszty użytkowania i utrzymania domu oraz nośniki energii (2,5 proc.), na trzecim – ceny usług gastronomicznych i hotelowych (2,4 proc.). Najłagodniej z portfelami obchodziły się w tym samym czasie kultura i rekreacja (0,9 proc.), edukacja (0,3 proc.), a przede wszystkim łączność, bo ceny takich usług w maju nie wzrosły w ogóle (choć w skali roku dało się zaobserwować 3,6 proc. podwyżki).

Co z tą benzyną

Poszukiwanie oszczędności w naszym czteroosobowym gospodarstwie domowym rozpoczęliśmy od ekonomicznego rachunku sumienia. U mnie pierwsze miejsce na liście fanaberii, z których mógłbym bezboleśnie zrezygnować, zajmowały dojazdy samochodem do pracy. Jedyne 10-11 kilometrów w obie strony, czyli dostatecznie mało, by lekceważyć tę pozycję na liście wydatków i tłumaczyć wygodnictwo mniej lub bardziej abstrakcyjnymi argumentami. Dojazdy do pracy to w zaokrągleniu 200 kilometrów miesięcznie, co w przypadku naszego samochodu oznacza zużycie około 22 litrów benzyny.

Co miesiąc tankujemy przeciętnie dwa razy, raz do pełna 50 litrów i drugi raz do połowy baku. Miesięczne zużycie paliwa oscyluje zatem na poziomie 75 litrów i taka ilość wystarcza na pokonywanie po mieście ok. 25 kilometrów dziennie – z czego 10 to właśnie dojazdy do pracy. Przy aktualnej cenie benzyny 95-oktanowej (7,95 zł) przesiadka na komunikację miejską to wyjście najrozsądniejsze i zarazem najszybsza droga do sporych oszczędności. W Krakowie bilet miesięczny mieszkańca na jedną linię komunikacji miejskiej kosztuje 54 zł. Zamieniając w drodze do redakcji samochód na tramwaj, zyskuję więc dla rodzinnego budżetu 121 zł miesięcznie. W innych celach mogę nadal jeździć samochodem i przy okazji wypatrywać najtańszego paliwa.

Różnice w cenie benzyny bywają duże. W drodze do pracy mijam cztery stacje. We wtorek 21 czerwca na jednej z nich litr „dziewięćdziesiątki piątki" kosztował 7,93 zł, podczas gdy na najdroższej zapłaciłbym za tyle samo już 8,14 zł. Aż 21 groszy różnicy na litrze w skali miesiąca dałoby aż 15,8 zł oszczędności nawet bez ograniczania kilometrażu.

Tańsze paliwo – jak mówi Urszula Cieślak z biura analiz Reflex – nie musi być podejrzane. Nawet w dużych miastach stacje położone w mniej ruchliwych miejscach miewają ceny niższe o kilkanaście groszy niż te położone przy uczęszczanych drogach. Po prostu schodzi im ono wolniej i gdy ceny idą ostro w górę, mogą dłużej utrzymywać niższe marże – aby ściągnąć więcej klientów. Na stacji benzynowej paliwo pełni zwykle funkcję wabika. Prawdziwe pieniądze zarabia się na alkoholu, przekąskach, akcesoriach samochodowych i usługach takich jak myjnia. Można wykorzystać tę zasadę dla domowych oszczędności. Nie wolno jednak zapominać, że gdy na rynku paliwo zacznie tanieć, odwracamy reguły gry i tankujemy tam, gdzie schodzi ono najszybciej.

Przypadek samochodu pokazał nam, że na liście wydatków niewiele jest pozycji rzeczywiście zbyt małych, żeby zawracać nimi sobie głowę. Za jedną z takich zbyt długo uważałem opłatę za konta bankowe, oczywiście nieoprocentowane, za to obciążone – jak się przekonałem – sporymi opłatami. Oficjalnie płaciłem za nie

LICZBY INFLACJI

513

złotych – obniżenie o tyle wydatków w przeciętnym polskim domu sprawiłoby, że wpływ 15-procentowej inflacji będzie niezauważalny.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

„tylko” 12 zł miesięcznie, ale dokładniejsza lektura historii rachunku pokazała, że bank cichaczem zaczął doliczać sobie a to za pakiety esemesów służących do dodatkowego zabezpieczania transakcji online, a to za więcej niż jeden przelew miesięcznie z konta głównego na oszczędnościowe. Pożegnaliśmy się szybko i bez zbędnych emocji, kiedy tylko upewniłem się, że takie same usługi mogę mieć gratis u konkurencji. Oszczędność: 14 zł miesięcznie.

Zakupy na autopilocie

Przeczesywanie stałych wydatków nie przyniosło już większych sukcesów. Po rodzinnej naradzie doszliśmy do wniosku, że możemy bez żalu zrezygnować z jednego z serwisów streamingowych, z którego właściwie nie korzystaliśmy. Kosztował 49 zł rocznie – przy płatności z góry za 12 miesięcy, czyli 4,1 zł miesięcznie. W planach była także rezygnacja z papierowych książek na rzecz tańszych e-booków, ale ostatecznie nie podjęliśmy tej decyzji. Przy średnio sześciu pozycjach, które co miesiąc wzbogacają nam bibliotekę, porzucenie druku dałoby nam oszczędności ok. 70-80 zł miesięcznie. Dużo, ale w domu mamy tylko jeden czytnik. Zakup kolejnych dwóch pozbawiłby taką zmianę ekonomicznej racji bytu na co najmniej półtora roku.

Szczęśliwie na audyt czekała jeszcze największa pozycja w domowym budżecie, czyli zakupy spożywcze. Ograniczamy je od dawna, głównie z braku czasu. Równie długo byliśmy też przekonani, że rozwiązaniem niemal wszystkich problemów z codzienną aprowizacją będą duże zakupy raz w tygodniu w najbliższym dyskoncie i uzupełnianie ewentualnych braków w osiedlowym warzywniaku i sklepie spożywczym.

Doszliśmy jednak do wniosku, że popadliśmy w kosztowne przyzwyczajenie. Nie chodzi nawet o różnice w cenach poszczególnych kategorii produktowych w różnych sklepach, bo łaska dyrektorów marketingu na pstrym koniu jeździ i sieć, która dziś ma najtańsze warzywa i drogą chemię domową, za dwa miesiące może zdzierać na tych pierwszych i oferować rozsądne ceny tej drugiej. Koszyk wypychany zakupami robionymi na „autopilocie” – bo skoro wzięło się już z półki bazylię, to siłą przyzwyczajenia zgarnia się z sąsiedniej jeszcze trzy paczki kabanosów – z czasem przestał stanowić odbicie naszych potrzeb. Wręcz przeciwnie, zaczął je determinować. Uświadomiłem to sobie, znajdując w lodówce dwa nietknięte opakowania hummusu, blisko terminu przydatności do spożycia, które nie doczekały się powrotu syna z wakacji.

Na „autopilocie” kupujemy niemal zawsze za dużo, a nierzadko bez sensu. Zapas słoików z masłem orzechowym, pierwszego towaru wrzucanego do koszyka po przekroczeniu drzwi dyskontu, w pewnym momencie urósł nam do czterech. To na szczęście mogło stać, czekając na swoją kolej, w przeciwieństwie do groszku cukrowego. Zdarzało mi się ↦

LICZBY INFLACJI

55

procent Polaków ankietowanych w pierwszym kwartale tego roku planowało ograniczenie swoich domowych wydatków.

Skąd się wzięła inflacja

PODCZAS PANDEMII doszło do przerwania łańcuchów dostaw, gdyż wielu producentów zawiesiło pracę, a przedsiębiorstwa przestały gromadzić zapasy. Gdy skończyły się lockdowny, a zagrożenie koronawirusem spowszedniało, konsumenci zaczęli realizować odłożone decyzje zakupowe. Producenci nie byli w stanie zaspokoić wzmożonego popytu (brakowało im półproduktów – chipów, stali, aluminium, drewna). Zaczął się też „kryzys kontenerowy”, który ograniczył możliwość transportu. Przedsiębiorstwa zaczęły rywalizować między sobą o brakujące zasoby, co doprowadziło do wzrostu ich cen, czyli tzw. inflacji producenckiej, która zwykle poprzedza inflację konsumencką. Równocześnie banki zalał strumień pieniędzy z pakietów antykryzysowych, których zadaniem była ochrona miejsc pracy podczas lockdownów. Dzięki nim banki mogły utrzymywać rekordowo niskie oprocentowanie depozytów, gdyż nie potrzebowały lokat klientów na udzielanie kredytów. To zniechęcało do oszczędzania i skłaniało do konsumpcji. Ożywienie gospodarcze wywołało wzrost cen surowców. Pod koniec 2021 r. Rosja zaczęła szantażować Europę przy pomocy gazu, co doprowadziło do jego rekordowych cen. Najwyższe ceny w historii osiągnęły też prawa do emisji dwutlenku węgla. To wszystko spowodowało drastyczny wzrost wydatków firm na energię. W lutym wybuchła wojna w Ukrainie, która doprowadziła do dalszego wzrostu cen surowców energetycznych, głównie ropy i gazu. Uniezależnianie się od rosyjskich źródeł energii oznacza konieczność znalezienia innych – znacznie droższych. Podczas wojny złoty osłabił się też wobec dolara, który wciąż jest o 40-50 groszy droższy niż przed rosyjską inwazją. A to właśnie dolarami płaci się za surowce energetyczne. Równocześnie zaczął się też kryzys na rynku żywnościowym. Drastycznie zdrożały nawozy oraz surowce rolne, co przekłada się na wzrost cen żywności. Nie sposób zlekceważyć też nietrafionej polityki NBP, który zbyt długo lekceważył oznaki rosnącego zagrożenia inflacją i działania rządu, który pompował miliardy złotych na polski rynek w formie ulg i tarcz. Inflacja ma więc dwa źródła – zewnętrzne i wewnętrzne. Słowa opozycji o Adamie Glapińskim, prezesie NBP, jako autorze tej katastrofy są taką samą manipulacją, jak słowa polityków PiS o „putinflacji”. ©℗ PW

niemal bezwiednie wziąć sporą garść i dopiero wypakowując torby w domu, dostrzegałem, że tym razem nie było wszystkich składników do warzywnego curry. Groszek lądował więc w szufladzie na warzywa w lodówce w oczekiwaniu na resztę ingrediencji. Nie zawsze się doczekał.

Dlatego w ostatnich dwóch tygodniach na duże zakupy wyruszałem z listą. Darmowa aplikacja w smartfonie pozwoliła m.in. zdalnie dodawać lub usuwać pozycje domownikom, kiedy jedno z nas było właśnie w sklepie. Szybko dostrzegliśmy, że poza weekendem czas na gotowanie mamy najwyżej dwa razy w tygodniu, co oznacza maksymalnie cztery duże wspólne posiłki tygodniowo – i właśnie na tyle kupujemy teraz składniki (wcześniej robiliśmy zakupy na siedem obiadów).

W ten sposób przekonaliśmy się, że cenowa przewaga dyskontów nad sklepami osiedlowymi, do których chodzi się po to, czego w danej chwili brakuje, bywa dyskusyjna. Tygodniowe zakupy uwzględniające również siedem obiadów przy aktualnym poziomie cen kosztowałyby naszą czterosobową rodzinę ok. 600 zł, czyli 2,4 tys. zł miesięcznie. Samo wyrzucenie z koszyka tego, czego i tak nie wykorzystywaliśmy, dało oszczędności w wysokości 130 zł tygodniowo (520 zł miesięcznie). Oczywiście, może się zdarzyć, że pod koniec tygodnia z konieczności będziemy musieli zrobić przez to dodatkowe zakupy w najbliższym spożywczym, gdzie żywność jest odczuwalnie droższa, ale w skali miesiąca i tak powinniśmy zaoszczędzić na nowym systemie ok. 360 zł. Doliczając wcześniejsze oszczędności, mamy zatem już blisko 500 zł.

Na liście stałych zakupów spożywczych robionych poza dyskontami jest jeszcze jedna ważna pozycja: chleb. Przyzwoitej jakości, w lokalnej piekarni, kosztuje dziś w Krakowie około 8,5 zł za duży bochenek. Nasza rodzina zjada średnio jeden dziennie, co miesięcznie pochłania 255 zł. Na szczęście w lockdownie, podobnie jak wielu Polaków, zacząłem piec chleb w domu. Na bochen pszennego chleba na żytnim zakwasie potrzebuję 800 gramów mąki, którą kupuję przez internet w cenie 5 zł za kilogram. Godzina pracy piekarnika, potrzebna do rozgrzania i samego wypieku, to obecnie koszt około złotówki przy urządzeniu klasy A. Bochen, który z powodzeniem wystarczy czteroosobowej rodzinie na co najmniej jeden dzień, kosztuje więc równe 5 zł. Gdybym piekł codziennie, oszczędności w skali miesiąca wyniosłyby aż 105 zł, to oczywiście niewykonalne z braku czasu. Raz na dwa dni jestem jednak w stanie wcielić się w rolę piekarza. Oszczędność dla budżetu: 53 zł miesięcznie.

Właśnie pokonaliśmy inflację, ograniczając wydatki o 574 zł miesięcznie praktycznie bez ingerencji w jakość życia.

LICZBY INFLACJI

2,5

procent – najwcześniej za kilka lat inflacja w Polsce wróci do takiego poziomu, wpisanego do naszej konstytucji jako cel NBP.

3DSCULPTOR / ADOBE STOCK

Dlaczego czasem wydajemy więcej

TO, ILE WYDATKUJEMY pieniędzy, zależy także nie tylko od cen, ale również od naszych oczekiwań inflacyjnych, czyli przewidywań, jak zmieni się inflacja w przyszłości. Jednym z czynników wpływających na te oczekiwania jest dynamika cen podstawowych dóbr (np. żywności, energii). I choć mogłoby się wydawać, że im wyższa inflacja, tym większa skłonność do ograniczania wydatków, nie wszyscy konsumenci reagują w ten sam sposób. Wysoka inflacja powoduje, że ludzie wydają mniej pieniędzy na rzeczy, z których najłatwiej im zrezygnować.

W pierwszym kwartale 2022 r. prawie 55 proc. respondentów planowało ograniczenie wydatków – to wnioski z badania przeprowadzonego przez UCE Research i Grupę BLIX. Wśród produktów wskazywanych jako te, z których najłatwiej zrezygnować, są słodycze i przekąski (65 proc.), alkohol (41 proc.) i kosmetyki (40 proc.). Im bliżej wakacji, tym więcej Polaków deklarowało skrócenie lub rezygnację z wyjazdu. Z kolei według wyników badania przeprowadzonego przez ARC Rynek i Opinia najwyższa od 24 lat inflacja podzieliła konsumentów. 36 proc. z nich stwierdziło, że musi ograniczyć wydatki, by zbilansować swój miesięczny budżet, ale z drugiej strony jest też grupa konsumentów, która uznała, że nie opłaca się oszczędzać – zaczęła szukać innych możliwości lokowania pieniędzy (17 proc.) lub zamierza zrezygnować z oszczędzania (13 proc.); aż 7 proc. respondentów planuje zwiększyć konsumpcję. Chodzi więc o wydanie pieniędzy, gdy mają wyższą wartość. Te badania potwierdzają studia naukowe – w jednej z analiz przeprowadzonych na danych dotyczących zachowania włoskich konsumentów okazało się, że ci z nich, którzy mieli wyższe oczekiwania inflacyjne, mieli też większą skłonność do wydawania pieniędzy np. na samochody. Podobne badania przeprowadzono w Niemczech, gdzie w określonej grupie konsumentów (zamożnych, wykształconych, miejskich o wysokich dochodach) gotowość do wydawania pieniędzy na dobra trwałego użytku wzrosła o 8 proc. © RZ

Z galerii do galerii

A można zaoszczędzić więcej. Na rowerze, gdy pozwala na to pogoda. Autem tylko w ostateczności. Ubrania z second handu? Dlaczego nie, to pełnowartościowy asortyment, nierzadko nienoszony. Współpłacenie abonamentów za serwisy streamingowe i korzystanie z jednego konta? Pod indywidualną rozwagę i z zastrzeżeniem, że wielu dostawców zakazuje takiego współdzielenia w regulaminie. Zakupy w sieci? Oczywiście, choć w wielu branżach różnica w cenie między sklepem stacjonarnym a internetowym stopniała obecnie do zera. Naprawianie zepsutych urządzeń zamiast wymiany na nowe? Godne pochwały, a gdy do tego wykonane własnoręcznie – także spora satysfakcja.

Wiem, co piszę. Miesiąc temu wymieniłem w pralce kołnierz bębna. Kosztowało mnie to 20 minut spędzonych na oglądaniu poglądowego filmu w sieci. Po stronie zysków mogłem zapisać 250 zł zaoszczędzone na wizycie fachowca. W świecie optymalizacji wydatkowej granice wyznacza jedynie pomysłowość i psychiczna odporność samych oszczędzających. Teoretycznie można by pewnie ściąć wydatki i o połowę, ale czy korzyści uzasadniały takie poświęcenie? Czy lecząc chorobę, nie zamęczylibyśmy pacjenta?

W świecie dwucyfrowej inflacji wciąż jest miejsce na beztroską konsumpcję. To nie przypadek, że drożyzny nie widać właściwie w ofercie kulturalnej. Poziom konsumpcji kultury od lat plasuje ją także na szarym końcu listy naszych wydatków.

> W świecie dwucyfrowej inflacji wciąż jest miejsce na beztroską konsumpcję. Drożyzny właściwie nie widać w ofercie kulturalnej.

Statystyczny Polak na książki wydaje przez cały rok praktycznie tyle samo, ile co miesiąc przeznacza na zakup alkoholu. Inflacja uświadomiła ten stan menedżerom instytucji kulturalnych i samym twórcom, którzy trafnie przeczuwają, że przeniesienie na odbiorców wzrostu kosztów, którego sami doświadczają, pokutuje jedynie odpływem i tak niewielkiej już widowni.

Widać to w opublikowanych niedawno przez GUS zbiorczych danych o finansach polskich instytucji kultury, do których zaliczają się zarówno podmioty finansowane z budżetu, jak i instytucje prywatne o charakterze komercyjnym lub non profit. W trudnym dla kultury roku 2020, kiedy lockdown zamknął odbiorców w domach, polskie podmioty kulturalne wypracowały łącznie 157 mln zł zysku przy przychodach na poziomie niemal 9,7 mld zł. Rok później – w bardziej sprzyjającej sytuacji epidemicznej, ale także w obliczu rozpędzającej się inflacji – zysk branży stopniał do 70,2 mln zł, choć przychody urosły do 10,6 mld zł.

Polskie teatry, muzea, studyjne kina czy wydawcy nie mają po prostu takiego komfortu kształtowania cen, jaki nasze zwyczaje konsumpcyjne zapewniają chociażby producentom przetworów mięsnych czy elektroniki. Teatr to nie obiad. Czytanie książek i czasopism czy wizyty w galeriach sztuki również nie budują statusu społecznego w tak ostentacyjny sposób, jak zakup nowego smartfonu.

To, że inflacja nie nabrała rozpędu w świecie kultury, stanowi jednak szczęśliwą okoliczność dla nas, klientów. Bez oceniania, czy to dobrze, czy źle, wypada po prostu przyznać, że wielu z nas polubiło kupowanie.

Teraz oferta instytucji kulturalnych wyrasta na tańszą konsumpcyjną alternatywę dla innych zakupów. Gdybyśmy choć część pieniędzy wyrwanych z paszczy inflacji wydali w galerii sztuki, zamiast w galerii handlowej, zyskaliby wszyscy.

I kupujący, i sama kultura.

©℗ MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Nazireat

Od niepamiętnych czasów koafiura stanowi istotny element autoprezentacji i świetnie nadaje się do zademonstrowania swojej odrębności. Długość włosów może być też wyróżnikiem religijnym – spójrzmy na czaszki mnichów buddyjskich albo na obfite turbany sikhów, już nie wspominając o wygolonych głowach pod niektórymi zakonnymi welonami. Wśród Żydów brzytwa nie tyka skrajów męskich twarzy (zob. Kpł 19, 27 i 21, 5), co stwarza potencjał na malowniczo utrefione pejsy. Peruka z włosów pod względem termicznym przypomina czapkę i stąd mający głównie wymiar praktyczny zwyczaj golenia głów u połowic pejsatych panów.

Współcześnie to nieomal niespotykane, ale w starożytnym Izraelu stały element krajobrazu stanowili wyróżniający się długimi włosami nazirejczycy. Ludzie ci składali śluby zobowiązujące ich do czasowego – minimum trzydziestodniowego – okresu wstrzemięźliwości, w którym nie będą się strzyc, unikną kontaktu ze zwłokami oraz nie spożyją produktów z winogron. Wprawdzie abstynencję można praktykować prywatnie, ale długie włosy są dla postronnych widomym znakiem wyjątkowego statusu nazirejczyka.

Księga Liczb 6, 1-21 określa reguły nazireatu i sposób postępowania, gdy ten dobiegnie końca. Dowiadujemy się między innymi, że takie śluby mogą stać się udziałem kobiet. W świetle biblijnych regulacji dotyczących solennych zobowiązań płci pięknej (zob. Lb 30) cieszy przypadek królowej Heleny z Adiabene, długoletniej nazirejki. Wedle przekazu zdecydowała się na taki krok w podzięce Najwyższemu za bezpieczny powrót jej syna Izatesa z wojny. Talmudyczny traktat Nazir roztrząsa kwestię tego szczególnego statusu poza granicami Izraela właśnie na przykładzie królowej Heleny: pod koniec ślubowanych siedmiu lat przyjechała ona do Ziemi Świętej i tam Szkoła Hilela zawyrokowała, że królowa powinna siedmioletni okres powtórzyć, albowiem nie masz nazireatu poza Izraelem. Wydawałoby się, że nazirejczyk godzien jest pochwały. Amos nieomal zrównuje go z prorokiem: „I wzbudzałem z synów waszych proroków, a z młodzieńców waszych nazyreów" (Am 2, 11; Cylkow). Wyjątkowość statusu podkreśla liczba ofiar, które ma złożyć człowiek kończący ten szczególny okres poświęcenia (zob. Lb 6, 14-15) – jeśli sam nie może sobie na to pozwolić, tradycyjnie wspierają go finansowo przyjaciele. Wśród ofiar jest też zagrzeszna – czymże nazirejczyk zawinił? Czyżby tym, że wraca do „normalnego" życia i że splamią go pokusy tego świata? Otóż nie. Odmówił sobie dozwolonych przyjemności, co jest z gruntu sprzeczne z duchem judaizmu. „Zgrzeszył przez zmarłego" (wers 11) to dosłownie „zgrzeszył przeciw jego duszy". Czyjej? Swojej własnej, dobrowolnie się umartwiając. Czyż to nie piękna moralna dwuznaczność? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Koroneczki, falbaneczki...

„Jak się miewa reforma, którą wprowadził Sobór? Co z liturgią? Ja nie wiem, bo nie chodzę na msze na Sycylii i nie wiem, jakie kazania wygłaszają księża, czy głoszą je tak, że ludzie wychodzą na papierosa, a potem wracają; czy to są kazania, w których mówi się o wszystkim i o niczym. Pamiętajcie, że po ośmiu minutach uwaga słabnie. Ludzie chcą treści; myśli, uczucia, obrazu, które będą nosić przez cały tydzień. A jak odprawiana jest msza? Ja tam nie chodzę, ale widziałem zdjęcia. Mówię jasno. Moi drodzy, dalej koronki? Gdzie my jesteśmy? Sześćdziesiąt lat po Soborze! Trzeba trochę zaktualizować sztukę liturgiczną, modę liturgiczną. Można czasem nosić jakąś koronkę babci, ale tylko czasem" – mówił papież Franciszek do księży.

Jeśli się nie mylę, to pod koniec XIX wieku ówczesna Kongregacja ds. Obrzędów zakazała przyozdabiania ołtarzy sztucznymi kwiatami, umieszczania na przedmiotach kultu trupich czaszek i piszczeli, czy też całych kościotrupów, jak też białych krzyży na pogrzebowych chorągwiach, zastępowania świec kinkietami z elektrycznymi żarówkami, zakazała też elektrycznego podświetlania od tyłu Hostii umieszczonej w monstrancji. Jeszcze dawniej, na soborze trydenckim, zakazano również takich zachowań, jak wylizywanie pateny, „bo to nieładnie", jak też „przychodzenia [do kościoła] z sokołami, psami itp.". Powiedziano też, że „biskupi powinni (...) zachowywać się skromnie, bez próżności i zniewieścienia, unikać zbytków, perfum, ponadto i ozdób. (...) Domownicy biskupów i prałatów mają zachowywać się godnie. Sprzęty mają być skromne, bez zbędnych i kosztownych ozdób". Przypomina się, że już na synodzie w Kartaginie nakazano, „aby biskupi zadowolili się skromnym wyposażeniem i stołem oraz umiarkowanym wyżywieniem".

Paweł do Galatów mówi: „Co do mnie, obym nie chlubił się niczym innym, jak tylko krzyżem Pana naszego Jezusa Chrystusa, przez którego świat jest ukrzyżowany dla mnie, a ja dla świata. Obrzezanie bowiem nic nie znaczy ani nieobrzezanie, tylko nowe stworzenie". Jeśli Franciszek pyta: „Jak się miewa reforma?", to znaczy, że jest z nią nie najlepiej, że wciąż, jak sam powiedział, wolimy być „strażnikami prochów". Wciąż trzęsąc się ze strachu przed jutrem, chcemy zatrzymać czas i trwać w tym, co jest, gdyż „jutro śmierć nam niesie". Za wszelką cenę chcemy chronić dzisiejszość, uważając, że nic lepszego spotkać nas nie może, jakbyśmy nie wierzyli Pawłowi, że najprawdziwsze, najpiękniejsze, najlepsze wciąż się tworzy i jest przed nami. Ten proces Paweł nazywa „nowym stworzeniem", które smakujemy w chwilach szczęśliwych, nie zawsze przyjemnych, bywa, że piekielnie bolesnych, jak to miało i ma miejsce na różnorakich krzyżach. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Łukaszowy Dobry Pasterz

Uroczystość Najświętszego Serca Jezusa. Ewangelia z 15. rozdziału św. Łukasza: „Jezus opowiedział (...) następującą przypowieść: Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich, nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i nie idzie za zgubioną, aż ją znajdzie? A gdy ją znajdzie, bierze z radością na ramiona i wraca do domu; sprasza przyjaciół i sąsiadów i mówi im: Cieszcie się ze mną, bo znalazłem owcę, która mi zginęła. Powiadam wam: Tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia" (w. 3-7).

Dobrze jest – dla wydobycia specyficznej wrażliwości św. Łukasza – zestawić ten tekst z jego równoległym zapisem u św. Mateusza (zob. Mt 18, 12-14). Przy porównaniu uderzają słuchacza dwie istotne różnice. Po pierwsze, w wersji Mateuszowej czytamy: „Jeśli kto posiada sto owiec i zabłąka się jedna z nich". Owca gubi się „sama" – w łacińskim tłumaczeniu św. Hieronima mamy tu nawet słowo *erraverit una*, co można by przetłumaczyć „pobłądziła". Łukasz zapisał (zapamiętał) inaczej: to pasterz zgubił owcę! Tak właśnie tłumaczy Hieronim: *perdiderit unam*. Użyte przez Łukasza greckie słowo (*apóllymi*) jest nawet jeszcze mocniejsze i może oznaczać: „stracić, zgubić, zniszczyć całkowicie".

Nawet jeśli owca „sama" się gdzieś zapodziała, Łukaszowy pasterz nie zamierza zwalniać się z odpowiedzialności. Czuje się współwinny (?) zaistniałej sytuacji: zgubił ją! Nie zauważył, nie zareagował, gdy została z tyłu. Nie poświęcił jej dość uwagi. A może nawet to jakiś jego gest, krzyk, zachowanie ją przestraszyły? Z tym większym niepokojem i determinacją jej poszukuje! I tym większa jest jego radość, gdy ją znajdzie. Jakże cenny jest ów Łukaszowy zapis – szczególnie w sytuacjach, gdy mamy pokusę wzruszyć ramionami nad odchodzącymi z Kościoła: „Ich wybór!"; „Ich sprawa". Bez najmniejszej ochoty poszukania w sobie choćby części odpowiedzialności. Zaniedbania. Odepchnięcia. Danego zgorszenia.

Różnica druga: u Mateusza z powrotu owcy do stada cieszy się jedynie sam pasterz: „cieszy się nią bardziej niż dziewięćdziesięciu dziewięciu tymi, które się nie zabłąkały" (Mt 18, 13). Łukaszowy pasterz nie potrafi cieszyć się sam – zwołuje przyjaciół i bliskich, i wzywa do wspólnej radości: „Cieszcie się ze mną!".

To już nie tylko pytanie o los grzesznika i o możliwość jego powrotu do Kościoła. To również – a może nawet przede wszystkim – pytanie o Kościół, o jego model i o to, czy potrafi się on cieszyć owcami, które wracają? Czy – nie daj Bóg – nie chce być raczej sekciarską grupką „doskonałych", której radości dostarcza jedynie poczucie własnej „sprawiedliwości", odcinającej się od „celników i grzeszników" – z przekonaniem, że Pan powinien uczynić to samo? ©

CZYTANIA LITURGICZNE (3 – 10 VII)

14. niedziela zwykła: Iz 66, 10. 12-14c; Ps 66; Ga 6, 14-18; Łk 10, 1-12. 17-20;
Poniedziałek: Oz 2, 16. 17b-18. 21-22; Ps 145; Mt 9, 18-26;
Wtorek: Oz 8, 4-7. 11-13; Ps 115; Mt 9, 32-38;
Środa: Oz 10, 1-3. 7-8. 12; Ps 105; Mt 10, 1-7;
Czwartek: Oz 11, 1-4. 8c-9; Ps 19; Mt 9, 1-8;
Piątek: Oz 14, 2-10; Ps 51; Mt 10, 16-23;
Sobota: Iz 6, 1-8; Ps 93; Mt 10, 24-33;
15. niedziela zwykła: Pwt 30, 10-14; Ps 69; Kol 1, 15-20; Łk 10, 25-37.

Jak nagi,
który szuka łachmana,
by zakryć swą nagość,
tak właśnie człowiek
pozbawiony cnót
poszukuje ludzkich
pochwał.

DOROTEUSZ Z GAZY

Jeśli chcesz uchronić to,
co od ciebie zależy,
czego ci więcej trzeba?
Jeśli chcesz być
uczciwy i wierny,
kto ci tego zabroni?

EPIKTET

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

CIĘCIE NA ŻYCZENIE

Matka powtarzała jej: „Rodziłam cię ponad dwadzieścia godzin w ogromnym bólu. A ty byłaś sina jak śliwka z niedotlenienia. Poród to koszmar". Karolina postanowiła, że za nic w świecie nie urodzi naturalnie.

MAŁGORZATA NOCUŃ

DANIEL DMITRIEW / FORUM

Sala poporodowa w szpitalu w Pyskowicach, 9 maja 2021 r.

Prof. Piotr Sieroszewski, kierujący Kliniką Medycyny Płodu i Ginekologii UM w Łodzi, zanim zaczniemy rozmawiać na temat cesarskich cięć, wyraźnie zaznacza: – Zależy mi na obaleniu szeroko rozpowszechnionego w polskim społeczeństwie mitu. Cięcie cesarskie to nie jest „szybki zabieg", „nowoczesny sposób rozwiązywania ciąży" albo „poród bez bólu". To operacja chirurgiczna, podczas której rozcięte zostają powłoki brzuszne i macica. Jak każda inna tak duża interwencja chirurgiczna, wiąże się z ryzykiem poważnych powikłań.

Polscy ginekolodzy, będący członkami prestiżowych gremiów międzynarodowych, od lat są zasypywani pytaniami o przyczyny ogromnej liczby cesarskich cięć w naszym kraju. To samo pytanie zadaje Eurostat, którego dane nie pozostawiają wątpliwości. Oprócz Cypru i Rumunii w żadnym innym europejskim kraju nie dokonuje się aż tylu „cesarek". Według rekomendacji Światowej Organizacji Zdrowia, ich odsetek nie powinien przekraczać 15 proc. ogółu porodów. W naszym kraju wynosi on już ponad 43 proc. (choć dwie dekady temu stanowił tylko 20 proc.), co oznacza, że prawie połowa noworodków przychodzi na świat na sali operacyjnej. – I niestety, co drugie cięcie wykonywane jest ze wskazań innych niż medyczne – dodaje prof. Sieroszewski.

Lekarz rozumie sytuację

Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników zleciło opracowanie rekomendacji zespołowi ekspertów pod kierunkiem prof. Mirosława Wielgosia, jednego z najlepszych w kraju perinatologów (specjalistów medycyny matczyno-płodowej). Z dokumentu wynika, że przesłanki do przeprowadzenia takiego zabiegu wiążą się z zagrożeniem zdrowia lub życia płodu, matki albo obojga. Dzieje się tak zazwyczaj w sytuacjach nagłych, np. podczas wystąpienia stanu przedrzucawkowego (płód może wtedy umrzeć w wyniku niedotlenienia, matka z powodu wielonarządowej niewydolności), odklejenia łożyska albo „łożyska przodującego", które wrasta w ścianę macicy i może doprowadzić do krwotoku. Do cięcia kwalifikują się także ciężarne cierpiące na przewlekłe choroby, np. kardiologiczne. W skrajnych sytuacjach (np. wypadnięcia pępowiny, porodu pośladkowego) o przeżyciu noworodka mogą decydować minuty. Wtedy operację przeprowadza się wręcz pod narkozą.

W świetle przepisów nie ma więc mowy, by traktować „cesarki" jak zabiegi na życzenie – ciężarna kobieta w Polsce nie ma prawa wybrać sobie sposobu porodu. Praktyka pokazuje jednak co innego.

Annę ginekolog-położnik zapytał: „Jak chcesz rodzić?". Odpowiedziała: „Chcę cesarkę". Lekarz odparł: „Nie ma problemu". Położnik – jak mówi Anna – „rozumiał jej decyzję". Jego żona również nie chciała rodzić naturalnie, więc dwójka ich dzieci przyszła na świat na sali operacyjnej. Co ciekawe, Anna nie miała wskazań medycznych do przeprowadzenia cięcia. Dopiero pod koniec ciąży pojawiło się lekkie nadciśnienie tętnicze (udawało się je zbić za pomocą leków) i cukrzyca ciążowa. Te dolegliwości nie stały na przeszkodzie, by Anna urodziła syna naturalnie. „Pomogły" jednak lekarzowi. Mógł wpisać je w dokumentację medyczną i dodać „odpowiednie" uzasadnienie.

– Dlaczego właściwie nie chciałaś rodzić naturalnie? – pytam Annę. Na pierwszym miejscu wymienia lęk o życie i zdrowie syna. – W mojej rodzinie jest ciężko chory chłopiec, którego egzystencja ogranicza się do leżenia i patrzenia w sufit. Dziecko mogło być zdrowe, ale podczas porodu owinęło się pępowiną – mówi Anna, po czym dodaje, że bała się też bólu, nieodłącznego elementu rozmów z koleżankami-matkami. Kobiety opowiadały, jak prosiły o podanie środków znieczulających, ale lekarze odmawiali, bo np. akcja porodowa postępowała bardzo szybko, a farmakologia mogła ją spowolnić.

Kiedy Anna była już w zaawansowanej ciąży, oddała się pod opiekę położnej, która miała przygotować ją do macierzyństwa. I co pewien czas, nienachalnie, pytała: „Na pewno nie chcesz rodzić naturalnie? A może jednak spróbujesz?". Anna kręciła głową. – Była troskliwa i opiekuńcza – opowiada kobieta. – Wymieniała zalety naturalnego porodu: szybką rekonwalescencję i to, że ma się więcej pokarmu. Ale nic do mnie nie przemawiało. Jeszcze na kilkanaście godzin przed zabiegiem położna pochyliła się nad moim łóżkiem: „Ania, na pewno cesarka?". „Na pewno" – odpowiedziałam.

Co ze mnie za matka?

Paulina, matka czwórki dzieci, po urodzeniu pierwszego syna siłami natury powiedziała: „Nigdy więcej". Pierwsza jej ciąża rozwijała się książkowo. Paulina nie bała się rozwiązania i w zasadzie nie przygotowała się do niego. Zajęcia w szkole rodzenia? Po co? Uważała, że poród to „naturalna sprawa". Przecież jej babci (której dzieci przyszły na świat w domu) ani matce nikt nie mówił, jak mają rodzić. Przecież „każda z nas, kobiet, to potrafi". Paulina do szpitala pojechała z regularnymi skurczami, ale spokojna i wyciszona.

– Mijała godzina za godziną, wzmagał się ból, ale poród nie postępował. Lekarz ↦

↦ podał oksytocynę, lecz i ona nie przyspieszyła akcji – opowiada Paulina. W pewnym momencie spojrzała na ekran urządzenia monitorującego skurcze macicy i liczbę uderzeń serca płodu na minutę. Tętno stale spadało. – Nie czułam już bólu, zastąpiło go przerażenie. Strach dosłownie mnie paraliżował, cały czas myślałam tylko o tym, że syn może być niedotleniony. W pewnym momencie lekarz z całej siły ucisnął mój brzuch. Poczułam przeszywający ból, ale to poskutkowało. Przez kanał rodny przeszła główka, a po kilkunastu minutach Bartek był na świecie. Zaczął płakać, kiedy dostał lekkiego klapsa. Otrzymał 8 na 10 punktów w skali Apgar.

Paulina kilka dni po porodzie przeczytała, że lekarz zastosował kontrowersyjny chwyt Kristellera (w skrajnych przypadkach może doprowadzić do uszkodzenia macicy). Długo odczuwała ból, chodziła zgięta w pół, straciła pokarm. Nie miała siły, by zaopiekować się noworodkiem, z którym całe dnie spędzała sama (mąż pracował, na pomoc matki i teściowej nie mogła liczyć). Nie potrafiła też rozpoznać potrzeb syna. Kiedy jest głodny, a kiedy trzeba go przytulić? „Co ze mnie za matka?" – myślała. Czasem, kiedy malec płakał długo, zdarzało jej się krzyknąć: „Zamknij się!".

Paulina rodziła jeszcze trzy razy. Za każdym razem z pomocą cięcia cesarskiego. – Tak, rana po cięciu boli i goi się kilka tygodni. Ale to nic w porównaniu z bólem, który czułam przy porodzie siłami natury. Dziś już wiem, że do porodu naturalnego trzeba się przygotować. Te wszystkie opowieści o oddechu i pozytywnym myśleniu mają sens. Zapewne, gdybym to uczyniła, moja historia potoczyłaby się inaczej.

W kleszczach tokofobii

Zdaniem Joanny Piątek-Perlak, psycholożki opiekującej się kobietami z problemem niepłodności i w ciążach wysokiego ryzyka, Polki są wręcz przesiąknięte opowieściami o „horrorach z porodówek". Przekazywane z pokolenia na pokolenie historie wzmagają ich lęk i napięcie. Sprawiają, że nie wierzą we własne siły i sądzą, że nie poradzą sobie na szpitalnej sali. A sam poród po prostu musi być złym doświadczeniem.

Tak było z Karoliną. – Matka powtarzała mi: „Rodziłam cię ponad dwadzieścia godzin, w ogromnym bólu. Umierałam ze wstydu, bo puściły mi zwieracze. A ty byłaś sina jak śliwka z niedotlenienia. Poród to koszmar". Odkąd pamiętam, paraliżował mnie lęk przed porodem. Postanowiłam, że za nic w świecie nie urodzę naturalnie – szczerze przyznaje.

Ginekolodzy-położnicy chcą przekonać Polki, by zaufały naturze, która mądrze „urządziła" ciało kobiety. **Najbezpieczniejsza droga dziecka na świat nie prowadzi przez „cesarkę".**

Karolina zaszła w ciążę zaraz po studiach. Córkę, w renomowanym warszawskim szpitalu, urodziła przez cięcie. Na kolejną ciążę zdecydowała się wiele lat później. Była dojrzalsza, w większym stopniu świadoma swojego ciała i otwarta na macierzyństwo. Rozważała poród siłami natury, bo poczuła, że „chce go doświadczyć". Ale tym razem był on niemożliwy ze względów medycznych. Była w ciąży bliźniaczej, która kwalifikowana jest od samego początku jako „ciąża wysokiego ryzyka". Lekarz rozwiązał ją na wcześniejszym etapie poprzez cięcie cesarskie.

Opowieści doświadczonych porodami kobiet wpłynęły także na Weronikę. Jej matka wspominała poród „kleszczowy", podczas którego noworodkowi, który nie może opuścić kanału rodnego, pomaga się przyjść na świat przy pomocy specjalnych kleszczy. Metoda – ze względu na ryzyko powikłań – jest współcześnie rzadko stosowana, ale nadal tkwi w wyobraźni wielu kobiet. Koleżanki Weroniki mówiły też o porodach wielogodzinnych i okołoporodowym niedotlenieniu płodu albo o kroczu pękającym aż po odbyt. Kiedy więc lekarz za pomocą USG potwierdził, że Weronika jest w ciąży, ona od razu powiedziała: „Ale naturalnie nie będę rodzić!". Położnik długo przekonywał ją do zmiany decyzji. Mówił, że do porodu można się przygotować. Odpowiednie ułożenie ciała, świadome oddychanie, obecność bliskiej osoby (to nie musi być partner, niektóre rodzące pewniej czują się w obecności przyjaciółki lub matki) minimalizują ból. „Zaplanowany poród jest pięknym doświadczeniem" – mówił.

W końcu odesłał Weronikę na konsultację do psychiatry. Ten w rubryce „rozpoznanie" zapisał: „tokofobia", czyli lęk przed ciążą i porodem. To wystarczyło, by córka Justyny przyszła na świat przez cięcie cesarskie. „No, gdzie jest ta moja pacjentka, co się tak bała rodzić?" – zapytał prowadzący ciążę Weroniki położnik, wchodząc na salę poporodową. Weronika wsparła się na łokciu i odpowiedziała: „Tu jestem. Bałam się i wciąż się boję". Kilka lat później drugą córeczkę także urodziła na sali operacyjnej.

Lekcje od natury

Kobiety, które zdecydowały się na urodzenie dziecka przez cięcie cesarskie, powtarzają, że uczyniły to dla jego dobra i bezpieczeństwa. Powszechne jest przekonanie, że poród naturalny może różnie się potoczyć, a „wyciągnięcie dziecka z brzucha" jest bezpieczne. Żadnych niedotlenień, urazów. – I to jest kolejny z mitów – podkreśla prof. Sieroszewski. Po czym długo mówi o powikłaniach, które może nieść za sobą „cesarka". Może dojść do krwotoku, który w skrajnych przypadkach jest dla matki śmiertelny. Rana pooperacyjna czasem źle się goi albo ulega zakażeniu. Cięcie może mieć też wpływ na kolejne ciąże. Np. wtedy, gdy blizna na macicy się rozejdzie. Raz na 2 tys. ciąż zarodek zagnieżdża się i rozwija w bliźnie. To najgorszy ze scenariuszy: grozi rozerwaniem macicy i śmiercią kobiety. Taką ciążę należy natychmiast terminować.

Prof. Mirosław Wielgoś, krajowy konsultant ds. perinatologii, podkreśla, że podczas porodu siłami natury dziecko adaptuje się do życia pozamacicznego. – Noworodek, który miał kontakt z florą bakteryjną pochwy, będzie mieć w przyszłości silniejszy układ immunologiczny. W trakcie przechodzenia przez kanał rodny oczyści także płuca z zalegającego w nim płynu. Dzieciom urodzonym przez cięcie często towarzyszy syndrom „mokrych płuc". I – niestety – są w przyszłości bardziej podatne na różne schorzenia.

Czy lekarze zbyt łatwo ulegają presji i przystają dla świętego spokoju na „cesarki na życzenie"? Prof. Wielgoś zaznacza, że to złożony problem. Do szpitala położniczego często trafiają pacjentki tuż przed porodem. Pokazują zaświadczenie od lekarza (np. kardiologa, okulisty etc.) mówiące o konieczności operacyjnego rozwiązania ciąży. Położnicy mają związane ręce. Jest za późno, by zakwestio-

nować opinię i wysłać pacjentkę na kolejną konsultację. I jeszcze jedna kwestia: w Polsce położnictwo jest specjalizacją obarczoną największym odsetkiem roszczeń ze strony pacjentek. Głównie z tego powodu branża przeżywa kryzys powołań, a w mniejszych miejscowościach występują wręcz problemy z ułożeniem grafiku dyżurów. Kobiety skarżą lekarzy m.in. za źle przeprowadzone porody. Położnicy niekiedy godzą się przeprowadzić „cesarkę na życzenie" właśnie w obawie przed procesem. Dużo rzadziej zdarza się, by lekarze stosowali cięcia, chcąc zarobić dodatkowe pieniądze.

Prof. Sieroszewski: – W naszym środowisku krąży takie powiedzenie: „Nikogo nie pociągnięto do odpowiedzialności karnej za wykonanie cięcia cesarskiego. Ale jeśli komplikacja wystąpi podczas porodu naturalnego, lekarz ma proces jak w banku".

Ginekolodzy-położnicy uważają, że w Polsce brakuje dyskusji o nadużywaniu cesarskich cięć. Powinna ona przekonać ciężarne, by zaufały naturze, która mądrze „urządziła" ich ciało. W brzuchu matki (pomijając przypadki skrajne) dziecko jest najbezpieczniejsze. A najlepsza droga na świat prowadzi przez kanał rodny. Kobietom często brakuje jednak świadomości, że nawet postęp medycyny nie zmienił najważniejszego prawidła: poród naturalny jest najbezpieczniejszy. – Czy to nie paradoks – pyta prof. Sieroszewski – że większość Polek chce żyć w czasach „eko", kupuje „eko" ubrania i „eko" żywność, uprawia jogging, a dzieci chce rodzić na sali operacyjnej?

Łańcuch lęku

Joanna Piątek-Perlak uważa, że odsetek cięć w Polsce mógłby się zmniejszyć, gdyby ciężarne mogły przepracować swe lęki ze specjalistą. Obawa przed bolesnym porodem, podczas którego mogą wystąpić komplikacje, jest naturalna i towarzyszy rodzącym od zarania ludzkości. Strach może jednak pełnić funkcję pozytywną – motywować, a nie paraliżować.

Do gabinetu Piątek-Perlak przychodzą kobiety od wielu lat leczące się z powodu niepłodności, po stracie ciąży (często wielokrotnej), śmierci dziecka podczas porodu i terminacji ciąży z powodu wad płodu. Terapeutka próbuje każdą z nich (oraz towarzyszących im partnerów) otworzyć na macierzyństwo. Nauczyć się nie bać. Jednocześnie podkreśla: tokofobia nie jest pojęciem wymyślonym. Istnieje, ale dotyczy niewielkiego odsetka przypadków. Niekiedy, by przekonać pacjentkę do porodu siłami natury, wystarczy kilka sesji i uważne poszukiwanie odpowiedzi na pytanie: „czego się boisz?". Niejedna kobieta szybko zda sobie sprawę, że lęk, który odczuwa, został jej zaszczepiony: przez matkę, przyjaciółki, media. To nie jest jej własny lęk, więc po co się nim karmić? Wiele kobiet nie jest też świadomych, że współczesna medycyna wyposażona jest w urządzenia monitorujące nie tylko ciążę, ale i poród. Istnieją więc o wiele lepsze mechanizmy radzenia sobie w przypadku komplikacji (zarówno w ciąży, jak i na sali porodowej) niż kilka dekad temu.

> Większość matek chce żyć w czasach „eko", kupuje „eko" ubrania i „eko" żywność, wiele uprawia też jogging.
> **Ale dzieci chcą rodzić na sali operacyjnej. Czy to nie paradoks?**

W masowo wypisywanych skierowaniach na „cesarki" Piątek-Perlak upatruje jeszcze jednego niebezpieczeństwa. Lęk przed naturalnym rozwiązaniem ciąży może być zapowiedzią depresji poporodowej. Jeśli kobieta zacznie pracować nad swoimi problemami na kilka miesięcy przed rozwiązaniem, być może nie tylko zechce urodzić dziecko siłami natury, ale także nie wpadnie w *baby blues*?

Kilka tygodni temu Piątek-Perlak rozmawiała o porodzie z pacjentką, która długo nie mogła zajść w ciążę. Kilka poronień, nieudane próby *in vitro*. – Zapytałam ją, jak zamierza rodzić? Z takim obciążeniem w wywiadzie medycznym cięcie byłoby zapewne uzasadnione. Odparła: „Chcę, żeby poród był jak najbezpieczniejszy dla dziecka". Urodziła naturalnie. I pięknie to wspomina.

Piątek-Perlak uważa, że kobiety często nie zdają sobie sprawy, iż odczuwają lęk nie tyle przed samym porodem, co przed macierzyństwem. Nie są na nie po prostu przygotowane. – Kiedy pacjentka ma wyznaczony termin porodu np. na koniec lipca, pytam: „A kto się ma pojawić na świecie pod koniec lipca?". Praktycznie zawsze pada odpowiedź: „No jak to kto? Moje dziecko". Otóż nie! Tego dnia rodzą się dwie osoby – dziecko, ale też matka. Ciężarna nie bierze pod uwagę faktu, że wchodzi w nową rolę i całe jej życie ulegnie zmianie – podkreśla.

W Polsce (na co zwraca uwagę psycholożka i lekarze-położnicy) nie istnieje rzetelna i uczciwa debata na temat porodu i macierzyństwa. Słyszy się albo o „horrorze na porodówkach", albo media społecznościowe i świat reklamy serwują nam cukierkowe zdjęcia. Zawsze uśmiechnięte matki i piękne dzieci. Obie wizje to fikcja.

– Porozmawiajmy o porodach uczciwie – postuluje Piątek-Perlak i jednocześnie zauważa, że w ostatnim czasie dokonują się pozytywne zmiany. Poród, kobieca fizjologia przestają stanowić tabu. Nasze babcie i matki przełamały wstyd i strach, opowiedziały też o swoich „złych porodach". Haniebne praktyki w szpitalach zostały napiętnowane. Dzięki wysiłkowi organizacji pozarządowych wiele szpitali i oddziałów położniczych zmieniło się nie do poznania. Rodzi się na nich nie tylko „po ludzku", ale wręcz przyjemnie. Tak rodziła np. Ada. Położna pozwoliła jej wybrać wygodną pozycję. Zapytała: „Jaką chcesz muzykę?". W sali był nie tylko mąż, ale też przyjaciółka, wieloródka. – Ciężarne od pokoleń rodzą w asyście kobiet, które są ich „naturalnymi przewodniczkami" – mówi Ada. – Stąd w języku polskim upowszechnia się pojęcie doula, czyli towarzyszka porodu. To doświadczona matka, która wie, jakich użyć słów i w jaki sposób dotknąć rodzącą, by przynieść jej ulgę.

W przestrzeni publicznej brakuje opowieści podobnych do historii Ady. Aż chciałoby się ogłosić akcję: „Mój dobry poród", w której Polki pisałyby o swoich pozytywnych przeżyciach ze szpitalnej sali. Tak naprawdę tylko mały odsetek porodów naturalnych niesie komplikacje, a zdecydowana większość kobiet rodzi zdrowe dzieci. I najczęściej powtarza też: „Ból mija natychmiast, kiedy widzi się dziecko". Niestety, przekonywać kobiety, by zaufały naturze, jest dziś niezmiernie ciężko. Lęki są głęboko zakorzenione w całych pokoleniach, a zaostrzenie prawa aborcyjnego sprawiło, że obawy przed komplikacjami porodowymi jeszcze się zwielokrotniły. Kobiety chcą dla swych dzieci jak najlepiej. Teraz tylko trzeba je przekonać, że dla większości z nich natura jest najlepszym przewodnikiem.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

SEBASTIAN WIELECHOWSKI / SUPER EXPRESS / EAST NEWS

Miś z filmu Stanisława Barei na proteście przeciwko budowie CPK w Wiskitkach. 10 czerwca 2022 r.

Lotnisko jak z bajki

PIOTR WÓJCIK

W rządowej wizji Centralny Port Komunikacyjny przenosi Polskę do pierwszej ligi lotnictwa pasażerskiego. Nikt nie mówi, że odbędzie się to kosztem regionalnych portów, a cała idea grozi porażką.

Dziesiątego czerwca w kilkunastu miejscowościach Polski odbyły się protesty przeciwko inwestycjom związanym z budową Centralnego Portu Komunikacyjnego. Autorzy inicjatywy „Stop CPK" zablokowali drogi, by sprzeciwić się niekonsultowanym społecznie wywłaszczeniom pod linie kolejowe, mające połączyć różne województwa z CPK, który powstanie w gminie Baranów między Warszawą a Łodzią.

Walka będzie trudna, bo to flagowy projekt inwestycyjny obecnego rządu. Dzięki niemu Polska ma stać się bardzo ważnym centrum przesiadkowym i towarowym. Przy okazji znacznie poprawiono by komunikację centrum kraju z największymi miastami. Sam cel projektu jest bez wątpienia słuszny, ale problem w tym, że prognozy dotyczące przyszłej liczby podróżnych są mocno przesadzone.

Coraz mniejszy tort

Na początku roku Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych (IATA) przedstawiło prognozy dla CPK i całego transportu lotniczego w Polsce do 2060 r. Z końcem obecnej dekady CPK ma obsłużyć 30 mln pasażerów, w połowie następnej 40 mln, a w 2055 r. ruch w Porcie Solidarność sięgnie nawet 60 mln osób.

Dobrze wyglądają także perspektywy dla całego transportu lotniczego w Polsce. W 2040 r. wszystkie nasze lotniska odprawią ponad 99 mln pasażerów. Obok CPK największym portem będzie wtedy ten w Krakowie-Balicach (14 mln pasażerów), a po nim Gdańsk oraz Pyrzowice koło Katowic. Prognoza zakłada współistnienie z CPK wielu lotnisk regionalnych, ale nie ma w tych planach Okęcia. Nasze centralne lotnisko ma zniknąć wraz z otwarciem nowego portu. Już dziś nie ma możliwości dalszego rozwoju i stanowi utrapienie dla okolicznych mieszkańców. Po powstaniu CPK stanie się zbędne.

Prognoza potwierdza słuszność całego projektu, co nie powinno zaskakiwać, gdyż została przygotowana na zlecenie samego CPK. Jednak Adrian Furgalski, prezes Zespołu Doradców Gospodarczych TOR, uważa, że duże centra (huby) lotnictwa pasażerskiego polegają zwykle na dużej narodowej linii, takiej jak Air France na lotnisku De Gaulle'a czy British Airways na Heathrow. Polski Lot jest od nich zdecydowanie mniejszy.

– Żeby prognozy IATA dla CPK się spełniły, tranzyty międzynarodowe Lotu musiałyby wzrosnąć z 5 mln pasażerów w latach 2019/2024 do 17,5 mln w roku 2035. Aby to było możliwe, pomijając gigantyczne inwestycje w dodatkową flotę, konieczne byłoby odebranie zachodnim konkurentom sporej części ich ruchu tranzytowego nie tylko w naszej części Europy, ale i w Europie Zachodniej. Dlaczego pasażer z Paryża lub Madrytu miałby lecieć do Azji z przesiadką w CPK? Nie wiem – przyznaje prezes TOR.

Międzynarodowy ruch tranzytowy ma stanowić nawet połowę ruchu w Porcie Solidarność. Problem w tym, że od czasu pandemii COVID-19 w lotnictwie pasa-

żerskim zachodzą zmiany w kierunku krótszych tras, częstszego korzystania z bezpośrednich połączeń bez przesiadek, które obsługują w dużej mierze tanie linie lotnicze. Naszemu narodowemu przewoźnikowi będzie więc trudniej odbierać ruch tranzytowy konkurentom, gdyż cały ten tort będzie się stawał z roku na rok mniejszy. Przyspieszy też proces rezygnacji z dużych maszyn.

– Mamy dziś inne podejście do podróży lotniczych, co wynika nie tylko z innego modelu pracy wykształconego w pandemii, ale i ze wzrostu proekologicznych postaw ograniczających nadmierne przeloty. Tego już prognozy IATA nie wzięły pod uwagę – podkreśla Furgalski.

Żelazna kurtyna wojny

Bartosz Jakubowski, ekspert Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego, zwraca uwagę na fakt, że IATA to związek linii lotniczych, który jest zainteresowany tym, by lotnisk było jak najwięcej. – Oni chcą, żeby to była samospełniająca się przepowiednia. Zrobimy fajne prognozy dla ruchu lotniczego, to wtedy ktoś wyda na to pieniądze i faktycznie tak się stanie – uważa ekspert.

Branża zmaga się dziś również z ogromnymi kłopotami kadrowymi i protestami pracowników, które mogą znacząco wpłynąć na jej wyniki. W Polsce wciąż nie zakończono sporu między kontrolerami lotów a rządem – podpisano jedynie rozejm do 10 lipca. Strajki trwają w Lufthansie i w Ryanair. Z kolei lotnisko Schiphol w Amsterdamie zamierza w wakacje odwołać wiele lotów (mówi się o tysiącach), gdyż brakuje personelu do obsługi podróżnych. Podobne problemy występują też w innych częściach Europy, gdyż w czasie pandemii zwolniono tysiące osób.

– W Polsce było to bardzo boleśnie odczuwane, gdyż Lot kogo mógł, to zwalniał natychmiast. Na przykład stewardesy – przypomina Jakubowski. – One dzisiaj wcale nie chcą tam wracać, gdyż to nie była praca ich marzeń.

Przewoźnicy w końcu zapełnią wakaty, jednak będą musieli zapłacić znacząco więcej personelowi, co wpłynie na ceny biletów. A to tylko jeden z czynników zwiększających koszty podróży. Musimy też pamiętać o drożejącym paliwie oraz o tym, że lotnictwo pasażerskie w UE wciąż korzysta z przywilejów, takich jak zerowe VAT i akcyza na paliwo lotnicze czy ogromna pula bezpłatnych praw do emisji CO_2. W najbliższych latach będą one stopniowo znoszone, co także podwyższy ceny lotów. Jest więc bardzo prawdopodobne, że w nadchodzącym czasie podróże pasażerskie będą dostępne jedynie dla zamożniejszej części społeczeństwa, co odbije się na liczbie pasażerów. Podobnie jak wojna w Ukrainie, jeśli szybko się nie skończy.

– Nasza granica wschodnia stała się obecnie lotniczą żelazną kurtyną, przez którą prawie nic nie przelatuje na wschód – wskazuje Jakubowski. – Sporo przez to straciliśmy, gdyż z dobrego ośrodka tranzytowego staliśmy się państwem frontowym. I nie wiadomo, jak to długo potrwa. Obecne prognozy, szczególnie w odniesieniu do kierunków bliskowschodnich i dalekowschodnich, które dla CPK są nawet ważniejsze niż loty na Zachód, stoją pod dużym znakiem zapytania.

Bez konsultacji

Polski transport lotniczy jest mocno zdecentralizowany. Własny port posiada większość województw, stanowiąc dla nich powód do dumy. Wszystkie one mają współistnieć z CPK – z mapy zniknie tylko Lotnisko Chopina. Nikt nie mówi jednak głośno o wpływie CPK na rentowność tych portów. Tymczasem ten wpływ będzie znaczący, co pokazuje nawet rządowy dokument „Polityka rozwoju lotnictwa cywilnego w Polsce do 2030 roku". W scenariuszu bez CPK, lotnisko w Radomiu w 2040 r. miałoby obsługiwać 3,1 mln pasażerów. W scenariuszu z CPK – zaledwie 800 tysięcy. Przy założeniu, że CPK nie powstanie, w 2060 r. wszystkie lotniska regionalne w Polsce odprawiłyby 67 mln pasażerów. Budowa CPK zmniejszy liczbę pasażerów obsłużonych w portach regionalnych do 55 mln. To prawie jedna piąta ruchu.

– Od 2004 r. konsekwentnie budujemy zdecentralizowany model latania. Ponad 60 proc. udziałów mają w naszym rynku porty regionalne oraz rosnące w siłę tanie linie. I ta tendencja się wzmacnia, bo to właśnie te porty i te linie szybciej się odbudowują po pandemii niż Okęcie i linie narodowe. Po co to niszczyć? – pyta Adrian Furgalski.

Trochę inaczej na sprawę patrzy Bartosz Jakubowski: – Czysto technokratycznie idea CPK, przy założeniu zwinięcia Lotniska Chopina oraz portów w Łodzi i Radomiu, przy ewentualnym pozostawieniu Modlina dla tanich przewoźników, jest całkiem rozsądna. Po co utrzymywać trzy lotniska zamiast jednego? – wskazuje Bartosz Jakubowski. – Ale tego procesu nie da się przeprowadzić technokratycznie, gdyż lotnicze porty regionalne są elementem lokalnej tożsamości, więc budzą emocje.

Tak daleko idąca zmiana powinna więc być szeroko konsultowana z lokalnymi społecznościami i samorządami. Niestety, polityka rządu w tej kwestii jest radykalna, a sama spółka CPK konsekwentnie udaje, że dla innych portów w Polsce nie będzie stanowić konkurencji, chociaż nawet oficjalne prognozy pokazują, że wydrenuje z nich ruch pasażerski.

– CPK nie rozmawia z nikim. Ono nie rozmawia nawet z Ministerstwem Infrastruktury – zauważa Jakubowski. – Czy CPK dyskutuje z samorządami, które mają własne lotniska, na przykład z Łodzią? Też nie. Nie ma żadnych ustaleń, bo to wymagałoby przeprowadzenia trudnych mediacji i podjęcia niepopularnych decyzji. To wszystko wygląda trochę jak zabicie wigilijnego karpia poprzez zagłodzenie go.

Ani kroku w tył

Prace przygotowawcze do budowy lotniska pod Baranowem trwają w najlepsze. Pełnomocnik Rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego Marcin Horała twierdzi, że otwarcie CPK planowane jest na 2027 r., a pierwsze prace budowlane rozpoczną się w przyszłym roku. Mało kto w to wierzy.

– Nawet 2030 rok to byłby termin bardzo optymistyczny – studzi zapał ekspert Klubu Jagiellońskiego. – Ja mam wątpliwości, czy CPK w ogóle powstanie, choć w samej spółce panuje ogromna mobilizacja i wręcz wojenna atmosfera na zasadzie: „ani kroku w tył". Tyle że na razie spółka posiada finansowanie do przyszłego roku, w którym przecież odbędą się wybory. Tymczasem z terenu dochodzą głosy, że nawet lokalni działacze PiS wcale nie chcą gasić protestów, które powstają wokół budowy portu i towarzyszących mu linii kolejowych. Wręcz przeciwnie, sami zgłaszają pretensje do centrali.

Na razie w kwestii swojego gigantycznego projektu polski rząd zdania nie zmienia, zdradza raczej objawy syndromu oblężonej twierdzy. Nie sprzyja to merytorycznej analizie i otwarciu się na krytyczne opinie. Wygląda na to, że idea CPK ma więc bardziej ambicjonalne niż ekonomiczne podstawy. W taki sposób nie trafimy do lotniczej ekstraklasy. ©

Trzeźwy brzeg Wisły

DOROTA DROŚ

Nie wypiła zimą, mając pod stopami skrzypiący śnieg. I latem, czując w letnim powietrzu mirabelki. Wcześniej kojarzyły jej się z tym, że właśnie zaczynają się wakacje i zaraz będzie chlanie.

Michalina Kobla nie myśli codziennie o tym, że jest alkoholiczką. Jej profil na Instagramie to odważne spojrzenia prosto w kamerę i walka: o sprawiedliwość społeczną, tolerancję dla mniejszości, unormowanie rynku pracy. Czasem pojawia się: „mój kot i ja w rocznicę mojej trzeźwości". Albo: „Tak wyglądam dzisiaj, chociaż zapracowana, a jak wstrzykiwałam sobie kwas hialuronowy, w najgorszych momentach nieprzerwanego picia, to na czubku brody robiły mi się siniaki. Nieważne, ile zabiegów bym nie zrobiła, w moich oczach coś i tak było nie tak, byłam za gruba, za brzydka, za bardzo nieakceptowalna dla samej siebie. Taka, którą trzeba ukryć pod kwasem. Dzisiaj mogę o tym opowiedzieć na moim profilu".

Życie Michała Brolera w social mediach to ledwie kilka zdjęć. Na wakacjach. Uśmiechnięty. Z gitarą. Życzy wszystkim Wesołych Świąt, bo święta są super. Ostatni post to podsumowanie 2021 r. w jednym obrazku. „To był rok, w którym opowiedziałem o moich sukcesach i porażkach". Na zdjęciu grafika z Michałem i Michaliną. I logo ich wspólnego podkastu: Trzeci Brzeg Wisły.

Ugrzęźnięcie

On zaczął pić w wieku 16 lat. Jego ojciec był wciąż nieobecny, mama starała się trzymać rodzinę razem, jak umiała. Inicjacja alkoholowa: duża impreza. Stres znika, lęki też. Rodzi się poczucie bycia superbohaterem. Dziewczyny stają się przyjazne. Ciało robi się potężniejsze.

Ona zaczęła, gdy miała lat 13. Szybko zaczęła pić sama, a te momenty, kiedy w liceum jest w domu tylko z alkoholem, stają się dla niej najpiękniejszymi chwilami.

Woodstocki, osiemnastki, połowinki, ćwiartki. Michalina ma 19 lat, siedzi z kolegą, oczywiście piją. Robi rachunek. Wychodzi na to, że nie miała od miesiąca ani jednego trzeźwego poranka. Proponuje, żeby spędzili czas jakoś inaczej. Jest fatalnie, nudno. I bardzo smutno.

Samo picie w tym wszystkim nie jest najgorsze, najgorsze są powroty do nałogu po przerwach. Każdy kolejny potworniejszy od poprzedniego.

W końcu w 2020 r. oboje idą na terapię. Pomaga pandemia, która znacznie ogranicza liczbę pokus na mieście. Michał zaczyna kilka razy, najpierw udaje mu się wytrzymać miesiąc, po czym mówi sobie, że już wszystko jest świetnie, i opuszcza terapię. Po jednym piwku wraca do poprzedniego stanu, a właściwie jest gorzej. Odchodzi dziewczyna, z dawnymi kompanami od szalonych warszawskich nocy też nie ma już kontaktu. Zostaje sam.

– Musisz stracić wszystko, ugrzęznąć w tych rzygach, żeby się z tego wygrzebać, coś zrozumieć – mówi dzisiaj.

Michalina rozpoczęła walkę, kiedy czuła się już fizycznie zupełnie nie do życia. Terapeutka, polecona jej przez członków rodziny, zaproponowała metodę małych kroków. Razem rozpisały etapy ograniczania alkoholu, schodząc do jednego piwa tygodniowo. Jakie to było piwo? – Oczywiście, porter, najmocniejsze! – Michalina wybucha śmiechem.

Z czasem zero na liczniku procentów nie pojawia się przy tygodniach, ale wręcz przy miesiącach. Aż pewnego dnia dociera do niej, że „to już": minął rok. Wciąż jednak boi się, czy da radę w różnych momentach roku, zwłaszcza w tych bardziej zachęcających do picia i mniej zachęcających do życia. A jednak była trzeźwa, mając pod stopami skrzypiący śnieg. Była trzeźwa, stukając wiosną obcasami po chodniku. I latem, czując w powietrzu mirabelki, które wcześniej kojarzyły jej się z tym, że zaczynają się wakacje i zaraz będzie chlanie.

Ratunek

Ich światy połączyła abstynencja. Wzięli udział w podkaście Marka Sekielskiego „Sekielski o nałogach". Byli co prawda gośćmi dwóch różnych odcinków, ale po nagraniach Michał skontaktował się z Michaliną i zaproponował, by ruszyli z własnym programem. Obydwoje czuli się „niedoreprezentowani" – stereotyp alkoholika to wiek co najmniej średni, raczej patologia, raczej płeć męska. Zwłaszcza Michalina, 25-letnia alkoholiczka, czuła, że nie pasuje do tego schematu.

Spotkali się raz, na kawie. Od razu kliknęło między nimi, zbieżność doświadczenia, potrzeba wyrzucenia z siebie frustracji przy drugiej, rozumiejącej nas osobie, i chęć słuchania. Potem już zaczęli nagrywać.

Podkast nazwali „Trzeci brzeg Wisły". To ten brzeg, z którego patrzy się z dystansem na to, co dzieje się nad rzeką, której obydwa brzegi są popularną wśród młodzieży imprezownią. Trzeci brzeg Wisły to brzeg inny, stabilny, którego rzeka alkoholu nie podmywa.

Pomysł był taki, by nie tylko opowiadać o sobie, ale też oddać głos innym. Otworzyć się na ich historie oraz jak najszerzej opisać zjawisko. Podkast miał stać się miejscem w sieci, w którym pomoc znajdzie osoba młoda, bo poczuje, że nie jest sama ze swymi zmaganiami. Choć Michał i Michalina podkreślają

YOUTUBE / TRZECIA STRONA WISŁY

Michał Broler i Michalina Kobla podczas nagrywania swojego podkastu. Warszawa, maj 2022 r.

w swoich nagraniach, że nie są specjalistami, wiele osób zwraca się do nich o pomoc. Większość z nich jest w wieku 18-34 lata. – Docieramy dokładnie do tych, dla których chcieliśmy to robić – mówi po dziewięciu miesiącach działania podkastu Michał.

W pewnym momencie zaczęli organizować spotkania, które nazwali „Trzeźwy brzeg Wisły". Powstała grupa na fejsie, zaczęły się spotkania z innymi trzeźwiejącymi. Czasami umawiają się, by razem pomuzykować. Jak jest cieplej, by poruszać się na świeżym powietrzu. Świętować na działce rocznicę abstynencji. Albo po prostu usiąść i pogadać, chociaż to ciągle jest ciężkie. Być w barze, gdzie alkohol jest na wyciągnięcie ręki. Ale na tym to właśnie polega, by toczyć bój z samym sobą. I zarazem przechodzić przez to w grupie, tak jest dużo łatwiej.

Pytam ich niezależnie, jak przeżyli prawie rok wspólnego nagrywania.

Michał: – Ani razu się nie pokłóciliśmy.

Michalina: – Nie pokłóciliśmy się ani razu.

Terapia

Po Bożym Narodzeniu obydwoje mieli dłuższą przerwę w nagrywaniu kolejnych odcinków.

– Były święta, wiesz, ciężki czas. Ale zebraliśmy siły i znowu zaczęliśmy działać – mówi Michał.

Pomaga im HALT. To jeden z programów wspierających wychodzenie z alkoholizmu. Jego nazwa powstała od pierwszych liter stanów (w języku angielskim), których zdrowiejący alkoholik powinien się wystrzegać: Głodu (H), Złości (A), Samotności (L), Zmęczenia (T). Owładnięcie którymś z tych uczuć grozi niebezpieczeństwem nawrotu nałogu.

Wbrew powszechnemu mniemaniu, nawrót nie oznacza jednak złamania abstynencji. Jest stanem, który dopiero zapowiada ryzyko, pojawiają się pierwsze odczucia głodu. W takich sytuacjach pomaga obecność terapeuty, osób bliskich, trzymanie się grupy wsparcia, czyli innych osób wychodzących z nałogu, które rozumieją ten stan.

Jeśli powyższych elementów zabraknie, nawrót może skończyć się źle. Młodzi uzależnieni mają na to konkretne słowo – zapicie. Ani Michalina, ani Michał, odkąd zajęli się na dobre walką o swoją trzeźwość, nie zapili. Michał twierdzi, że to właśnie podkast ma na niego terapeutyczne działanie. Jest radarem tego, co dzieje się w jego wnętrzu. Jeśli czuje, że nie ma siły go nagrywać, to znak, że coś go w środku szarpie i musi uważać.

Prawdziwym kluczem do sukcesu jest terapia. Bardzo intensywna, by zająć głowę. Początkowo wypełniająca przynajmniej kilka wieczorów w tygodniu, na które składają się zarówno spotkania indywidualne, jak i meetingi.

W Warszawie i jej okolicach oraz w innych dużych miastach nie ma z tym problemu. Znajduje się w sieci grupę, która nam pasuje, także światopoglądowo, i po prostu przychodzi na meeting. Trzeba jedynie przyznać przy ludziach, że ma się poważny problem z nałogiem, i zadeklarować, że chce się leczyć z choroby.

W Pruszkowie terapeutka Michała założyła grupę, do której należą pracujący z nią uzależnieni. Dziś są jak rodzina. Nic dziwnego, odkąd zdecydowali się na terapię i udział w meetingach, duża część znajomych poszła w odstawkę. Pojawili się nowi. To osoby ze spotkań, z grup w internecie. Słowem: bańka, która ma dla siebie nieskończenie dużo empatii i zrozumienia. Tworzą się przyjaźnie, a nawet związki.

– My się szukamy i znajdujemy w tłumie – mówi Michalina. – A jeszcze nie tak dawno osoba niepijąca wydawałaby mi się kompletnym nudziarzem. Kiedy jednak wychodzisz z nałogu, a po drodze spotykasz ludzi, którzy przeszli to samo, relacje stają się dużo głębsze, jest w nich więcej zrozumienia.

Euforia

Kiedy rzuci się picie, a uzależniony odzyska równowagę emocjonalną, nagle otwierają się nieskończone perspektywy, co można robić z własnym życiem. Michalina: – Miesiąc miodowy, różowe chmurki nad głową. Najpierw nagradzanie wewnętrznego dziecka, granie w gry przez pół dnia, kupowanie sobie przyjemnych drobiazgów. Odkrywanie tej fajnej strony dorosłości, tego, że można robić, co się chce. A potem przyszedł atak paniki, święta Bożego Narodzenia w małym mieszkaniu. Z braku pomysłów, co z tym wszystkim zrobić, zaczęłam pić kawę. Jak typowa alkoholiczka piłam ją ze słoika, potem obliczyłam, że to było coś koło dwóch litrów dziennie. Dostałam ataku paniki z przedawkowania kofeiny. Ale wróciłam jakoś do pionu.

Dziś Michalina robi rzeczy, na które kiedyś zupełnie nie było czasu i sił. Dużo jeździ na rowerze, chodzi na spacery, poznaje Warszawę. – Wreszcie czuję wiatr ↦

↦ na twarzy, rozglądam się dookoła siebie, doświadczam świata, nawet blokowiska wydają się interesujące – mówi.

Michał: – Niesamowity rozwój zawodowy. Wcześniej wpadałem często w rutynę, zbierałem kolejne prace zdalne, czasem pięć dni pod rząd. W branży IT jest luźna atmosfera i duże przyzwolenie na elastyczną pracę, jest też elastyczne podejście do używek. Robotę odbębniałem więc niemal automatycznie. Odkąd rzuciłem alkohol, dwa razy zmieniłem pracę na lepszą. Kompetencje rosną w tempie niemal geometrycznym. Ostatnio wyszedłem z kolegami na miasto, żeby się pożegnać przed odejściem do nowej firmy. Kelnerzy roznosili darmową whiskey, ale wszyscy odmówili ze względu na mnie. Siedzieliśmy, gadaliśmy. Teraz w ogóle mam dużo większy szacunek do ludzi i od ludzi, już się ich nie boję. Jestem sobą. Wróciłem z tego spotkania i mówię sobie: „byłeś Michałem Brolerem". Nikim innym, lecz tylko – i aż – Michałem Brolerem. To był udany wieczór.

Przedtem

Z czym dzisiaj kojarzy im się Wisła?

Dla Michała to już nie jest dobre miejsce. Na urodzinach brata wytrzymał na schodkach bulwarów ledwie 20 minut. Czasem chodzi nad Wisłę w południe, gdy jest w miarę pusto, z koleżanką, która mieszka niedaleko, i jej psem. Wieczorami nie znajduje tam już żadnej rozrywki dla siebie, tylko niebezpieczne sytuacje, spotkania, zachowania, a nawet zapachy, które przywracają wspomnienia pijackich nocy na mieście.

– Wisła to był naturalny krajobraz dużej części mojego toksycznego okresu w życiu – mówi z kolei Michalina. – Nie jestem z Warszawy, ale z Płocka, gdzie młodzież też przesiaduje nad Wisłą. Razem z wodą tam również płynęło morze alkoholu.

Picie w młodym wieku wpływa na układ nerwowy. Alkohol uszkadza pamięć, koncentrację, ośrodek mowy, osłabia inteligencję i empatię. Ryzyko nałogu staje się cztery razy większe.

Warszawskiej Wisły Michalina też jeszcze nie odczarowała, było za wcześnie, wspomnienia nie pozwoliły. Najbliższy sezon wakacyjny będzie tym, w którym zamierza dużo jeździć na rowerze właśnie nad Wisłą, przez warszawskie mosty. Mówi, że kiedy przejeżdża na drugą stronę, ma nadzieję, że ta woda w końcu symbolicznie zmyje z niej stracony czas na wiślanym brzegu.

Z dzisiejszej perspektywy dni, które kończyły się zawsze tak samo, zlewają się w jedno. A jednak dojście do przekonania, że tak nie można żyć, nie jest łatwe. Pytam o czas tuż przed zerwaniem z nałogiem.

Gdy Michalina opowiada o sobie przed terapią, w jej ustach kilkukrotnie pojawia się to samo słowo – praca. Zrozumiała, że pracoholizm, któremu uległa równolegle z nałogiem, jest autoagresją, wyrazem tego, że nie czuje się pełnym i naprawdę wartościowym człowiekiem. Pracowała od rana do wieczora, a wracając do domu kupowała alkohol i piła w samotności przed komputerem. Ćwiczyła „kontrolowanie w tym braku kontroli", czyli picie nie do urwania filmu, ale do pójścia spać, kiedy czuła, że ma dość. A rano znowu pobudka z bólami całego ciała i całej psychiki. No i to poczucie, że wszystko pachnie tak, że ma się już dość. Do alkoholizmu doszła jej jeszcze bulimia, więc zapach przetrawionego alkoholu w połączeniu z kwasem żołądkowym towarzyszył jej non stop. – A do tego te wiecznie podkrążone oczy, ciągłe uczucie paniki, dramat – wspomina. – Żeby udowodnić sobie, że wszystko jest w porządku, że jakoś daję radę, do pracy jeździłam rowerem. „Pokutnym rowerem", jak wtedy go nazwałam.

Michał podkreśla, że okres picia był wypełniony lękiem, brakiem zaufania do ludzi i do samego siebie. Dopiero po zażyciu jakichś substancji stawał się lepszą, akceptowalną wersją siebie. Mówi, że w którymś momencie nawet polubił kaca. Ten moment autodestrukcji, który był jednocześnie momentem weny. Brak lęków społecznych, wszystko w głębokiej pogardzie. Ale w pewnym momencie wszystkie pijackie afery przestały się mieścić w jednym życiu. Musiał skończyć pić, by przetrwać. Dziś widzi, że dużo w tym wszystkim było ukrytej nienawiści do ojca. – Nienawidziłem go bardzo, aż do wytrzeźwienia. Teraz mamy świetną relację – mówi Michał.

■ ■ ■

W jednym z odcinków podkastu Michalina i Michał cytują raport Instytutu Jagiellońskiego „Polska zalana piwem". Według niego inicjacja alkoholowa w Polsce przypada zwykle na 12.-13. rok życia. Większość osób w wieku 15-18 lat ma już za sobą epizody silnego upicia się. W przypadku polskiej młodzieży chodzi najczęściej o piwo (74 proc.) oraz wódkę (62 proc.).

Konsekwencje są poważne i czasem nieodwracalne. Szczególnie ryzykowne jest rozpoczęcie picia przed 15. rokiem życia, gdy ośrodkowy układ nerwowy wciąż dojrzewa. Upośledzeniu mogą ulec pamięć, koncentracja, inteligencja, empatia, ośrodek mowy. Osoby, które zaczynają pić w tym wieku, cztery razy częściej uzależniają się od alkoholu w późniejszym życiu. Chyba że znajdą swój trzeci brzeg Wisły. Wtedy nie utoną. © DOROTA DROŚ

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim pod sygn. akt I N 614/21 toczy się sprawa z wniosku Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Sulejówku o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego na okres 10 lat kwoty stanowiącej przedmiot umowy przechowani zawartej ze zmarłą Krystyną Dubińską, z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez spadkobierców Krystyny Dubińskiej po przedstawieniu prawomocnego postanowienia o stwierdzeniu nabycia spadku lub aktu poświadczenia dziedziczenia.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, na skutek wniosku Marka Kurowskiego, pod sygnaturą I Ns 626/20, toczy się postępowanie o stwierdzenie zasiedzenia udziału we współwłasności nieruchomości położonej w miejscowości Kruki, składającej się z działek oznaczonych w ewidencji gruntów numerami: 260, 261, 262, 263, o łącznej powierzchni 0,5300 ha.

Sąd wzywa zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców Stanisława Zbrożka, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

JACEK

Podsiadło:
Nie te piosenki

Kolejne Dorzynki Piosenki Polskiej w Opolu zakończyły się i mogę już pisać. Wcześniej nie mogłem, bo Piosenka Polska, kiedy ją dorzynają, straszliwie drze japę, a mieszkam blisko amfiteatru.

Słowikom PRL-u letnie szlaki migracji wyznaczały cztery festiwale. Najpierw rozdawano im samowary w Zielonej Górze, potem różne wyroby ze złota w Opolu i pierścienie w Kołobrzegu, na koniec zaś słowiki rywalizowały o słowiki w Sopocie. W 1979 r. Niemen zamiast słowika dostał jacht „Dalmoru", jak najbardziej dalekomorski. Korzystając z okazji, że nagrody nie było jak wręczyć, Niemen jej nie przyjął i wszyscy byli zadowoleni. Najbardziej sam artysta, który mieszkał w Warszawie na dwudziestu metrach.

Wszystkie wielkie festiwale odbywały się na Ziemiach Pozyskanych, aby udowodnić odwieczną polskość tych ziem. Piosenka mówiła o tym wprost: „Nie po to Polanie tyle lat kochali tutaj leśne runo, żeby nam obcy lasy kradł i znaczył miasta krwawą łuną" (Nina Urbano). „Ideowo-polityczne i organizacyjne problemy rozrywki" w tak właśnie zatytułowanej broszurze z 1976 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki rysowało następująco: „Tak zwany show-biznes Zachodu czyni wysiłki zdominowania sztuki rozrywkowej swoimi wytworami kosztem osłabienia tradycji artystycznej i obyczajowej innych krajów". Festiwal w Zielonej Górze poświęcony był wzmocnieniu tradycji artystycznej i obyczajowej jednego konkretnego kraju. W festiwalowym regulaminie bardzo podoba mi się punkt mówiący o tym, że warunkiem uczestnictwa w eliminacjach jest brak wykształcenia muzycznego. Z kolei, żeby dostać skrzydełko czy nóżkę Bursztynowego Słowika w Sopocie, zagraniczne gwiazdy musiały osłabić własne tradycje artystyczne i wydukać w Operze Leśnej piosenkę polską. Wysyłano im zestaw kilku piosenek do wyboru, każdej gwieździe inny. Roman Waschko w 1973 r. przyczyn klapy tzw. dnia polskiego w Sopocie upatrywał w tym, że „być może wysyłamy nie te piosenki nie do tego piosenkarza".

Festiwal piosenki żołnierskiej pełnił zarazem funkcje festiwalu piosenki poetyckiej. Tylko w Kołobrzegu można było posłuchać perełek liryki miłosnej adresowanej do oręża: „Ile tajemnic ma armata, choćby ta, trzeba tygodni byście ją poznali" (Barbara Książkiewicz); „Niech dowódca każdy tak armaty toczy, żeby mógł przez lufę spojrzeć WROGU w oczy. Panny by rozbierać nam się należało, póki co, chłopaki, rozbierzemy działo" (Józef Nalberczak i Krzysztof Kubicki); „Nie gniewaj się panno, żeś nie całowana, wczoraj jeszczem obejmował karbowany granat" (Bernard Ładysz).

Z pomniejszych festiwali wart ocalenia od zapomnienia wydaje się Festiwal Muzyki Nastolatków. Jego finał w 1966 r. ściągnął na stadion Lechii w Gdańsku 20 tys. ludzi. Tylko jedna trybuna była zadaszona, a tuż przed koncertem nastąpiło oberwanie chmury, co bardzo zdenerwowało młodzież. Przewodniczący festiwalowego jury Jan Byrczek wyjaśniał potem na łamach prasy, że nie było „ani jednego przypadku złamania kończyny lub innych poważnych obrażeń", aczkolwiek przyznawał, że „zniszczono rzeczywiście część ławek a nawet i wygięto jeden z kilkudziesięciu masztów, na których zawieszone były flagi klubu". Kiedy jury ustami Poli Raksy i Jerzego Zelnika ogłosiło werdykt, okazało się, że zarówno pierwszą nagrodę w wys. 10 tys. zł, jak też puchar i dwa tysiaki z nagrody Głównej Kwatery ZHP dla zespołów prowadzących działalność instruktorską w harcerstwie dostaną Skaldowie. Ponadto lider Skaldów Zieliński otrzymał od redakcji miesięcznika „Jazz" zegarek. Prawdopodobnie wtedy właśnie doszło do wygięcia masztu wskutek niezadowolenia młodzieży, że prawie wszystkie nagrody zabrał do Krakowa Zieliński.

Od 1968 do 1979 r. odbywał się na Śląsku Ogólnopolski Festiwal Pieśni Zaangażowanej, cytaty biorę z archiwów katowickiego KC. Dochód z pierwszej edycji planowano przeznaczyć na „pomoc dla walczącego Wietnamu", ale dochodu nie było, bo koncerty pieśni rewolucyjnych, pieśni budowniczych socjalizmu oraz pieśni bojowników o wolność Ekwadoru i Kambodży nie miały wzięcia, nawet przebojowy „Pracowitych Khmerów stary ród". Publiczność dopisała jedynie na koncercie protest songów, do którego dopuszczono warunkowo, „tylko z programem zaangażowanym", m.in. Skaldów, No To Co, Niemena i Woźniaka. Podczas kolejnego festiwalu Komitet Organizacyjny „zabezpieczył frekwencję na koncertach zarówno pod względem ilości, jak i jakości widzów", rozdając w zakładach pracy bezpłatne bilety. O napisanie pieśni o Leninie, hymnu festiwalowego, poproszono Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego i Wojciecha Kilara, jako gwiazdę zaproszono laureatkę Festiwalu Pieśni Politycznej w Soczi Marylę Rodowicz. 86 festiwalowych wykonawców wykonywało po trzy utwory, z których tylko jeden musiał traktować o Leninie. Mimo tych zabiegów w 1979 r. festiwal zdechł.

Do końca komuny dotrwał za to festiwal zielonogórski. W rozmowie dla „Dużego Formatu" Krzysztof Cugowski usprawiedliwiał występ Budki Suflera w Zielonej Górze jeszcze w 1985 r. dużą liczbą dzieci posiadanych przez członków zespołu. Janusz Głowacki zapamiętał, że „w sierpniu 1980 na zakończenie Festiwalu Piosenki w Sopocie lokalne władze wydały bal. Ale równocześnie, tuż obok, strajkowali robotnicy w stoczni. Większość artystów zadecydowała, że na bal iść nie wypada. Ostro atakowany w SPATiF-ie za wzięcie udziału w balu, czyli kolaborację, znakomity piosenkarz bronił się z oburzeniem:

– Owszem, poszedłem, ale nic nie jadłem.
– Ale piłeś.
– Piłem, ale nie tańczyłem". ©

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

WIARA

DZIECI BOGA

VINCENT DOYLE, ZAŁOŻYCIEL COPING INTERNATIONAL, ORGANIZACJI POMAGAJĄCEJ DZIECIOM KSIĘŻY:

Karą za szczerość i publiczne przyznanie, że jest się ojcem, nie powinno być wydalenie ze stanu duchownego.

MARTA ZDZIEBORSKA: Czy to przypadek, że syn księdza został psychoterapeutą?

VINCENT DOYLE: Nie wierzę w przypadki. Proszę na to zwrócić uwagę: rozmawiamy w dniu urodzin mojego ojca, i w dniu, w którym w 2011 r. zrozumiałem, że jestem jego synem. Kompletnie nie wiedziałem wtedy, jak sobie z tym poradzić. Czy powinienem powiedzieć o tym przyjaciołom i mojej ówczesnej dziewczynie, czy może lepiej zachować to dla siebie? Gdy ostatecznie zdecydowałem się, że będę o tym mówić otwarcie, ludzie z mojego otoczenia próbowali mnie uciszyć. Wielu wytykało mnie palcami i czułem się napiętnowany. To właśnie wtedy zwróciłem się o pomoc do psychoterapeuty, a potem sam nim zostałem.

Kto w tamtych trudnych chwilach najbardziej Pana atakował?

Z przyczyn prawnych nie mogę ujawnić szczegółów. Powiem tylko, że to ludzie, z którymi łączą mnie więzi biologiczne, i nie była to moja matka. Najbliżsi zachowywali się strasznie: wydzwaniali do mnie, grozili i obrażali, śledzili na ulicy. Zażądali nawet, żebym wyjechał z Irlandii i zmienił nazwisko. Tak naprawdę nie nazywam się Vincent Doyle.

A jak?

Vincent Finn. To bardzo mnie zabolało. Reakcje najbliższych sprawiły, że czułem się tak, jakbym był ucieleśnieniem grzechu. Jednocześnie oni wszyscy od początku wiedzieli, że jestem synem księdza, i uczestniczyli w zmowie milczenia. Najgorsze jest to, że nie mogłem wtedy liczyć na wsparcie ze strony Kościoła i bliskich kolegów, z którymi przez lata spotykałem się co piątek na piwie. Czułem się bardzo samotny.

RADIUS IMAGES / EAST NEWS

Ile trwała Pana psychoterapia?

Cztery lata. Tyle czasu potrzebowałem, by zrozumieć, dlaczego od zawsze tak ważny był dla mnie Kościół, i dlaczego związane z tym rozterki zżerały mnie od środka. Gdy w końcu to pojąłem, mogłem przekierować energię na przepracowanie traumy. Pamiętam, jak podczas jednej z sesji powiedziałem: „To niemożliwe, żebym tylko ja był dzieckiem księdza. Takich ludzi jak ja musi być więcej". To właśnie wtedy skontaktowałem się z nuncjuszem apostolskim w Irlandii i niedługo potem zapisałem się do szkoły psychoterapii. Czułem, że zanim zacznę walczyć o prawa dzieci księży, muszę zrozumieć ich problemy z naukowej perspektywy.

W swojej książce „Our Fathers" pisze Pan, że dostał od swojego ojca dużo miłości. Wiele dzieci księży nie mogło na to liczyć: doświadczyły odrzucenia, ich matki były zastraszane, a nawet zachęcane do aborcji. Czy takie osoby mogą wyjść na prostą?

Niestety niektórym może się to nigdy nie udać. Proszę pamiętać, że dzieci księży doznają odrzucenia i lęku, będąc jeszcze w brzuchu matki. Ich organizm o tym nie zapomina: wiele osób skarży się potem w dorosłym życiu na silne bóle psychosomatyczne. Oczywiście dzięki psychoterapii można nauczyć się, jak prowadzić szczęśliwsze i pełniejsze życie, ale człowiek nigdy nie zapomni pierwotnego cierpienia, jakiego doświadczył.

A co działo się podczas ciąży Pana mamy?

Mama opowiadała mi, że przez trzy tygodnie po narodzinach nie wydawałem z siebie żadnego dźwięku. Miałem kurczowo zaciśnięte palce u stóp i rąk, tak jakbym przez kilka miesięcy żył w permanentnym stresie. Gdy moja mama dowiedziała się, że jest w ciąży z księdzem, poszła do kościoła i wyznała to podczas spowiedzi. Spowiednik nawrzeszczał na nią, zwyzywał od grzeszniczek i kazał jej zostawić mojego ojca w spokoju. Mama wspomina, że w tamtych chwilach jej brzuch stał się twardy jak skała. Po raz pierwszy usłyszałem tę historię w wieku trzydziestu lat. Pojechałem wtedy do tamtego księdza i zażądałem od niego przeprosin. Na moich oczach rozpłakał się i obiecał, że nigdy nie wykorzysta sakramentu spowiedzi do krzywdzenia innych.

A jak zareagował Pana ojciec na wiadomość, że będzie miał syna?

Poprosił moją mamę, by w żadnym wypadku nie dokonywała aborcji. Trzeba pamiętać, że tata był wtedy w Stanach Zjednoczonych, gdzie kobiety miały prawo do aborcji na życzenie. W Irlandii to było nie do pomyślenia.

Ojciec przez cały okres ciąży kontaktował się z moją mamą i wrócił na stałe do Irlandii dwa miesiące po moich narodzinach. Mama opowiadała mi, że gdy zobaczyłem go na lotnisku i usłyszałem jego głos, wyciągnąłem rączki w jego stronę i pozwoliłem mu się wziąć na ręce. To było coś niezwykłego, bo tuż po urodzeniu byłem przyklejony do mojej mamy i nie chciałem, by ktokolwiek inny mnie przytulał. Wtedy, na lotnisku, po raz pierwszy doświadczyłem miłości ze strony ojca.

Dorośli mówili jednak, że to Pana chrzestny. Jak wyglądała Wasza relacja?

Spotykałem się z tatą w każdy weekend. W zasadzie można powiedzieć, że spędziłem dzieciństwo w kościele, i to dosłownie. Gdy tata prowadził nabożeństwo, siedziałem zawsze w pierwszym rzędzie. Towarzyszyłem mu, gdy jeździł z wizytą do chorych parafian. Gdy musiał porozmawiać z kimś na osobności, rozumiałem to i w tym czasie bawiłem się sam na podwórku. Pamiętam, że dużo życzliwości spotkało mnie ze strony sióstr zakonnych. Zawsze dawały mi czekoladki i opiekowały się mną, gdy tata był zajęty.

Przełożeni ojca nie mieli nic przeciwko temu, że tak często pokazuje się ze swoim „chrześniakiem"? To musiało wzbudzać podejrzenia wśród wiernych.

Rozumiem pani wątpliwość. Nawet moja mama nakłaniała tatę, by zachowywał większą ostrożność. Na przykład nie chciała się zgodzić, by kupił do samochodu fotelik dla dziecka. Ale mój tata nie widział w tym problemu. Być może korzystał z tego, że cieszył się dużym autorytetem i nikt nie odważyłby się zadrzeć z księdzem. Pamiętajmy, że to były lata 80. w katolickiej Irlandii.

Często mówi Pan, że choć czuł się kochany, to jednocześnie doświadczył od bliskich przemocy. Na czym ona polegała?

↦

Dyskretni ojcowie

To jemu i jego książce zawdzięczamy, że w Kościele katolickim zaczęto głośno mówić o sytuacji dzieci księży.

DZIECI DUCHOWNYCH nierzadko żyją na marginesie Kościoła, podczas gdy ich ojcowie wspierają i modlą się za wiernych" – te i inne paradoksy opisuje w książce „Our Fathers" Vincent Doyle, irlandzki psychoterapeuta i syn księdza, który o swoim pochodzeniu dowiedział się w wieku 28 lat. Choć mężczyzna już wcześniej podejrzewał, że jego ojcem był duchowny, przez lata wmawiał sobie, że ma w tej kwestii urojenia. Wszystko zmienił wieczór 19 maja 2011 r., gdy podczas czytania jednego z wierszy swojego „ojca chrzestnego", Doyle zrozumiał, że łączyła ich znacznie silniejsza więź.

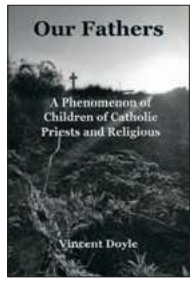

IRLANDCZYK, w przeciwieństwie do wielu dzieci księży, nie zamierzał na ten temat milczeć. Walcząc o prawa tysięcy takich jak on, przebył długą drogę, by Watykan zajął publiczne stanowisko w sprawie księży posiadających dzieci. Doyle skrupulatnie opisuje w swojej książce spotkania z przedstawicielami Kongregacji ds. Duchowieństwa, irlandzkimi biskupami i abp. Ivanem Jurkoviciem, ówczesnym stałym obserwatorem Stolicy Apostolskiej przy ONZ. Irlandczyk wielokrotnie powtarza przy tym, że Kościół jest odpowiedzialny za zmowę milczenia wokół „dzieci wyświęconych", jak określa ich w swoich wytycznych Stolica Apostolska. Doyle krytykuje również politykę Watykanu, który pomimo braku stosownych regulacji w prawie kanonicznym od lat zaleca, by duchowni-ojcowie odchodzili ze stanu kapłańskiego. „Gdyby jakakolwiek organizacja na świecie karała za ojcostwo bezrobociem, Kościół katolicki byłby pierwszy, by potępić takie działania. Inaczej wygląda sytuacja, gdy dochodzi do tego na własnym podwórku" – pisze Doyle, opowiadając się za udzielaniem święceń kapłańskich *viri probati*, czyli żonatym mężczyznom zaangażowanym w posługę Kościoła.

W SWOJEJ KSIĄŻCE „Our Fathers" Irlandczyk rozlicza również tych, którzy za swoje działania powinni zapłacić wysoką cenę. Czytamy o księżach gwałcących siostry zakonne, zmuszających kochanki do aborcji i odmawiających swoim dzieciom edukacji... bo w ten sposób łatwiej je zmanipulować i zmusić do milczenia. Jak pisze Doyle, jeszcze bardziej druzgocące bywają skutki psychologiczne tej sytuacji. „Wymaganie od dziecka absolutnego posłuszeństwa niszczy je, powodując długotrwałą depresję i niepokój. Życie dzieci księży naznaczone jest piętnem od momentu poczęcia aż po śmierć" – podkreśla Doyle, mający za sobą kilka lat własnej psychoterapii.

W „OUR FATHERS" można również znaleźć wątki pozytywne. Irlandzki syn księdza być może nie zaszedłby w swoim aktywizmie tak daleko, gdyby nie wsparcie arcybiskupa Dublina Diarmuida Martina. Hierarcha już w 2014 r. sfinansował stworzenie strony internetowej Coping International, która służy jako źródło pomocnych informacji dla dzieci księży katolickich na całym świecie. Takich krzepiących na duchu działań jest więcej: pod koniec marca br. irlandzki episkopat ogłosił, że księża posiadający dzieci i rezygnujący z posługi kapłańskiej mają początkowo dostawać finansowe wsparcie od diecezji. Bo jak przypomina w swojej książce i wielu wywiadach Doyle, Irlandia to godny naśladowania wyjątek od reguły: „Do dziś na całym świecie dochodzi do tuszowania problemu dzieci księży. Zarówno Watykan, jak i Kościół poza Irlandią nie robią w tej sprawie wystarczająco dużo". Ten apel skierowany jest także do polskich biskupów.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

↦ Wymagano ode mnie, żebym był posłuszny i traktował swojego ojca jak chrzestnego, choć czułem podskórnie, że nim nie jest. To była przemoc psychologiczna. Przecież dziecko nie rozumie, dlaczego musi zachowywać się inaczej w obecności obcych, a inaczej sam na sam z rodzicami. To jest dla niego zbyt duża presja. Wie pani, że kiedyś spytałem ojca, czy mogę mówić do niego „tatusiu", a on odpowiedział, że nie? Bardzo mnie to zabolało.

Skoro już wtedy łączyła Was wyjątkowa więź, to czemu zrozumiał Pan, że jest synem księdza, dopiero w wieku 28 lat?

Zmowa milczenia wokół naszej rodziny nie pozwalała mi dopuścić do siebie prawdy. Jeszcze jako dziecko wmawiałem sobie, że to niemożliwe, by ksiądz był moim ojcem. Obwiniałem siebie i myślałem, że mam urojenia. Jak się jednak okazuje, miałem rację.

Czy wybaczył Pan ojcu, że nie chciał się przyznać do Pana publicznie?

Jestem bardziej wściekły na Kościół katolicki za to, że w tamtych czasach nie stworzono żadnego mechanizmu wsparcia dla księży posiadających dzieci. Bo co by się stało, gdyby mój ojciec przyznał się do ojcostwa publicznie? Pewnie zostałby wydalony z kapłaństwa i w wieku 50 lat wylądowałby na bezrobociu. To tylko pogorszyłoby sytuację, bo tata nie byłby już w stanie wspierać finansowo mnie i mojej matki.

Czyli według Pana księża nie powinni w takiej sytuacji ponosić konsekwencji?

Żaden mężczyzna ani kobieta nie powinni być zwalniani z pracy za to, że zostali rodzicami. To absurdalne, by postrzegać takie działanie jako słuszne moralnie. Trzeba pamiętać, że celibat jest tradycją opartą na poświęceniu, a nie na pragmatyzmie. Jeśli dobro Kościoła jest ważniejsze niż dobro dziecka i prawo ojca do opieki nad nim, to wówczas takie poświęcenie nie ma sensu. Wydalenie księdza ze stanu duchownego uderzy także w jego dziecko.

Pod warunkiem, że ksiądz w ogóle utrzymuje z nim kontakt. W swojej książce opisuje Pan patologie:

z jednej strony kapłani-ojcowie pozostają bezkarni, a z drugiej gwałcone przez księży zakonnice muszą opuścić kongregację. Bywa, że pozostawione bez środków do życia muszą się prostytuować.

Kościół katolicki przepełniony jest hipokryzją. Niedawno słyszałem o przypadku księdza z Meksyku, który prowadzi sierociniec i gwałci mieszkające tam nastolatki. Przez lata spłodził 130 dzieci i do tej pory nie spotkały go za to konsekwencje. Biskupi skłonni są mówić o molestowaniu dzieci przez księży, skandalach finansowych i nielegalnych adopcjach [w Irlandii głośno było o zarządzanych przez Kościół placówkach, gdzie odbierano kobietom nieślubne dzieci i sprzedawano do adopcji – red.]. Ale na temat dzieci księży zazwyczaj milczą.

Dlaczego?

Bo duchownych łamiących celibat nikt nie powstrzyma. Znacznie łatwiej jest zorganizować seminarzystom spotkania przeciwdziałające pedofilii albo wprowadzić zasady mające przynajmniej w teorii ograniczyć skalę nadużyć finansowych. To przynajmniej jest dobry wizerunkowo ruch.

Być może jednym z nich, i to dzięki Pana staraniom, było ujawnienie w 2020 r. wytycznych w sprawie księży posiadających dzieci. Z opublikowanych przez Watykan zasad wynika, że niekiedy kapłani-ojcowie mogą pozostać w strukturze kościelnej. O jakich przypadkach mowa?

Ksiądz może pełnić dalej obowiązki, jeśli dowiaduje się, że ma już dorosłe, ponad 20-letnie dziecko. W niektórych okolicznościach wyjątkiem objęci są również kapłani po czterdziestce, którzy nie chcą wstąpić w związek małżeński z matką dziecka, ale jednocześnie publicznie uznają swoje ojcostwo. W tym drugim przypadku ksiądz może dalej pełnić posługę pod warunkiem, że dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków duszpasterskich, a za jego pozostaniem w stanie duchownym przemawia dobro dziecka.

Same wytyczne Watykanu nie zmienią jednak rzeczywistości w diecezjach i parafiach.

Oczywiście, wszystko zależy od biskupów i arcybiskupów odpowiadających za ich przestrzeganie. Dlatego to jest takie trudne. Bo czy można być pewnym, że każdy biskup w Polsce zezwoli księdzu powyżej 40. roku życia na pełnienie posługi pomimo tego, że ma dziecko? Czy pozwoli mu na publiczne przyznanie się do ojcostwa, czy też zamiecie sprawę pod dywan i przeniesie go do innej parafii?

ARCHIWUM PRYWATNE

VINCENT DOYLE, irlandzki teolog i psychoterapeuta, autor książki „Our Fathers: A Phenomenon of Children of Catholic Priests and Religious", w której opisuje długą walkę o to, by Watykan ujawnił wewnętrzne wytyczne ws. księży posiadających dzieci. W 2014 r. założył organizację Coping International, która pomaga dzieciom księży w otrzymaniu pomocy psychologicznej i dochodzeniu swoich praw w Kościele.

Dlatego od lat apeluje Pan do krajowych konferencji episkopatów, by Kościół nie marginalizował dzieci księży. Na stronie Pana organizacji Coping International można przeczytać oświadczenia wydane w tej sprawie przez francuskich, maltańskich i irlandzkich biskupów. Ale dokumentu od polskiego episkopatu nie znalazłam.

Bo do tej pory nie dostałem odpowiedzi na moje apele, choć listy i maile do polskiego episkopatu wysyłam od 2018 r. I nie można zrzucać winy na barierę językową, bo korzystam z usług tłumacza i piszę do biskupów po polsku.

Czego Pan od nich oczekuje?

Powinni przyznać publicznie, że niektórzy polscy księża mają dzieci w kraju i za granicą. Jednocześnie, jeśli po przyznaniu się do ojcostwa kapłan chce pełnić dalej posługę, taka możliwość powinna być poddana rozważaniom. Karą za szczerość i chęć opieki nad dzieckiem nie powinno być wydalenie ze stanu duchownego. Z drugiej strony, być może jeszcze gorsza jest sytuacja, w której dzieci księży żyją na marginesie Kościoła, podczas gdy ich ojcowie modlą się i dbają o wiernych.

Jako szef Coping International otrzymuje Pan listy od dzieci księży z całego świata. Czy zgłaszały się do Pana osoby, które twierdzą, że ich ojcem jest polski duchowny?

Oczywiście, i nie chodzi tylko o dzieci księży w Polsce, ale także za granicą. Zdarzało się, że dostawałem zgłoszenia od ludzi mówiących, że ich ojcem jest polski zakonnik, który pracował w Afryce czy Ameryce Południowej, a potem wyjechał i o nich zapomniał. Gdy proponuję, że zgłoszę ich sprawę biskupowi lub prowincjałowi w Polsce, zazwyczaj tego nie chcą. Za bardzo boją się konsekwencji.

Z jakimi problemami zmagają się dzieci księży, które zwracają się do Pana z prośbą o pomoc?

Towarzyszy im okropne poczucie wstydu. Szczególnie w trudnej sytuacji są kobiety, które urodziły dziecko księdza. Bywa, że w wioskach w Afryce czy Ameryce Południowej są wykluczane społecznie, mają problemy ze znalezieniem pracy i stają się bezdomne. W najlepszym wypadku kobieta może liczyć na wsparcie Kościoła, ale pod warunkiem, że zachowa milczenie. Opowiem pani historię z Filipin sprzed dwóch lat. Ksiądz, który złamał celibat i spłodził dziecko, został przeniesiony do innego kraju, a kobieta, którą zapłodnił, dostała 90 tys. dolarów zadośćuczynienia. Najpierw jednak musiała podpisać oświadczenie: jeśli ona albo jej syn kiedykolwiek wyjawią informację na temat ojcostwa lub podpisanej z Kościołem potajemnej ugody, wówczas będą musieli zwrócić otrzymaną kwotę.

Z jakiego kraju był ksiądz, o którym Pan mówi?

Nie mogę tego wyjawić, bo wówczas dość łatwo można byłoby go zidentyfikować.

Czy docierały do Pana sygnały o podobnych ugodach podpisywanych w Polsce?

↦

Rozmawiałem z kilkoma Polkami, które miały niepisaną umowę z księdzem, obligującą je do zachowania milczenia. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby również w Polsce dochodziło do zawierania potajemnych ugód z kobietami, które zaszły w ciążę z księdzem. Zmowa milczenia jest biskupom na rękę: nie przyznając publicznie, że problem dzieci księży istnieje, kneblują usta kobietom, które boją się przełamać tabu i domagać się swoich praw.

Kilka lat temu napisała do mnie Polka. To był typowy przypadek: ksiądz dalej pełni posługę kapłańską, nie interesował się dzieckiem, a ona żyła w strachu. Gdy powiedziałem, że mogę jej pomóc w skontaktowaniu się z biskupem i dziennikarzami, wycofała się.

I nie ma się czemu dziwić, bo w polskim Kościele katolickim to kobieta jest winna i to ona uwiodła księdza.

I tu koło się zamyka. Dzięki współudziałowi również osób świeckich biskupi i księża mogą dalej ignorować fragment z Ewangelii św. Jana. A Jezus wybaczył kobiecie cudzołożnej i powiedział: „Idź, a od tej chwili już nie grzesz!". To, że przyjmie się z otwartymi ramionami dzieci księży i ich matki, nie oznacza, że pochwala się cudzołóstwo.

Często powołuje się Pan na zestawienie krajów, których użytkownicy najczęściej szukają informacji na stronie Coping International. Które miejsce zajmuje na tej liście Polska?

Dwudzieste.

Jakie kraje są przed nami?

Ze statystyk na podstawie ruchu na stronie wynika, że to m.in. Irlandia, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Indie, Niemcy, Maroko, Rosja, Chiny, Kanada, Holandia i Włochy.

Czy miał Pan do czynienia z innym episkopatem, który tak samo jak polski ignorował Pana maile?

Najgorzej było z biskupami amerykańskimi. Na ich odpowiedź czekałem pięć lat. Dla porównania, z kenijskiego episkopatu odpowiedziano mi niemal natychmiast. Proszę sobie wyobrazić, że aby otrzymać odpowiedź od amerykańskich biskupów, musiałem najpierw pojechać do Włoch i spotkać się z byłym szefem amerykańskiego episkopatu, kard. Danielem DiNardo. To paradoks, że do wielu urzędników w Watykanie mogę swobodnie zadzwonić na WhatsAppie, a podczas wizyty w Stanach nie mogłem nawet liczyć na spotkanie z przedstawicielami Archidiecezji Bostońskiej.

Po pięciu latach otrzymał Pan w końcu odpowiedź. Co znalazło się w piśmie od amerykańskiego episkopatu?

Lakoniczne stwierdzenie, że każde dziecko, bez względu na swoje pochodzenie, zasługuje na miłość ze strony matki i ojca.

Co jeszcze chciałby Pan przeczytać w takim liście?

Może powiem, co chciałbym przekazać polskim biskupom i hierarchom z innych krajów, w których dzieci księży są w Kościele marginalizowane.

Proszę mówić.

Arcybiskupie, biskupie, kardynale i księże: czy masz odwagę otwarcie mówić o dzieciach spłodzonych przez swoich braci i o tym, że stworzone przez Boga dziecko jest ważniejsze od interesów i polityki Kościoła? Czy jesteś w stanie powiedzieć coś takiego podczas homilii? Niektórzy mówią, że mój ojciec był tchórzem. Ale nie mnie to oceniać. I taką samą prośbę mam do polskich księży: w waszych wspólnotach są kobiety, które zaszły w ciążę z księdzem. Porozmawiajcie z nimi. One się boją i potrzebują waszego wsparcia.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Brzesku I Wydział Cywilny postanowieniem z dnia 19 maja 2022 r. sygn. akt I Ns 239/22 zezwolił wnioskodawcy Gminie Zakliczyn na złożenie do depozytu sądowego na 10 lat kwoty 171 600,00 zł (sto siedemdziesiąt jeden tysięcy sześćset złotych) z tytułu odszkodowania ustalonego w decyzji Starosty Tarnowskiego z dnia 15.03.2022 r. znak: GN.6821.6.3.2021.JJK za działkę ewidencyjną nr 247 w Zakliczynie, która ma nieuregulowany stan prawny. Wymieniona kwota ma być wypłacona osobom, które wykażą się tytułem prawnym do działki ewidencyjnej nr 247 w Zakliczynie na dzień ostateczności decyzji Starosty Tarnowskiego z dnia 15.03.2022 r. znak: GN.6821.6.3.2021.JJK tj. 5 kwietnia 2022 r.

Sąd wzywa wierzycieli, aby odebrali kwotę złożoną do depozytu sądowego. Jeżeli depozyt nie zostanie odebrany w terminie 10 lat od doręczenia wezwania, nastąpi jego likwidacja na rzecz Skarbu Państwa zgodnie z ustawą z dnia 18 października 2006 r. o likwidacji niepodjętych depozytów (Dz.U. z 2006 r. Nr 208, poz. 1537 z późn. zm.).

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach Wydział I Cywilny pod sygnaturą I Ns 67/22 toczy się postępowanie z wniosku Alior Bank S.A. z siedzibą w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Andrzeju Lipczyku, synu Stanisława i Marii, urodzonym 4 maja 1946 roku w Gliwicach, zmarłego 5 marca 2020 roku w Pyskowicach (pow. gliwicki). Ostatnie miejsce zwykłego pobytu spadkodawcy to Rudziniec (pow. gliwicki).

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 3 72/21 toczy się postępowanie z wniosku Gminy Józefów n/Wisłą o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie nieruchomości położonej w gminie Józefów nad Wisłą, obręb 06-Chruślanki Mazanowskie, oznaczonej w ewidencji gruntów jako działka nr 469/2 o powierzchni O, 15 ha, która nie posiada założonej księgi wieczystej.

Sąd wzywa wszystkich, którzy roszczą sobie prawa do ww. nieruchomości, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i wykazali swoje prawa, albowiem w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie jej własności zgodnie z wnioskiem, o ile zostanie ono udowodnione.

Kolorowa czapka

ANDRZEJ OTCZYK

Parafia jest maleńka – zaledwie sto osób w miasteczku kilkutysięcznym – ale znana nawet za granicą. Za sprawą energicznego proboszcza.

ANDRZEJ OTCZYK

Ksiądz Jan Byrt. Szczyrk, czerwiec 2022 r.

Za ostatnimi domami Szczyrku u podnóża Przełęczy Salmopolskiej stromy podjazd prowadzi do drewnianego budynku plebanii i murowanego kościółka ewangelickiego. Jest sobota. Przed plebanią grupa młodzieży ewangelickiej z Rybnika słucha ostatnich wskazówek przed pieszą wycieczką po okolicznych groniach.

Młodzi ruszają w góry, a my z proboszczem schodzimy do przeszklonej werandy. – Musisz rozruszać tę parafię – tak mi powiedział ponad trzydzieści lat temu biskup Jan Szarek, gdy kierował mnie tu do pracy duszpasterskiej. No i mamy tu duży ruch do dziś – śmieje się ks. Jan Byrt.

Ówczesny biskup diecezji cieszyńskiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego powierzył mu funkcję proboszcza pomocniczego parafii ewangelickiej w Białej z siedzibą w Szczyrku Salmopolu. Ze swym przełożonym umawiał się na pięć lat. Pracuje do dziś.

Urodził się w Wiśle na Parteczniku, niedaleko domu, w którym wychował się Jerzy Pilch. Z późniejszym pisarzem rozminęli się jednak o dziesięć lat – był jeszcze dzieckiem, gdy Pilch przeprowadził się z rodzicami do Krakowa. Nie od razu chciał zostać księdzem, chociaż, wychowany w rodzinie ewangelickiej tuż przy kościele parafialnym, od dziecka uczestniczył w życiu luterańskiej wspólnoty. Ale gdy na jednym ze spotkań młodzieżowych prelegent zapytał, kto przeczytał Słowo Boże od Księgi Rodzaju do Apokalipsy, uświadomił sobie, że do wytrwałych czytelników Biblii nie należy. Postanowił więc, że każdego dnia przeczyta siedem rozdziałów Pisma Świętego. Siódemka to przecież biblijna liczba doskonała.

Później były studia w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, praca wikariusza w parafii Zbawiciela w Bielsku i skierowanie do Szczyrku. – Właściwie była to wtedy nie parafia, a placówka zamiejscowa parafii w Białej. Nie było kościoła, nabożeństwa w budynku dzisiejszej plebanii odbywały się tylko raz w miesiącu. Wielu tutejszych ewangelików nie miało ślubu kościelnego, sporo było nieochrzczonych dzieci. Pracę duszpasterską trzeba było prowadzić od podstaw – opowiada proboszcz.

Na początek poprosił żonę, by podwiozła go samochodem na Biały Krzyż (szczytowe wzniesienie Przełęczy Salmopolskiej) i schodząc z góry, niczym ksiądz po kolędzie, odwiedzał po drodze domy. W ten sposób poznał wszystkich ewangelików w Szczyrku. Szybko jednak okazało się, że działalność ks. Byrta wykracza poza obowiązki pastora niewielkiej parafii.

Autobus pełen klaunów

– To osoba, która kipi energią i pomysłami – mówi o proboszczu Mirosław Bator, właściciel galerii artystycznej w Szczyrku, od niedawna ewangelik. – Jego życiowym celem jest pomaganie innym, nie tylko wiernym ze swojego Kościoła i nie tylko mieszkańcom ↦

naszego miasta. Ostatnio, gdy mój kolega ze Wspólnoty Polskiej organizował wysyłkę medykamentów na Ukrainę, poprosiłem pastora, by uruchomił swoje kontakty w Niemczech, Danii czy Holandii, dzięki czemu udało się wysłać za wschodnią granicę bus z lekami i środkami opatrunkowymi. W latach 90. i pierwszej dekadzie obecnego stulecia ks. Byrt ściągnął do Polski mnóstwo tirów z ubraniami czy żywnością i rozsyłał te dary po całym regionie, od Cieszyna i Żywiec po Suchą Beskidzką i Andrychów.

Zaskakuje nie tylko rozmach pomocy, ale też metody. Kiedyś na jego zaproszenie przyjechał do Szczyrku autobus klaunów ze Stanów Zjednoczonych. Dzieci były zachwycone, a dorośli drwili: „Niezły cyrk tam macie". Gdy jednak klauni wystawili przed hotelem w centrum miasta pantomimę „Miłosierny Samarytanin" i gdy okazało się, że zatrudniani są w oddziałach onkologii dziecięcej czy w domach opieki, oklaskom nie było końca. – W latach 90. nikt jeszcze u nas nie słyszał o klaunach rozweselających chore dzieci w szpitalach – mówi ksiądz Jan.

Goście ze Stanów, wśród których byli nauczyciele, zaproponowali, że poprowadzą dla dzieci z miasteczka miesięczny kurs angielskiego, z akcentem na słownictwo biblijne. Chętnych nie brakowało, a na zakończenie kursu każde dziecko otrzymało Biblię z dedykacją. Pastor zadbał o to, by dzieci katolickie dostały Biblię Tysiąclecia.

Innym razem proboszcz z Salmopola zorganizował w Szczyrku... Światowe Dni Szczyrkania. – Jest taka hipoteza, że nazwa „Szczyrk" pochodzi od dźwięku blaszanych dzwonków, które zawieszano na szyjach owiec pasących się w groniach. Miejscowi górale byli biedni, nie mogli sobie pozwolić na kupno prawdziwych dzwonków, więc robili te nibydzwonki, które nie dzwoniły, a głucho „szczyrkały". Na pierwsze spotkanie „szczyrkowian" przyszło 860 osób, wielu pytało, kto taką imprezę przygotował. – Niektórzy dopiero wtedy usłyszeli po raz pierwszy o naszej parafii – wspomina pastor.

– Księdza Byrta znam od 1998 r. – mówi burmistrz Szczyrku Antoni Byrdy. – Jego praca na pewno nie jest łatwa, ewangelicy są tu w mniejszości, inaczej niż w sąsiedniej Wiśle. Pastor ma liczne kontakty na Zachodzie i wykorzystuje je na rzecz naszej społeczności. Nawiązaliśmy partnerską współpracę z niemieckim miastem Zetel. Pięknym symbolem tej współpracy jest 500 krzewów oleandrów i 500 sadzonek dębów, jakie nasi niemieccy przyjaciele przywieźli do Szczyrku na 500-lecie Reformacji. Ksiądz uczestniczy w naszych uroczystościach, spotkaniach opłatkowych. A na Kotarzu, wzgórzu pomiędzy Białym Krzyżem a Karkoszczonką, urządził Europejski Ołtarz z kamieni pochodzących z różnych stron świata, i organizuje tam nabożeństwa ekumeniczne.

– Ksiądz Jan lubi dzielić się z innymi tym, co ma. Gdy przychodzi do nas, zawsze jest uśmiechnięty, dla każdego ma dobre słowo, no i prezent. Przeważnie jakiś drobiazg, czasem książkę, ale to miłe, gdy ktoś o tobie pamięta – mówi Sabina Bugaj, szefowa Miejskiego Ośrodka Kultury, Promocji i Informacji im. J. Więzika w Szczyrku.

Pastor często powtarza słowa św. Pawła: „Więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu". Nie stroni od pracy fizycznej. Jak trzeba, narąbie drewna, a zimą siada na sprowadzony z Niemiec stary traktor i odśnieża parafialny parking.

Ewangelia na stokach

Co robić, by zatrzymać w Kościele ludzi młodych? Ks. Byrt doszedł do wniosku, że skoro tym, co porusza wyobraźnię współczesnego młodego człowieka, jest sport, trzeba to wykorzystać w pracy ewangelizacyjnej. – Podobnie było w czasach antycznych, gdy igrzyska sportowe znaczyły dla ludzi bardzo wiele. Świetnie wykorzystał to św. Paweł, nawiązując w swoich pismach do rywalizacji sportowej. Dlaczego my nie mielibyśmy iść w ślady apostoła narodów? – pyta.

– Na początku ksiądz Byrt prowadził na stokach nabożeństwa dla narciarzy. Wbrew pozorom, cieszyły się one sporym zainteresowaniem, wielu chętnie przystawało na chwilę, by oddać się religijnej refleksji w pięknej górskiej scenerii. Później przyszedł czas na specjalne nabożeństwa dla motocyklistów, w maju na rozpoczęcie sezonu i w październiku na zakończenie. Licznie w nich uczestniczyli, widać było, że mocno to przeżywają, cieszą się, że ktoś o nich zadbał – mówi Mirosław Bator.

W czasie pandemii, gdy organizowanie takich nabożeństw stało się niemożliwe, parafia urządziła na przykościelnym parkingu stoisko księgarskie i rozdawała egzemplarze Biblii motocyklistom przejeżdżającym przez Przełęcz Salmopolską. Każdy z nich mógł też otrzymać spisane świadectwa osób ze środowiska miłośników sportu motorowego, ludzi, którzy byli daleko od Boga, a dzięki Pismu Świętemu odnaleźli sens życia i swoje miejsce w Kościele.

Przy okazji mistrzostw świata czy Europy w piłce nożnej ksiądz Byrt ogłasza akcje „Podziel się piłką". – Zawsze staram się nazbierać około pół tysiąca piłek – opowiada. – Sponsorów szukam, gdzie się da, począwszy od prezydenta

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

WROCŁAW, wtorek 4 lipca
Spotkanie z Adamem Bodnarem i Bartoszem Bartosikiem wokół książki „Nigdy nie odpuszczę"
/ stacjonarne /

ZIELONA GÓRA, środa 5 lipca
Spotkanie z o. Maciejem Biskupem „Jak przetrwać noc Kościoła?"
/ stacjonarne /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

i premiera, poprzez starostów, wójtów, lokalnych przedsiębiorców. Mistrzostwa trwają przeważnie miesiąc, mam więc okazję przez cztery niedziele urządzać trochę inne, „sportowe" nabożeństwa i rozdawać te piłki dzieciakom. Jacy oni są dumni, gdy wychodzą z kościoła z piłką od księdza! Każdy ma tylko jeden nakaz: zaprosić swojego kolegę, rówieśnika czy sąsiada, by pokopał z nim tę piłkę na boisku lub podwórku.

Zaczęło się od piłek, ale później akcje się rozmnożyły: „Podziel się nartami", „Podziel się rowerem". Ksiądz zachęca, żeby przynosić nieużywane już narty i buty narciarskie na plebanię. Podobnie rowery – gdy młodzież z nich „wyrasta". Następnie rozdaje te rzeczy rodzinom, których nie stać na ich kupno. Zgłaszają się ludzie nie tylko ze Szczyrku – zdarzało się, że nawet spod Krakowa. W tym roku podarowano czterdzieści rowerów, proboszcz rozdał wszystkie dzieciom z Ukrainy. Nie zapomniał oczywiście o Bibliach w języku ukraińskim – do miasteczka pod Skrzycznem zjechało około tysiąca uciekinierów z kraju ogarniętego wojną.

Nie zawsze nowe akcje wszystkim przypadają do gustu. Kiedy przed zimową olimpiadą w Pjongczangu pastor urządził nabożeństwo w intencji igrzysk, a na ołtarzu położył kolorowe czapki podobne do tych, jakie mają skoczkowie (tym razem jednym ze sponsorów miał być prezydent Korei Południowej Moon Jae-in), w społeczności ewangelickiej pojawiły się oskarżenia o efekciarstwo. Gdy natomiast ogłosił zbiórkę bielizny osobistej dla kobiet z obozów dla uchodźców w Grecji, niektórych to oburzyło. Ksiądz Byrt zdaje sobie z tego sprawę. – Czasem wyczuwam rezerwę ze strony kolegów-duszpasterzy ewangelickich, ale zawsze mówię, że przecież każdy ma możliwości działania, każdy może spróbować. Trzeba tylko chcieć – ucina.

Do zgorszonych metodami pracy pastora z groni nie należy na pewno ks. Robert Augustyn, od niedawna proboszcz ewangelickiej parafii w Białej, czyli bezpośredni przełożony pastora ze Szczyrku. – Jestem przyzwyczajony do kreatywności księdza Byrta, uważam, że uprawia rodzaj duszpasterstwa zgodny z jego osobowością. Każdy ma swój charakter pracy duszpasterskiej. Dla wszystkich, którzy księdza Jana znają, jest oczywiste, że wkrótce wymyśli coś nowego. Nie jest to źle widziane i nie jest w naszym środowisku przedmiotem dyskusji. Inspirujące są jego starania o to, żeby się czymś dzielić, obdarowywać innych. Jest przykładem człowieka z niesamowitą energią i pozytywnym nastawieniem do otoczenia.

KS. JAN BYRT:

Czasem wyczuwam rezerwę ze strony kolegów-duszpasterzy ewangelickich, ale zawsze mówię, że każdy ma możliwości działania, każdy może spróbować

Ekumenia, czyli?

Pastor Augustyn tym lepiej rozumie swego kolegę, bo sam jako młody ksiądz postanowił wykorzystać na Bożą chwałę zamiłowanie do rajdów samochodowych – w zawodach startuje autem oblepionym cytatami z Biblii. Księdzu Byrtowi natomiast niezliczonych pomysłów na przypomnienie o istnieniu Kościoła luterańskiego w Polsce dostarczyło 500-lecie Reformacji. Było więc 500 krokusów przywiezionych do Szczyrku przez motocyklistów z Niemiec, 500 zasadzonych drzew, 500 pamiątkowych zawieszek. Były medale przedstawiające złotą różę Lutra, z wygrawerowanymi na rewersie fundamentalnymi zasadami reformacji: „Tylko Chrystus, tylko Pismo Święte, tylko wiarą, tylko z łaski, tylko Bogu chwała".

Medale trafiły do znanych osób, w tym do prezydenta Dudy, najsłynniejszego ewangelika Adama Małysza, Piotra Żyły, który uczył się u księdza Byrta religii w szczyrkowskiej Szkole Mistrzostwa Sportowego, a nawet do papieża Franciszka. W piśmie skierowanym do parafii w Salmopolu Franciszek podziękował za dar i zacytował słowa, które wypowiedział w Szwecji podczas spotkania ekumenicznego w Malmö Arena: „Dziękuję Bogu za wspólne upamiętnienie 500-lecia Reformacji, które przeżywamy z odnowionym duchem i świadomością, że jedność między chrześcijanami jest priorytetem, bo uznajemy, że więcej jest tego, co nas łączy, niż dzieli. Droga podjęta, aby ją osiągnąć, jest już wielkim darem, jaki daje nam Bóg, i z Jego pomocą zebraliśmy się tu dzisiaj, luteranie i katolicy, w duchu harmonii, aby skierować nasze spojrzenie na jedynego Pana, Jezusa Chrystusa".

Jak w praktyce wygląda ekumenia w miasteczku pod Skrzycznem? Ksiądz Jan przyznaje, że Deklaracja „Dominus Iesus", stanowiąca wykładnię nauk Soboru Watykańskiego II, a ogłoszona jeszcze przez kard. Josepha Ratzingera, nie ułatwia zbliżenia. – Wykładnia ta sprowadza się praktycznie do stwierdzenia, iż „istnieje jeden Kościół Chrystusowy, który trwa w Kościele katolickim rządzonym przez Następcę Piotra i przez biskupów". Dla nas, protestantów, jest to nie do przyjęcia. Staramy się jednak w miarę możliwości współpracować z braćmi katolikami, z księżmi z parafii św. Jakuba bierzemy udział we wspólnych uroczystościach, uczestniczyliśmy w Tygodniu Modlitw o Jedność Chrześcijan. Gdy załatwiałem paczki bożonarodzeniowe znad Jeziora Bodeńskiego, zapytałem, czy nie przysłaliby chociaż ze sto paczek dla dzieci z rodzin katolickich. Moi szwajcarscy partnerzy przyjęli tę prośbę z radością, przy okazji wręczania darów spotkaliśmy się w parafii katolickiej, posiedzieliśmy, pożartowaliśmy. Myślę, że na tym to właśnie polega, nie na zwalczaniu się, podkreślaniu, że ci są ewangelikami, a ci katolikami, ale na tym, żebyśmy prowadzili wszystkich ludzi w miłości do Pana Boga.

Ks. Andrzej Loranc, proboszcz katolickiej parafii w Szczyrku, ocenia współpracę z pastorem jako w miarę dobrą. – Nie urządzamy co prawda wspólnych nabożeństw, poza Tygodniem Modlitw o Jedność Chrześcijan, ale uczestniczymy razem w imprezach, które organizuje miasto. Odwiedzam też pastora w czasie kolędy. Generalnie każdy z nas zajmuje się swoim duszpasterstwem, lecz gdy trzeba, nie uchylamy się od współpracy. Ksiądz Byrt jest człowiekiem medialnym, taki ma już charakter, ale o tym wiedzą nie tylko w Szczyrku – uśmiecha się proboszcz.

Gdy mam odjeżdżać z Salmopola, pastor pokazuje z dumą wznoszący się na wzgórzu kościółek. – Mamy go od dwudziestu lat, powstał dzięki ogromnej pomocy naszych braci ewangelików ze Stanów Zjednoczonych i Kanady – mówi. – Zaprojektowany został na 120 miejsc, ale już się robi za ciasny. Chyba trzeba będzie pomyśleć o rozbudowie.

© ANDRZEJ OTCZYK

EAST NEWS

Błądzenie jest boskie

PIOTR SIKORA

Włóczenie się bez celu może być nie gorszą praktyką duchową niż pielgrzymka do jakiegoś świętego miejsca. Włóczenie się samo w sobie jest święte.

Hej, gdzie idziesz? – Idę tutaj. – Czemu więc się tutaj nie zatrzymałeś? – Przecież idę: tutaj, czyli w miejscu, w którym ziemia wspiera moją stopę, a ciężar ciała z lewej pięty przetacza się płynnie ku palcom, by teraz – w nowym tutaj – zetknąć się z gliną (trawą, betonem, wilgotnym piaskiem) piętą prawą, przetoczyć ku palcom i znowu oprzeć się na ziemi piętą lewą...

Prąd napięcia i rozluźnienia rozpoczyna się w mięśniach i ścięgnach śródstopia – nie wszystkie z nich mogę wyśledzić świadomością – potem się wznosi: przez staw skokowy, łydkę, kolano i udo, do biodra. Ręce w swobodnym ruchu przejmują rytm nóg, wzmacniają go, stabilizują. Krok za krokiem, tętno pulsuje, oddech napełnia płuca, zaproszony obniżeniem przepony, i ucieka z powrotem w świat, który wokół mnie przemyka do tyłu.

Oto człowiek w oknie, teraz motyl, teraz tramwaj, teraz skręt za róg kamienicy, z cienia w słońce. Idę, ciągle nowe obrazy łapią się w siatkówki oczu, ustępując natychmiast kolejnym, wciąż nowe dźwięki cichną mi w uszach, zapach czarnego bzu przesłania bukiet spalin, a ten się rozwiewa, gdy wiatr przynosi z pobliskiej knajpy aromat przypraw. W rytmie kroków wyskakują z pamięci myśli o sprawach ważnych i błahych, a potem – zwiewane podmuchem muskającym mnie w twarz – odpadają od czaszki, zostają gdzieś z tyłu. Idę, betonowe wieżowce ruszają się podobnie jak miękkie obłoki, z moich powiek opada zasłona, widzę jasno: trwałość bytu to fatamorgana.

– Dokąd idziesz? – A musi być jakieś „dokąd”? Co jeśli rację miał Wittgenstein i – tak naprawdę – w miejscu, w którym „muszę” się znaleźć, muszę właściwie „już być”?

Owszem, wiele jest „dokąd”, do których warto dojść. Kiedy jednak dokądś idę, mój umysł wyrywa się naprzód. Moje ciało jest tu, a on już jest tam (tak mu się przynajmniej wydaje). Pędząc, bezwiednie mija wołanie kosa siedzącego na czubku drzewa, pięć metrów powyżej idącej powoli głowy, i nie wie nawet, czy świerk to, czy klon. Niecierpliwie zbywa pytanie przechodnia o drogę. Zostawia stopy na pastwę dziury w chodniku.

Umysł dokądś już poszedł, ale przecież wcale nie jest tam, gdzie by chciał. Jest tylko przy swoim wyobrażeniu. Gdy ono wyda mu się prawdziwym celem – ulega złudzeniu. Gdy wie, że to tylko wyobrażenie – odczuwa brak.

Umysł, który wiecznie dokądś wybiega, może stać się dokądholikiem. Dokądkolwiek by taki nie doszedł, i tak będzie się wiercił i niecierpliwił: dalej, idźmy już stąd. O takim umyśle Pascal mógłby napisać: „zawsze spodziewa się dojść, lecz nie dochodzi nigdy”. Lecz nic w tym dziwnego – każde „dokąd” jest dla mnie za małe; żadne bowiem nie jest konieczne – bo go nie ma, a przecież tu jestem, tu żyję, tu idę. Tak, to prawda – tam, gdzie jeszcze mnie nie ma, wcale nie muszę się znaleźć.

Idę bowiem w strumieniu świata, machając rękami, przetaczając swój ciężar z pięty ku palcom, a gdzieś pomiędzy wirowaniem myśli, falowaniem emocji i rytmicznym ruchem przepony wyrasta mój niewidzialny korzeń. Sięga głęboko, w stronę, której nie sposób określić, do gruntu, który jest wszędzie i nigdzie, w którym żyję, idę i jestem.

Mistrz Eckhart powiedziałby pewnie: „Wszystkie twoje kroki powinny wychodzić z tej wewnętrznej głębi bez żadnego »dlaczego«, każdy krok tylko »teraz«, bez kroków »przed« i bez kroków »po«”. Poprawiłbym Mistrza: nie mów „powinny” – bo tym słowem znów tworzysz jakieś „dokąd”. Kroki są, jakie są, zawsze z tej głębi wychodzą. Ona ujawnia się w każdym. I roztacza wokół: w ciszy i w dźwiękach, w słońcu, w burzy i w mżawce, w liściu, w górze, w ćmie, w nieznajomej sprzedającej warzywa i w tej, którą – idąc – trzymam za rękę.

Alfa i Omega, początek i spełnienie, które jest, które właśnie zostawiam za sobą i które w tym samym momencie otwiera się przed moim kolejnym krokiem. ©℗

WOJCIECH

Bonowicz:
Opatrunek

To smutna książka. Ale inna być nie może, bo opowiada o rozstaniu. O tym, że coś rozłożyło się i już nie złoży się z powrotem. O tym, że zostało zerwane – ale trwa. Nie wiadomo, co sprawia większy ból: rozkład czy trwanie, pustka po kimś czy wspomnienia, które nie mijają. Wszystkie czynności służą temu, by zachować spokój, równowagę, której nie ma. Świat się przechylił, a trzeba chodzić po nim, jakby był prosty, stabilny.

Nakarmiłem kota, dołożyłem do ognia, byłem na skale,
z której chciał mnie zdmuchnąć wiatr – dął tak, aż poczułem
przez kurtkę, bluzę, podkoszulek jego chłód, swój zimny pot
pod pachami, na plecach. Wciąż tutaj. Rok temu

rozwiodłem się; przed chwilą odwiozłem Kalinę do Marty
(w środy jest u niej), umyłem talerze, podgrzałem zupę, grzyby,
które zbierałem, gdy dni były długie, jasne, w słońcu nie mające dna.

Albo:

Dziś, w pierwszą rocznicę naszego rozwodu,
idziemy na jasełka, gdzie nasza córka gra szatana.
Od znajomych pożyczałem dla niej świecące rogi,
pelerynę, rękawiczki z pazurami. Trójząb z podobizną
Złego. Na sali jest duszno, dzieci śpiewają, przekazują
sobie mikrofon, składają dary leżącej lalce. Maryja
jest blada, Heroda gra naburmuszona dziewczynka.

Poeta – Łukasz Jarosz – wpuszcza nas do wnętrza swojego świata. Pozwala nam stanąć bardzo blisko, tuż obok, tuż za. Imiona są prawdziwe, fakty łatwe do zweryfikowania. Sposób opowiadania nie służy temu, żeby „odsunąć" czytających na bezpieczną odległość. Przeciwnie, dystans maleje, niemal znika. Słuchamy rozmów poety z córką, z rodzicami, relacji z przypadkowych spotkań („Spotkałem dziś siostrę mojej byłej żony. / Wciąż mówi do mnie »szwagier«. Czy mężem / przestaje się być, a szwagrem zostaje?"). Rozpoznajemy bohaterów i otoczenie znane już z poprzednich książek.

Ta nosi tytuł „Pełnia Robaczego Księżyca". To pełnia, która zwiastuje wiosnę, czas, gdy robaki wychodzą spod rozmarzającej ziemi. Nieostre zdjęcie na okładce przedstawia nagich chłopców skaczących do rzeki. Dzień jest słoneczny, ale woda zapewne zimna. Nie widzimy jednak ich twarzy, tylko wyprężone szczupłe ciała, przywodzące na myśl ryby wyskakujące z górskiego potoku. Granica między ludzkim i pozaludzkim jest u Jarosza nieostra, świadomie zacierana w metaforach i porównaniach. Zachód słońca zostaje opisany jako „przeciekający opatrunek", a dzień jest „długi i czysty jak nóż wbity w żywe ciało". „Bogowie samotni jak mróz mają jadalne / dusze, ci najmniejsi o tym wiedzą". „Najmniejsi" to zapewne zwierzęta, które przemykają w tych wierszach pomiędzy bolesnymi wyznaniami. Jak to, chyba najboleśniejsze: „I dotknąłem miłości, wiem, czym jest. Dlatego nikomu jej nie życzę".

Napisałem kiedyś, że siłą wierszy Jarosza jest operowanie obrazem, który nie zastyga, nie ustala się, rozszarpywany przez kolejne skojarzenia, przypomnienia, aluzje albo przez niepokój samych słów. Nie inaczej jest w najnowszej książce. Równocześnie te rozsypane elementy, których nie sposób dopasować, budują nastrój niebędący jedynie samym niepokojem, samym smutkiem. W opisywanym świecie są punkty, o które zaczepić się może nadzieja lub coś, co ją przypomina. Jakiś rodzaj przywiązania silniejszego niż rezygnacja i rozpacz. Jakaś energia rodząca się między słowami, czasem na przekór ich treści.

To, co zrobili ze mną inni,
jest tym, czym piszę.

Strumieniem, rzeką, zieleniejącym
jeziorem w przygranicznym lesie.

Oddalić się z tego świata.
Z każdym pociągnięciem wiosła.

To smutna i odważna książka. Ale powiedziałbym, że bardziej odważna niż smutna. ©

TP

Czytelniczki, Czytelnicy!

Następne, podwójne Wydanie Specjalne ukaże się w **środę, 17 sierpnia**.

Już teraz mogą Państwo zamówić Wydanie Specjalne w prenumeracie na stronie **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Dwa rosyjskie pociski spadły nagle na dom

POLINA MA 9 LAT. Pochodzi z Charkowa, wcześniej drugiego pod względem wielkości miasta Ukrainy, z którego spora część mieszkańców uciekła po 24 lutego. Charków jest bowiem pod nieustającym ostrzałem rosyjskim; tylko jednego dnia, w minionym tygodniu, zginęło 20 mieszkańców.

Ci, którzy zostali, nie znają dnia ani godziny. 28 maja dwa rosyjskie pociski spadły nagle na dom Poliny. W trakcie ataku była w środku, razem z mamą i bratem Pawłem. Oglądała akurat bajki. Siła uderzenia całkowicie pogruchotała jej bark, pękła panewka stawu. Trzycentymetrowy odłamek wbił się jej w szyję i zatrzymał centymetr od tętnicy szyjnej.

Polina straciła wiele krwi. Pierwszych kilka dni przebywała w charkowskim szpitalu, później przewieziono ją ambulansem do Lwowa (ranni mogą być transportowani tylko autami lub koleją, lotnictwo sanitarne nie może latać). Mama Poliny, która jest z nią, mówi: „Najgorsze za nami, pozostaje teraz rehabilitacja”. ©

Rosyjska rakieta uderzyła w dworzec

JANA MA 11 LAT. Pochodzi z miasteczka Nju Jork (dawniej Nowhorodśke) w obwodzie donieckim, w rejonie (powiecie) Bachmut.

Na początku kwietnia mama Jany, Natalia, podjęła decyzję o ewakuacji, aby ratować dwójkę swoich dzieci. 8 kwietnia udali się na dworzec w Kramatorsku; mieli nadzieję, że stąd odjadą dalej koleją. Jarik, brat Jany, został z bagażami, podczas gdy ona z mamą poszły kupić herbatę. Wtedy rosyjska rakieta uderzyła w dworzec.

Jana wspomina: – Słyszałam dziwne dźwięki, jakby coś gwizdnęło. A potem światła zgasły. Próbowałam podnieść nogi i nie mogłam. Nie widziałam, gdzie one są.

W wyniku tego ataku rakietowego Jana straciła obie, a jej mama jedną nogę.

– Natalia wciąż obwinia się za tę przerwę na herbatę – mówią lwowscy lekarze. – Wspomina, że kiedy po eksplozji otworzyła oczy, wszystko było pokryte krwią. Że ciągle ma przed oczami córkę na ziemi, z odciętymi nogami. Że próbowała podbiec do dziecka, ale nie mogła wstać, a gdy spojrzała w dół, zorientowała się, że sama nie ma jednej nogi.

Matka i córka zostały przetransportowane pociągiem medycznym do Lwowa. Przebywają tu w szpitalu. Szykują się do podróży do USA, gdzie mają otrzymać protezy. ©

TEKST I ZDJĘCIA **TOMASZ LAZAR** ZE LWOWA

Tomasz Lazar od początku marca realizuje projekt fotograficzny na temat wojny na Ukrainie. Ostatnio spędził tydzień we Lwowie, gdzie portretował ranne dzieci, przebywające w miejscowym szpitalu. Ich historie są skąpe. „Informacje na temat dzieci otrzymałem albo od nich samych, albo od lekarzy. Sytuacja była niełatwa, bo szpital prosił, abym nie pytał dzieci o ich przeżycia, jeśli same nie będą chciały opowiadać” – mówi „Tygodnikowi”.

Tomasz Lazar jest niezależnym fotografem i wykładowcą Akademii Sztuki w Szczecinie. Laureat nagród, m.in. World Press Photo i polskiej Grand Press Photo. Jego prace publikowało wiele mediów, jak „New York Times”, „Newsweek International”, „Sunday Times Magazine”, „New Yorker”, „Washington Post”. Interesują go, jak mówi, „długoterminowe projekty, skupiające się na tematyce społeczeństwa i ludzkiego umysłu”.

W tym momencie eksplodowała mu w ręce rosyjska mina-pułapka

PAWŁO MA 17 LAT. Pochodzi z wioski Dołyna w rejonie (powiecie) kramatorskim w Donbasie. Obecnie z jego wioski nic nie zostało, także jego dom został zniszczony. Był wolontariuszem w grupie, która pomagała ewakuować ludzi i zwierzęta. Spali w pobliskim monastyrze Ławra Świętogórska. Został ranny 19 maja. Akurat poszedł w grupie czterech osób (to byli jego przyjaciele, trochę starsi od niego) do wioski, by ewakuować z niej ludzi. Wracali z dziadkiem i jego czterema psami. Pawło zatrzymał się, aby na chwilę odpocząć, i – jak mówi – chciał odrzucić butelkę, która leżała na drodze. W tym momencie eksplodowała mu w ręce – była to rosyjska mina-pułapka. – Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Spojrzałem na dłoń, a ona była cała rozerwana – mówi dziś.

Zrozumiał, że musi biec, bo został z tyłu za grupą. Wspomina, że przebiegł jeszcze 50 metrów i zaczął wołać o pomoc, potem upadł. Przyjaciele usłyszeli go, wrócili. Założyli mu turnikiet (opaskę uciskową, która tamuje krwawienie). Nieśli go przez 40 minut, w międzyczasie trwał rosyjski ostrzał.

Pawło trafił do polowego szpitala wojskowego, a potem do szpitala w Kramatorsku, tam miał operację. Teraz przebywa w szpitalu we Lwowie, gdzie będzie rehabilitowany. Wybuch uszkodził także jego kolano i płuco (miał założone w nim drenaże).

Jego mama i brat przebywają pod rosyjską okupacją. Próbują przedostać się na tereny kontrolowane przez armię ukraińską. ©

Pocisk z rosyjskiego czołgu trafił w schron

WERONIKA MA 10 LAT. Większość jej życia upłynęła w cieniu wojny: pochodzi z Wuhłedaru, kilkunastotysięcznego miasteczka w obwodzie donieckim, które przez ostatnie osiem lat znajdowało się w pobliżu linii frontu w Donbasie, po jego ukraińskiej stronie.

Po 24 lutego wojsko rosyjskie próbowało przełamać tu front. 9 kwietnia pocisk z rosyjskiego czołgu trafił w schron dziewięciopiętrowego budynku, w którym mieszkała rodzina dziewczynki. Zginęli jej ojciec, babcia i wujek z żoną. Przeżyła tylko ranna Weronika; rozpoznano ją dzięki bliźnie na łokciu.

Sąsiedzi, którzy znaleźli ranną dziewczynkę pod gruzami budynku, przypuszczają, że prawdopodobnie dorośli nakryli sobą Weronikę. Odłamek trafił ją w głowę, straciła kciuk w lewej ręce, a prawą ma częściowo sparaliżowaną. Bliskich Weroniki pochowano na dziedzińcu miejscowego kościoła.

Dziewczynka trafiła najpierw do miasta Dnipro, które jest medycznym zapleczem dla środkowego odcinka frontu, a potem dalej do szpitala we Lwowie. Tu obchodziła swoje 10. urodziny. Jest w trakcie rehabilitacji, pamięć zaczyna jej powoli wracać. ©

POŻEGNANIE Z HONGKONGIEM

1 lipca zawita tu chiński przywódca Xi Jinping, by osobiście odebrać przysięgę od nowego szefa lokalnej administracji. Będzie nim człowiek, którego biografia zwiastuje erę kolejnych represji.

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

25 LAT MIJA OD CHWILI, GDY WIELKA Brytania oficjalnie przekazała Pekinowi swoją dawną kolonię. Uroczystości – jak je nazwano w Pekinie – powrotu Hongkongu do Chin, dokładnie o północy z 30 czerwca na 1 lipca 1997 r., odbywały się w strugach deszczu. Jedni mówili, że miasto zmywa z siebie 150 lat kolonialnej hańby. Inni, że to znak trwogi przed nadejściem komunistycznego reżimu. Dziś, ćwierć wieku później, rządy Brytyjczyków wydają się odległą historią, a obawy o przyszłość miasta okazały się zasadne: obiecany Hongkongowi okres 50 lat swobód nie dotrwał nawet półmetka.

Przy wszystkich zastrzeżeniach wobec czterech poprzednich szefów lokalnej autonomii, z których żaden nie ukończył pełnych dwóch kadencji, mieli oni za sobą bogatą karierę biznesową albo doświadczenie w administracji. Natomiast 64-letni John Lee, który obejmie tę funkcję 1 lipca, zaraz po szkole wstąpił do policji, w której pozostał aż do zeszłego roku, gdy objął urząd głównego sekretarza, czyli drugiej osoby we władzach Hongkongu.

Podczas protestów, które wstrząsały miastem w 2019 r., Lee odpowiadał za resort spraw wewnętrznych, a potem nadzorował wprowadzanie drakońskiej ustawy o bezpieczeństwie narodowym (weszła ona w życie dwa lata temu). Stylem bycia przypominający szarego komunistycznego aparatczyka, Lee chwalił represje Chin w Sinciangu wobec islamskiej ludności Ujgurów, twierdząc, że elementy tamtejszej „antyterrorystycznej" strategii nadają się do wykorzystania w Hongkongu.

Wprawdzie dotychczasowych szefów administracji wyłaniano spośród kandydatów zatwierdzonych przez Pekin, jednak zachowywano pozory rywalizacji wyborczej. Tymczasem Lee nie miał nawet jednego konkurenta, zaś aprobatę 1500-osobowego komitetu elekcyjnego uzyskał prawie jednogłośnie. Jego wybór 8 maja wzbudził więc znikome zainteresowanie mieszkańców. Gdy Hong Kong Free Press, jeden z ostatnich niezależnych portali internetowych w mieście, zrobił tego dnia sondę uliczną, wielu zapytanych miało kłopot z wymienieniem nazwiska swojego nowego lidera.

Nieocenione doświadczenie

Hongkong nigdy nie miał demokracji. Niechętni jej wprowadzaniu byli Brytyjczycy, poszerzali jednak stopniowo zakres swobód w swojej kolonii. Na odchodnym zostawili po sobie polityczny model określany łagodnym paternalizmem, w którym było miejsce na niezawisłe sądownictwo i szereg atrybutów społeczeństwa obywatelskiego.

Zapisy Prawa Podstawowego, czyli lokalnej konstytucji, miały chronić te swobody oraz praworządność, w myśl zasady „jeden kraj, dwa systemy". Tymczasem po włączeniu miasta do Chin rozpoczęła się erozja autonomii – choćby przez monopolizowanie mediów „czerwonym kapitałem" czy próby narzucania „patriotycznej" edukacji.

Jednak aż do tej pory mieszkańcy Hongkongu nigdy jeszcze nie zaznali w przestrzeni publicznej tyle bezczelnego kłamstwa co dziś.

LAM YIK / REUTERS / FORUM

Policja zatrzymuje mężczyznę, który do Victoria Park – gdzie tradycyjnie miało odbyć się upamiętnienie w 33. rocznicę stłumienia demonstracji w Pekinie w 1989 roku – przyszedł z maseczką z napisem „Pamiętając Tiananmen". Hongkong, 4 czerwca 2022 r.

Jak to kłamstwo wygląda w praktyce? Wybory nowego szefa administracji, na którego głosować mogło 0,02 proc. populacji, ogłasza się świętem demokracji. Miasto oblepione zostaje plakatami kandydata, który organizuje zamknięty wiec wyborczy dla członków komitetu elekcyjnego i oświadcza, że przeprowadzone w trakcie kampanii konsultacje społeczne stanowią dla niego „nieocenione doświadczenie". Rzeczniczka chińskiego MSZ Hua Chunying pisze na Twitterze, że wybór Johna Lee „z przygniatającym poparciem" odzwierciedla poglądy opinii publicznej i szeroki konsensus Hongkończyków. Dla szefa biura łącznikowego Luo Huininga wysoka frekwencja stanowi natomiast dowód akceptacji dla nowej ordynacji, a wybory były „praworządne, uczciwe i sprawiedliwe".

Dzieje się to na oczach ludzi, którzy jeszcze niedawno brali udział w nieskrępowanej debacie publicznej. Kres temu położyła dopiero wspomniana ustawa o bezpieczeństwie narodowym, narzucona miastu przez Pekin 30 czerwca 2020 r. Odtąd władze mogły bez przeszkód likwidować wolne media i organizacje społeczne, a także wsadzać do więzienia działaczy demokratycznych. Los ten nie ominął nawet 90-letniego kardynała Josepha Zena, znanego przeciwnika chińskich władz – został chwilowo aresztowany na trzy dni po uzyskaniu nominacji przez nowego szefa administracji.

Złamana przez Chiny

Dla przeciętnego mieszkańca Hongkongu odrażający jest zwłaszcza fakt, że represje dokonywane są nie rękami komunistycznych służb, lecz jego rodzimych elit.

Weźmy szefową administracji Carrie Lam, która kończy właśnie swoją pięcioletnią kadencję. W 2017 r. witano ją z kredytem zaufania nawet w kręgach demokratycznej opozycji. Po nieudanych rządach poprzedników liczono, że ta katoliczka ze skromnej rodziny, która – co lubi podkreślać – swoje sukcesy ↦

↦ zawdzięcza pracowitości i zdolnościom, okaże niezależność wobec Pekinu.

Cała kariera Carrie Lam jest związana z administracją Hongkongu. Po 1997 r. zachowuje ona brytyjskie obywatelstwo (zrzeknie się go lata później, dla awansu), podobnie jak jej mąż, matematyk z 20-letnim doświadczeniem w Anglii, a także dwaj synowie (obaj wykształceni i mieszkający za granicą). Obejmując urząd, oświadcza, że chce przede wszystkim jednoczyć podzieloną społeczność Hongkongu.

Przełomem w jej karierze okaże się moment, gdy zacznie forsować ustawę ekstradycyjną, umożliwiającą wysyłanie do Chin osób tam podejrzanych. Wywoła to wielkie protesty, co ostatecznie sprowadzi na Hongkong represje. Kiedy w czerwcu 2019 r. demonstrują setki tysięcy, a nawet miliony Hongkończyków, Lam jest zagubiona, przestaje pojawiać się publicznie. Z zamkniętego spotkania wycieka wówczas jej nagranie: płacząc, przyznaje się do winy i wyraża gotowość ustąpienia.

Ale już kilka tygodni później objawia się całkiem nowa Carrie Lam – zapewne złamana przez Chiny. Nikną wszelkie wątpliwości. Zaczyna żyrować każdą represję Pekinu, składa hołdy Xi Jinpingowi i oświadcza przy tym, że swobody Hongkongu pozostają nienaruszone. Podczas ostatniej sesji pytań i odpowiedzi w parlamencie – to obyczaj wprowadzony przez Brytyjczyków – powie nawet, że nigdy przez myśl nie przeszła jej chęć rezygnacji.

Postawa Lam nie jest wyjątkiem. Wsparcia dla Johna Lee zdążył już udzielić choćby wielki biznes Hongkongu – środowisko kiedyś wierne Brytyjczykom, a dziś bijące pokłony nowemu panu w Pekinie. Te piruety śledzą zwykli Hongkończycy, o których losie zawsze decyduje ktoś wyżej. Dopóki ich nie zakneblowano, próbowali walczyć o swoją podmiotowość.

Papierek lakmusowy

W tych protestach chodziło zresztą nie tylko o zagrożone swobody – coraz częściej przybierały one także tożsamościowy charakter.

Do niedawna Hongkong stanowił jedyny punkt na mapie Chin, gdzie legalnie oddawano hołd ofiarom masakry na pekińskim placu Tiananmen w 1989 r. Każdego 4 czerwca, w rocznicę, mieszkańcy gromadzili się ze świeczkami na czuwaniu w parku Wiktorii. Rytuał ten pełnił równocześnie funkcję papierka lakmusowego: do jakiego stopnia obowiązuje wciąż formuła „jeden kraj, dwa systemy".

W tym roku, trzeci raz z rzędu, obchody zostały zakazane, a kto próbował robić to na własną rękę, był zatrzymywany.

Równocześnie, co ciekawe, stosunek do Tiananmen w obozie przeciwników władz jest zróżnicowany. Weterani tutejszego ruchu demokratycznego jeszcze od lat 80. XX w. hołdowali narracji, że istotę konfliktu z Chinami stanowi komunistyczny system tego kraju, nie negując przy tym wspólnoty kulturowych korzeni. Tymczasem w ostatniej dekadzie doszła do głosu generacja „lokalistów", która uważa siebie przede wszystkim za Hongkończyków, a w Chinach widzi już inny naród. Stąd dystans do wydarzeń na Tiananmen, które – choć tragiczne – nie dotyczyły jednak wprost Hongkongu.

Przerwana debata

Jeszcze trzy lata temu ludzie, głównie młode pokolenie, debatowali tu namiętnie o tożsamości swojego miasta, formując różne koncepcje bycia Hongkończykiem. Kontrastowało to z postawą ich rodziców i dziadków, często godzących się na życie w poczuciu wykorzenienia i tymczasowości. Sprzyjał temu system kolonialny, który długo pozostawał niechętny tworzeniu osobnej tradycji Hongkongu, odmawiając zarazem tubylcom akcesu do brytyjskości.

Miejsce to stanowiło przede wszystkim szalupę ratunkową przed niedostatkiem i chaosem politycznym Chin. Stan zawieszenia pogłębiała też perspektywa roku 1997, a potem roku 2047, gdy Pekin miał przejąć pełną kontrolę nad miastem.

„Lokaliści" próbowali zatrzymać tę płynną rzeczywistość. Świadome drążenie własnej tożsamości stanowiło formę oporu wobec Pekinu, miało też jednak sprawić, by mieszkańcy Hongkongu poczuli się wreszcie u siebie. Dlatego bronić będą każdego skrawka tradycji: starego sklepu przed wyburzeniem; wioski, przez którą ma przejść nowa linia kolejowa do Chin; przystani obsługującej jeszcze brytyjską rodzinę królewską. Nie było to łatwe w miejscu przechodzącym ciągłą metamorfozę, którego rozwój dyktują zyski deweloperów.

Nurt lokalistyczny wyłonił z siebie formację radykalną, dopuszczającą stosowanie przemocy wobec organów państwa. Wielu jej członków, ubranych na czarno, ścierało się z policją podczas demonstracji w 2019 r. W oczach Pekinu wszyscy „lokaliści" stanowili grupę ekstremistyczną, prącą do secesji. Fakt, że zyskiwali coraz większą popularność wśród Hongkończyków, przyczynił się do skali represji wprowadzanych od dwóch lat.

Debata o tożsamości została więc gwałtownie przerwana, a jej uczestnicy, o ile nie siedzą w więzieniu, boją się nawet używać mediów społecznościowych. Pekin proponuje za to mieszkańcom Hongkongu własne remedium na poczucie wykorzenienia: miasto jest i zawsze będzie tylko chińskie. A komu się to nie podoba, droga wolna.

Głosowanie nogami...

Cena biletu na czarterowy lot z własnym psem wynosi równowartość 100 tys. złotych. Za kota płaci się mniej, a gdy jest ich dwójka, wydatek od sztuki jeszcze trochę spada. Dla niejednego mieszkańca, który chciałby wyemigrować ze swoim pupilem, koszty te są barierą.

A jednak Hongkończycy wyjeżdżają, i to z całym dobytkiem. Przez 12 miesięcy od wprowadzenia ustawy o bezpieczeństwie narodowym miasto opuściło ok. 90 tys. osób. Tylko w pierwszym kwartale tego roku liczba ta przekroczyła 60 tys. Chodzi o miejscową ludność, a także o zagranicznych biznesmenów porzucających Hongkong z powodu pandemii. Restrykcje podyktowane przez Pekin, jak konieczność długiej kwarantanny, utrudniają im prowadzenie działalności gospodarczej.

Celem emigrantów jest przede wszystkim Zjednoczone Królestwo, które otwarło się na wszystkich Hongkończyków urodzonych przed 1997 r. Według wstępnych szacunków w ciągu pięciu lat może ich przyjechać na Wyspy nawet 300 tys.

Pęczniejąca diaspora staje się depozytariuszem wolnościowej tożsamości Hongkongu. Część jej członków kontynuuje działalność polityczną, tworząc sieć powiązań z hongkońską emigracją w Kanadzie, Australii czy na Tajwanie. To tam upamiętniać się teraz będzie i Tiananmen, i wielkie protesty w Hongkongu z roku 2019.

VERNON YUEN / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Tylko w pierwszym kwartale tego roku Hongkong opuściło ponad 60 tys. emigrantów. Na zdjęciu: przed wejściem na tutejsze lotnisko, październik 2020 r.

...i emigracja wewnętrzna

Władze zdają się nie przejmować odpływem ludności, choć początkowo próbowały to utrudniać. Pozbycie się krnąbrnych jednostek może być im na rękę, a ewentualne dziury w populacji można uzupełniać chińską imigracją. Liczą też na pragmatyzm wielkich korporacji, zwłaszcza finansowych. Wszak Hongkong, pełniąc funkcję pośrednika z Chinami, wciąż daje dobrze zarobić.

Poza tym, bez względu na polityczne poglądy, większość Hongkończyków i tak pozostanie. Emigrację uniemożliwia im wiek, sytuacja rodzinna bądź finansowa, ale też miłość do swojego miasta – pomimo wszystko. Wielu do niedawna aktywnie protestowało, a teraz musi jakoś odnaleźć się w nowej rzeczywistości.

Rok temu to pewnie oni zaczęli sięgać po książki George'a Orwella – o nagłej popularności tego autora informowały miejscowe biblioteki. Dziś modna staje się uprawa ziemi, choćby niewielkich ogródków, oraz kupowanie lokalnych produktów rolnych. To akt przywiązania do tożsamości Hongkongu, gdzie większość żywności jest chińskiego pochodzenia.

Obcowanie z naturą, z czymś realnym, stanowi też dla nich rodzaj lekarstwa na wszechobecne kłamstwo. Podobnie jak dla bohatera „Nieznośnej lekkości bytu" Milana Kundery, któremu życie na roli pomagało uciec od realiów komunistycznej Czechosłowacji.

Narracje dla historii

Pekin nigdy nie przyzna, że za niepokojami społecznymi w Hongkongu stać może pragnienie wolności jego mieszkańców. Jako powód protestów dopuszczano jedynie kwestie materialne: stagnację zarobków i ich rozpiętość, a przede wszystkim kosmiczne ceny nieruchomości. Wedle tej wykładni, nawet jeśli ludzie nieśli na sztandarach demokratyczne postulaty, to faktyczną, choć nieuświadomioną przyczyną ich gniewu jest ciasnota mieszkań.

Powszechność protestów, z udziałem również zamożnej warstwy średniej, podważa jednak tę interpretację. Choć problemy rynku mieszkaniowego są realne, a jego reformę, przyjazną zwykłym Hongkończykom, zapowiadał każdy szef administracji – włącznie teraz z Johnem Lee. Zważywszy jednak na siłę deweloperów, pozostających właścicielami gruntów, a także na fakt, że lokowany jest tutaj kapitał z Chin oraz na to, iż mieszkania stanowią często jedyne zabezpieczenie emerytalne Hongkończyków, trudno oczekiwać tu rychłej poprawy. Zbyt wielu ludzi straciłoby na tąpnięciu cen.

Ale dziś coraz wyraźniej górę bierze inne wytłumaczenie protestów: za cały ruch oporu wobec władz po 1997 r. mają odpowiadać obce pieniądze, głównie z Waszyngtonu, którego celem miało być wywołanie „kolorowej rewolucji" w Chinach i secesja Hongkongu.

Ktoś mógłby wzruszyć ramionami – przecież nie da się zafałszować uczuć i przekonań ludzi, którzy jeszcze niedawno brali udział w milionowych marszach. Aplikowanie tej narracji obliczono jednak na dekady wprzód, a wymazana na terenie Chin pamięć o Tiananmen pokazuje, że taka odgórnie skonstruowana historia potrafi się zakorzenić.

Władze liczą zapewne, że i tym razem rodzice niechętnie mówić będą dzieciom o protestach: ze strachu, ale też w poczuciu beznadziei – z Pekinem nie da się przecież wygrać. Z kolei nowe wystawy muzealne, akcentujące chińskie korzenie Hongkongu od tysięcy lat, mają dowieść, że pobyt tutaj Brytyjczyków stanowił jedynie epizod. Jeszcze dalej idą zatwierdzone właśnie podręczniki szkolne, gdzie kolonializm zostaje już całkowicie pominięty.

Cień nadziei

Nie ma zatem ratunku dla wolności w tym mieście?

„Hongkong umiera od zawsze, tylko ostatnio bardziej" – mówi lokalna dziennikarka Karen Cheung. Nawiązuje tym do obecnych represji, ale i do istoty Hongkongu, którą pewien australijski dziennikarz określił przed laty słowami: „pożyczone miejsce, pożyczony czas".

Agonia, jak widać, trwać może bardzo długo. Zawsze też pozostaje cień nadziei na ozdrowienie. Bo koncesjonowani historycy o tym nie napiszą, ale w odległych „chińskich" wiekach Hongkong służył również jako schronienie – przed opresyjną władzą centrum i jako miejsce rebelii przeciwko niemu skierowanej.

© PIOTR BERNARDYN

Autor mieszka w Japonii, stale współpracuje z „TP". W 2014 r. wydał książkę „Słońce jeszcze nie wzeszło. Tsunami. Fukushima". Najnowsza jego książka „Hongkong. Powiedz, że kochasz Chiny" ukazała się właśnie w Czarnym.

ANDRZEJ MUSZYŃSKI

Myląca idylla: w pierwszych dniach wojny w podziemiach zamku w Dubnie przygotowano schrony dla mieszkańców. Wiosna 2022 r.

Trumny przyjeżdżają codziennie

ANDRZEJ MUSZYŃSKI Z WOŁYNIA (UKRAINA)

Iwanna opowiada, jak jej znajomi w czasie wojny nadrabiają zaległości: uczą się własnej kultury, odkrywają literaturę. Dubno w roku 2022, w czwartym miesiącu inwazji, jest ukraińskie jak nigdy wcześniej.

To sprawia wrażenie, jakby kraj zapraszał: za przejściem granicznym w Hrebennem robi się płasko i droga na Wołyń wiedzie szeroką doliną, której odległe zbocza przepadają w świetle. Przy drodze las i czasem pola. Żadnych banerów – nic nie przyciąga wzroku, oprócz paru sprzedawców słoików z domowymi wyrobami, w kurzu i wśród woni benzyny.

Wsie i miasteczka Wołynia wydają się rozniesione po tej zieleni, która tylko o tej porze roku – pod koniec wiosny – świeci tak pełnym blaskiem. Przy obwodnicy Lwowa umundurowany mężczyzna około sześćdziesiątki trzyma dziewczynkę za rękę. Może wnuczkę. Stoją w słońcu. Wyglądają, jakby łapali stopa.

Jurij Pszeniczny, historyk z Dubna, powie mi, że właśnie to zmienia wojna: zaczynasz widzieć ostrzej. Zapamiętujesz więcej – jakby wszystko.

Po trzech miesiącach patrzenia w telewizor nie spodziewałem się, że tuż za granicą, w Rawie Ruskiej, zobaczę barykady z worków piasku i tylu ludzi w mundurach. W sklepach, na zakupach, w barach. Przed Dubnem na odcinku paru kilometrów ludzie czekali przy drodze na przyjazd kogoś ważnego. Żołnierze wybiegli z posterunku na rogatkach w ten cudowny blask, dopinając paski i połykając w pośpiechu posiłek. Zaparkowałem auto na rynku, szukając adresu. Usłyszałem nieznany mi huk na niebie, przekonany, że to pocisk. Najwyżej sto metrów nad ziemią przeleciał ukraiński myśliwiec. W Dubno rakieta uderzyła tylko raz na początku wojny, w bazę paliw na południu miasta.

Wobec wielkiej historii

Kiedy przyjechałem tu pierwszy raz dwa lata temu, to było zupełnie inne miejsce. Teraz w budce z jedzeniem na rynku zbierali na *awtomat*, karabin maszynowy. Ludzie patrzyli podejrzliwie, bo i tu kręcili się dywersanci – raz służby aresztowały na dachu budynku niewinnego Ukraińca, który tylko robił remont.

Prowincja może być schronieniem. Można wierzyć, że nie wzbudzi zainteresowania okupantów. Wojna, jeśli dotrze, rozrywa jej tkankę na strzępy i nic nie da się ukryć – jak w Buczy i Irpieniu.

– Byliśmy przekonani, że tu, na Wołyniu, czeka nas to samo – powiedział mi Jurij. W lochach dubnieńskiego zamku, w którym pracuje, zorganizowali schrony, w których na początku wojny kryli się mieszkańcy.

Zawsze wydaje mi się, że to miasto lewituje nad okolicą. Z okien hotelu widać daleko na horyzoncie pasma wzgórz. Na zachód – Góry Pełczańskie, na wschód – Dermańskie z resztkami puszcz, którymi zachwycał się Babel w swoim „Dzienniku 1920". W rejonie Dubna toczyły się wtedy ciężkie walki. Babel bezbłędnie opisał tutejszych Żydów i nędzę tego świata: „Dubnieńskie synagogi. Wszystko porozwalane. Ocalały dwie malutkie kapliczki, stuletnie, dwie małe izdebki, po brzegi pełne wspomnień, obok cztery bożnice, za nimi pastwisko, pola i zachodzące słońce". (Izaak Babel „Utwory zebrane", tłum. Jerzy Pomianowski).

Od wybuchu I wojny światowej Dubno przechodziło z rąk do rąk. W działaniach wojennych zniszczona została połowa miasta. Wojska rabowały i gwałciły. Nawet nie było sensu przyzwyczajać się do nowej władzy. Można było tylko uważnie przypatrywać się rozwojowi wydarzeń. Proza Babla pokazuje bezbronność miejsc nieprzygotowanych na dramat wielkiej historii, która często wybiera je na główne miejsce akcji.

W reportażu telewizyjnym Michała Przedlackiego „Ucieczka z Irpienia" jest scena, która pokazuje z pozoru nielogiczne zachowanie pewnego mężczyzny. Wolontariusz ewakuuje busem mieszkańców nowego osiedla. W tle słychać strzały i wybuchy. Do busa wsiada matka z dorosłym synem. Syn płacze, kiedy ściska się z ojcem, który postanawia zostać. Ojciec nie wierzy, że coś mogłoby mu się stać we własnym domu, w tak małej miejscowości. Pytałem Michała Przedlackiego, czy nie wie, co się z nim stało, bo nie mogę przestać o nim myśleć. Nie wie.

„My tutejsze"

Na pograniczu kultur widać wyraźniej, jak rodzi się ukraińska tożsamość. „Jest to jedno z najhandlowniejszych i najożywieńszych w pewne roku pory miasteczek naszych" – tak pisał o Dubnie Józef Ignacy Kraszewski w „Wieczorach wołyńskich" w 1859 r. Odbywały się tu – od drugiej połowy XVIII w. do roku 1795 – kontraktowe jarmarki, które ściągały tłumy ludzi.

Biznes lubi spokój i bezpieczeństwo, a w mieście była solidna twierdza. Nigdy nie została zdobyta przez Tatarów i Kozaków, którzy marzyli o grabieży skarbca. Na handlu wzbogacili się też miejscowi Żydzi i w XIX stuleciu tworzyli tu największą społeczność na Wołyniu. Powodziło się też właścicielom miasta, Lubomirskim, którzy postawili w nim nowe budynki i wyłożyli ulice brukiem. Dubno było w ich czasach największym miastem na Wołyniu.

Kraszewski uchwycił Dubno w ostatnich chwilach prosperity. Jarmarki w końcu przeniesiono do innych miejsc, a miasto zaczęło podupadać. Rodzina Lubomirskich biedniała. Ostatni właściciel miasta, Józef Lubomirski, sprzedał zamek i inne posiadłości armii rosyjskiej. Był chyba lepszym gawędziarzem niż gospodarzem, w zasadzie przehulał swoją fortunę w Paryżu. Jego pamiętniki z lat 1839-70 („Historia pewnej ruiny", tłum. Tadeusz Evert) zaczynają się tak: „Zanim rozpocznę pisać o moim życiu, przedstawię się czytelnikom – jeżeli w ogóle tacy się znajdą – i to przedstawię się w prawdziwym świetle – rzecz rzadka w naszych czasach, chwilami nawet drażliwa, zwłaszcza jeśli zacznie się jak następuje: głęboko sobą pogardzam".

Tak widowiskowej frazy nie utrzymuje na blisko pięciuset stronach opowieści, ale dalej jest to świetna narracja, która pozwala poznać uniwersalne mechanizmy prowincji. Lubomirski opisał świat, w którym wielu ludzi na pytanie o przynależność etniczną wolało raczej powiedzieć, jak czynili to Poleszucy – „my tutejsze". Miasto, przez które jedzie się wozem kwadrans. Już wzgardzone i wystawione na wiatr. To pozwala lepiej zrozumieć lęk, jaki wywołały w nich wydarzenia po I wojnie światowej.

Międzywojnie

Najpierw przyszła epidemia ospy i tyfusu. Potem ziemie opuszczone przez Rosjan, należące wcześniej do polskiego ziemiaństwa i objęte reformą rolną, a także nieużytki zaczęli zajmować polscy osadnicy wojskowi. To budziło niepokój miejscowych.

Historia polskiego wojskowego osadnictwa na Kresach w latach 20. doczekała się kilku opracowań, ale chyba najbardziej żywy obraz tych wydarzeń wyłania się z relacji świadków, zebranych w wydanej w 1992 r. książce „Wspomnienia z osad wojskowych 1921-1940". Szczerość tych autobiograficznych opowieści pozwala poznać stosunek Polaków do Ukraińców, którzy stanowili w tym rejonie, poza miastami, znaczną większość.

Był to stosunek rozmaity. Dominuje wiara w słuszność idei, a akcja osadnicza budzi wielkie polityczne emocje. To był pomysł Piłsudskiego, a to nie podobało się jego oponentom. Było oczywiste, że nie będą mieli wpływu na politykę w tamtym obszarze. Sprawę krytykowało ziemiaństwo, zagrożone reformą rolną, a także prawie cała lewica, która wołała o parcelację ziemi na rzecz ludności ukraińskiej. Mniejszości uważały osadników za intruzów. A oni sami czuli się pionierami, którzy szerzą w „Polsce B" (także wtedy używano tego określenia) postęp gospodarczy i kulturę polską. Mieli stanowić wzór dla miejscowej ludności i przekonywać ją do polskości.

– Dopiero ostatnio, po lekturze wspomnień z tamtego okresu, zdałem sobie sprawę, w czym konkretnie uczestniczył mój pradziadek, osadnik wojskowy na Wołyniu – powiedziałem do Jurija, kiedy siedzieliśmy na dziedzińcu zamku.

– Wiesz – odpowiedział jakby wymijająco – ale oni wpłynęli pozytywnie na ekonomię w regionie...

Minęło sto lat, a on silił się na kurtuazję, kiedy ja chciałbym bez emocji mówić o faktach. Również wtedy, gdy kiedyś zapytam go o rzeź wołyńską, przed którą uciekał mój dziadek, urodzony już w Dubnie.

Oddaleni

Mój pradziadek był jednym z kilku tysięcy osadników wojskowych na tych ziemiach.

Mogli czuć się tu jak pionierzy. Przyjeżdżali na ugór. Wieźli ze sobą drewno z przydziału od państwa. Pierwsze lata były rozpaczliwe. Walczyli o przetrwanie – dochodziło do sporów, również z miejscowymi, bo Polacy byli zdani wyłącznie na siebie, często odcięci od świata przez długie miesiące w czasie srogich zim. Wielu z nich nie miało pojęcia o uprawie ziemi. Mieli jej sporo, nawet pięćdziesiąt hektarów. Nowe wsie zamieszkane przez Polaków przypominały wyspy pośród pól i zieleni. Najbliższe miejscowości były zwykle ukraińskie.

Lektura wspomnień osadników i ich dzieci daje przejmujący obraz, godny niejednej fabuły. Niektórzy słali do Polski listy, błagając o pomoc. Długo wątpili w słuszność idei. Sytuacja zaczęła poprawiać się dopiero w latach 30., ↦

↦ przynajmniej na Wołyniu. Część Ukraińców zaczęła dostrzegać korzyści ze współpracy z Polakami, którzy do tego coraz częściej piastowali urzędy w okolicy.

Jednocześnie oba narody oddalały się od siebie, a napięcie rosło. Dorota Jasińska (Jarosz) we wspomnieniu z osady Rejtanów, powiat Dubno, opowiadała: „O ile poszczególni starzy ludzie nie tylko wzajemnie się tolerowali, ale i lubili, gawędzili po sąsiedzku (wielu z nas przeżyło później wywózkę [przez władze sowieckie – red.] dzięki paczkom od Ukraińców), o tyle młodzi ludzie mieli coraz mniej wzajemnej sympatii do siebie, zrozumienia i poczucia jakiejkolwiek łączności, a po wybuchu wojny tortury sobie wzajemnie zadawano. Może, gdyby nie bliskość wojny i nieodłączne, wrogie Polsce podjudzanie miejscowej ludności przez dwa zwyrodniałe systemy, doszłoby z czasem do spełnienia założeń projektodawców rozsiania polskiej ludności wśród ukraińskich wsi – stalibyśmy się sąsiadami, mówiącymi dwoma różnymi językami i wyznającymi dwie różne religie".

Milczenie

Przysłane przez Jurija fotografie z lat 20. i 30. ukazują źródło mitu Kresów. Dubno, uchwycone z powietrza, przypomina nowe amerykańskie miasteczko. Niskie solidne budynki, szerokie świetliste drogi. Jasne fasady. Drzewa. Ruch. Kościół. Synagoga. Do miasta powróciły słynne kontrakty handlowe, na które zjeżdżają się kupcy z dalekich stron. Ikwa opływa mury zamku. W rzece kąpią się dzieci. Żydowscy chłopcy z klubu piłkarskiego Makkabi Dubno szczerzą zęby do fotografa. W mieście są cztery stacje benzynowe, zakłady mięsne Becon Export i dwie firmy Karpaty. Elektrownia zasila miasto w prąd. Jest kino, parę hoteli i winiarnia Waleszyńskiego.

Nikt nie podejrzewa, że wkrótce na zamku NKWD będzie mordować ludzi. Sowieci wywiozą większość osadników na wschód albo zabiją na miejscu. Polskie wsie zostaną zaorane. Pod Dubnem hitlerowskie i sowieckie armie stoczą jedną z największych bitew pancernych II wojny światowej.

Mój dziadek, który przeżył na Wołyniu 20 lat, po tamtej ucieczce nie wrócił już do Dubna. Nigdy nie odnalazł taty ani brata. Tak jak ojciec Katarzyny Surmiak-Domańskiej, autorki „Czystki", wybrał milczenie. Ja składam opowieść o rodzinie ze wspomnień obcych ludzi i z własnej wyobraźni. Inni wciąż toczą spór o to, czy przed wojną miasto zamieszkane w połowie przez Żydów było bardziej polskie, czy ukraińskie.

Zaległości

Wspomnienie Doroty Jasińskiej (Jarosz) prowokuje do pytania, na ile agresja Rosji przeciwko Ukrainie jest wojną młodych. Często media opisują ją jako sprawę Putina i jego podstarzałych generałów. Tymczasem to hipster i influencer z Petersburga grabi ukraińskie domy i relacjonuje to w sieci, wywołując entuzjazm wśród fanów. Głównie rówieśników, dzieci TikToka.

Do Dubna niemal codziennie przyjeżdżają trumny z frontu, z ciałami ukraińskich chłopców. Na ławce, przy której siadam z Julią Lisowską, miejscową dziennikarką, dziecko zostawiło plastikowy pistolet. Julia patrzy na niego dłużej, jakby chciała mi to wytłumaczyć, albo coś z tym gadżetem zrobić, ale w końcu siadamy obok.

– Do końca roku szkolnego dzieci ciągle uczą się online – mówi. – Do lasu nie pójdziesz, bo tam wojsko, zakaz. Teraz, kiedy na Białorusi rozstawili Iskandery, znowu wrócił stres – opowiada.

Iwanna, dentystka, pokazuje mi kawiarnię, gdzie serwują najlepszą kawę. Jest smaczna jak w palarni we Lwowie. Pijemy ją wśród szarej zieleni, która porasta brzeg Ikwy. Iwanna opowiada mi, jak jej znajomi w czasie wojny nadrabiają zaległości: uczą się własnej kultury, dyskutują o języku i odkrywają swoją literaturę. Powtarzają, że kiedy to wszystko się skończy, pojadą zwiedzać kraj: w Karpaty, w Czarnohorę, której nigdy nie widzieli. Nie odkryli jeszcze nawet Dermańsko-Ostrogskiego Parku Narodowego, nieopodal.

Dubno w 2022 r., trzy miesiące po inwazji Rosji, jest ukraińskie jak nigdy wcześniej.

Syreny

Wieczorem, przed ósmą, znów wyją syreny. Schodzę do schronu pod hotelem. Siedzi tam samotna dziewczyna. Rozmawiamy dwie godziny, zanim na jej aplikacji nie pojawi się informacja, że alarm odwołany i można wracać.

Dziewczyna przyjechała tu dwa miesiące wcześniej z Kijowa. Wybrała Dubno, bo mówili, że spokojne miasto. Wysiadła z mężem na dworcu. Było kompletnie ciemno, bo wraz z godziną policyjną gasło światło. Wołyń jest dla niej schronieniem. – Miejscowi już nie schodzą do schronów w trakcie alarmów, bo nie widzieli tego, co ja w Kijowie – powiedziała mi. Samotna dziewczyna w mokrej piwnicy. Haftuje, pali, czasem pije wino.

Wyjeżdżam o świcie. Jadę do granicy na oparach, bo na stacjach nie ma benzyny. Wiozę dwa kilogramy żółtych jabłek.

© ANDRZEJ MUSZYŃSKI

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 370/21 toczy się postępowanie z wniosku kuratora spadku o stwierdzenie nabycia spadku po Reginie Bekier zmarłej 16 stycznia 1968 r. w Prawnie (gmina Józefów nad Wisłą), tam ostatnio stale zamieszkałej. W skład spadku wchodzi nieruchomość położona jak wyżej oznaczona jako działka gruntu nr 344.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 81/20, na skutek wniosku Corpus Iuris Niestandaryzowanego Sekurytyzacyjnego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego w Warszawie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Krystynie Mućko, zmarłej dnia 22 lutego 2019 roku w Rudce, ostatnio stale zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w szczególności Mariusz Mućko, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

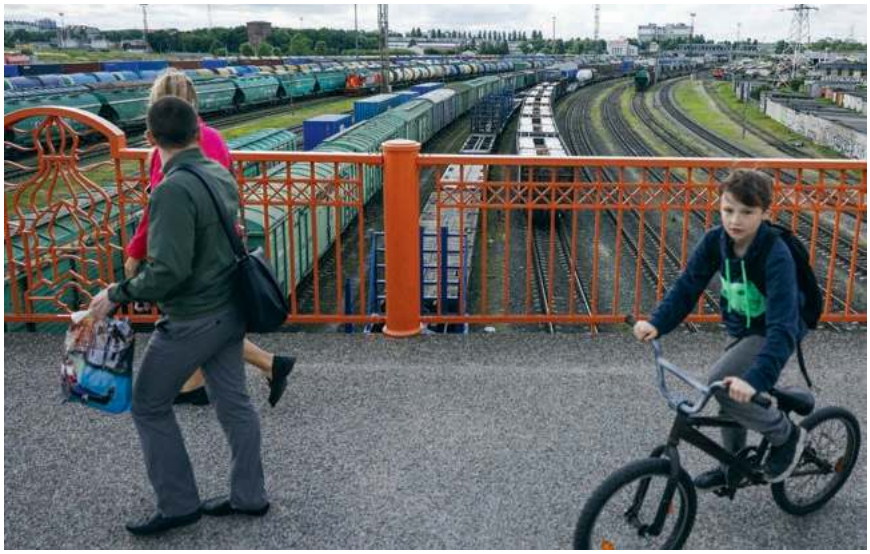

AP / EAST NEWS

Stacja towarowa w Kaliningradzie, 21 czerwca 2022 r.

Kaliningradzki pretekst

WOJCIECH KONOŃCZUK

Litwa wdraża unijny zakaz tranzytu do Kaliningradu rosyjskich towarów objętych sankcjami. Kreml zapowiada „ostrą" odpowiedź i grozi, że „dotknie ona każdego Litwina".

Do długiego katalogu sporów rosyjsko-zachodnich dołączył właśnie jeszcze jeden, z pewnością nie ostatni. Od 18 czerwca przez terytorium Litwy do obwodu kaliningradzkiego nie mogą być transportowane wybrane rosyjskie wyroby ze stali i żelaza. Wilno przekonuje, że wyłącznie realizuje postanowienia czwartego pakietu sankcji Unii Europejskiej, przyjęte jeszcze w marcu, a przy tym – oczekując gniewnej reakcji Kremla – skonsultowało wcześniej sprawę zakazu z Komisją Europejską. Josep Borrell, wysoki przedstawiciel UE ds. zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, nie pozostawił wątpliwości potwierdzając, że Litwa po prostu wypełnia unijne prawo. Zarazem odrzucił twierdzenia Moskwy, iż rząd litewski jednostronnie wprowadził własne ograniczenia.

Rosja rozpętała jednak awanturę, krzycząc o rzekomej „blokadzie transportowej" eksklawy kaliningradzkiej i obwiniając Wilno o prowokację. Władze Kaliningradu zaczęły wręcz twierdzić, że już zablokowano połowę tranzytu do tego regionu, co nie ma nic wspólnego z prawdą. Przedstawiciele Kremla grzmią o „bezprecedensowych, wrogich działaniach", które „łamią wszelkie uzgodnienia". Rosyjskie MSZ zagroziło, że jeśli bezproblemowy tranzyt nie zostanie przywrócony w najbliższym czasie, to „Rosja rezerwuje sobie prawo do obrony swoich narodowych interesów".

„Zajmiemy przesmyk suwalski"

W ostatnich dniach „litewska blokada" stała się dominującym tematem w rosyjskich programach telewizyjnych. Można w nich usłyszeć, że Wilno „postawiło pod znakiem zapytania swoją suwerenność i nienaruszalność granic", i że Rosja ma prawo „zlikwidować blokadę każdym sposobem, jaki uzna za stosowny". Rosyjscy propagandziści posuwają się do grożenia konfliktem nuklearnym, co stało się już zresztą stałym elementem przekazu propagandowego. Za tym idą ostrzeżenia, że Moskwa mogłaby zająć tzw. przesmyk suwalski, czyli obszar Suwalszczyzny, który oddziela Białoruś od obwodu kaliningradzkiego.

Nie ma wątpliwości, że celem tego przekazu jest wywarcie presji na Zachód w celu zniesienia zakazu tranzytu na wybrane towary. Szczególnie, że w najbliższych miesiącach mają wejść w życie kolejne unijne sankcje, które wprowadzą zakaz transportu przez terytorium Unii rosyjskiego cementu, alkoholu i wyrobów z drewna (11 lipca), węgla i innych paliw (10 sierpnia) oraz ropy (5 grudnia). Moskwa próbuje więc przestraszyć Unię Europejską, a zarazem zupełnie ignoruje to, że obwód kaliningradzki ma niezakłócone połączenie drogą morską z resztą Rosji.

„Kraj w oblężeniu"

Równie ważnym celem ofensywy propagandowej Kremla jest ugruntowanie w oczach społeczeństwa rosyjskiego przekonania, że Rosja jedynie broni się w obliczu wrogich działań ze strony Zachodu. Słychać głosy, że Wilno jest tylko wykonawcą polityki Waszyngtonu, zmierzającej rzekomo do zniszczenia Rosji.
Kreml próbuje zatem stworzyć wrażenie „oblężonej twierdzy" i skonsolidować wokół siebie Rosjan, rozumiejąc, że sankcje zachodnie będą miały coraz większy wpływ na spadek ich poziomu życia. W szczególności dotyczy to mieszkańców Kaliningradu, który miał liczne rozbudowane kontakty gospodarcze z sąsiednimi krajami – Litwą i Polską. Winnego lepiej jest wskazać poza Rosją.

Jak na razie Moskwa nie zdradza, jaka będzie jej odpowiedź na unijne ograniczenia tranzytowe. Nie jest wykluczone, że Kreml może zdecydować się na zerwanie połączeń elektroenergetycznych z Litwą (państwa bałtyckie wciąż są członkiem tzw. BRELL, czyli systemu elektroenergetycznego z Białorusią i Rosją), co jednak wiąże się z możliwością zakłócenia stabilności systemu energetycznego samego Kaliningradu. Spodziewać się należy również naruszania granicy państwowej, co w ostatnim czasie obserwowane jest na granicy rosyjsko-estońskiej.

■■■

Wojenna narracja Moskwy jest przynajmniej częściowo skuteczna. Bruksela i wybrane państwa członkowskie zaczęły wysyłać sygnały o konieczności deeskalowania sytuacji i jakichś zmian prawnych. Jeśli jednak kolejne pakiety sankcyjne nałożone na Rosję zostaną złagodzone, byłby to fatalny sygnał. Najgorszą polityką, jaką można prowadzić wobec Moskwy, jest bowiem pokazanie strachu i pójście na ustępstwa, co zostanie odczytane jako słabość. Wówczas można mieć pewność, że Rosja w pełni to wykorzysta, jedynie zwiększając presję na Zachód. ©

Tallinn patrzy na Kijów

TOMASZ OTOCKI

W cieniu inwazji przeciwko Ukrainie, sąsiadująca z Rosją Estonia musi radzić sobie z kryzysem rządowym.

LEON NEAL / PA / FORUM

Estońska premier Kaja Kallas i brytyjski premier Boris Johnson odwiedzają żołnierzy ze stacjonującej w Estonii grupy bojowej NATO, którą dowodzą Brytyjczycy. Tallinn, 1 marca 2022 r.

Czy Estonia będzie mieć nowy rząd z tą samą panią premier? Wbrew zapowiedziom politycy liberalnej Partii Reform, Partii Socjaldemokratycznej i konserwatywnego ugrupowania „Ojczyzna" nie osiągnęli aż do minionego weekendu porozumienia koalicyjnego. Miało ono zakończyć trwający od kilku tygodni kryzys rządowy, który zaczął się wraz z odwołaniem przez prezydenta ministrów Partii Centrum.

Od 3 czerwca gabinet liberalnej premier Kai Kallas działa jako rząd mniejszościowy. Ale zaproszenie do rządzenia dwóch partii, socjaldemokratycznej i konserwatywnej, sprawia, że nowy układ, choć jeszcze wciąż oficjalnie nieogłoszony, ma w Riigikogu (parlamencie) 56 posłów, a więc dysponuje bezpieczną większością. Partia Centrum i nacjonalistyczno-populistyczne ugrupowanie EKRE pozostaną w opozycji, przynajmniej do wyborów przewidzianych konstytucyjnie na marzec 2023 r.

PREZYDENT ESTONII Alar Karis, na wniosek premier Kallas, odwołał na początku czerwca siedmioro ministrów koalicyjnej Partii Centrum, w tym szefową MSZ i szefa MSW. Obie partie rządzące, reformistów i centrystów, poróżnił problem lojalności wobec polityki rządu, gdy posłowie Partii Centrum zagłosowali w Riigikogu (wraz z nacjonalistami z EKRE) za hojnymi zasiłkami rodzinnymi. Premier Kallas utrzymywała, że Estonii nie stać dziś na wypłacanie tak wysokich kwot. Kolejnym powodem konfliktu była reforma edukacji. Partia Reform od lat domaga się przejścia przedszkoli i szkół rosyjskich na nauczanie w języku państwowym. Partia Centrum głosowała w parlamencie (również z nacjonalistami z EKRE, co stanowi pewien paradoks) przeciw tej propozycji. Szefowa rządu i zarazem liderka Partii Reform uznała, że w takiej sytuacji nie może ona kierować wspólnym rządem.

Ministrowie Partii Centrum, tworzącej koalicję z reformistami od stycznia 2021 r., o swojej dymisji dowiedzieli się z mediów. Na dodatek Kaja Kallas krytykując byłego już partnera politycznego stwierdziła, że ma nadzieję, iż ten konflikt „otworzy oczy wszystkim partiom na znaczenie wspólnego zrozumienia zagrożeń dla nas jako kraju sąsiadującego z Rosją".

ZABRZMIAŁO GROŹNIE, choć wcześniej, w czasie półtora roku trwania koalicji, nie było żadnych trudnych kwestii między dwoma koalicjantami w sferze polityki zagranicznej i obronnej. Partia Centrum, na którą od lat głosują bardziej lewicowo nastawieni Estończycy i rosyjskojęzyczni mieszkańcy kraju, przez lata miała podpisaną umowę z putinowską Jedną Rosją, jednak jednoznacznie potępiła aneksję Krymu i wojnę w Donbasie, a po 24 lutego wyraziła solidarność z Ukrainą.

– Nigdy nie było to problemem w naszych obustronnych relacjach, zdecydowanie wspieramy Ukrainę – mówi „Tygodnikowi" zdymisjonowana szefowa MSZ, dyplomatka delegowana przez Centrum, Eva-Maria Liimets. Również rosyjskojęzyczna posłanka do Riigikogu Maria Jufereva-Skuratovski przypomina: – Wszystkie frakcje w Riigikogu podpisały oświadczenie potępiające rosyjską agresję i uznające ludobójstwo mające miejsce na Ukrainie.

O co więc chodzi? – W dużej mierze o ambicje dwóch ważnych postaci na estońskiej scenie politycznej: Kai Kallas i Jüriego Ratasa – mówi „Tygodnikowi" Kazimierz Popławski, redaktor naczelny portalu eesti.pl. Po zdymisjonowaniu ministrów Partii Centrum pani premier przypomniała, że jedynie dwóch z nich posiadało dostęp do informacji niejaw-

nych. Właśnie to miało rzucać zły cień na centrystów, którym jednak nikt przez ostatnie lata rządów nie potrafił zarzucić niczego konkretnego.

Pojawiały się jedynie oskarżenia wobec ich byłego szefa Edgara Savisaara – ekspremiera i byłego mera Tallinna – o zażyłe związki z Putinem, ale dotyczące przeszłości, gdyż obecnie nie odgrywa on już żadnej roli w estońskiej polityce. Liderem centrystów jest wspomniany Jüri Ratas, polityk młody, w latach 2016-21 szef rządu, obecnie wciąż przewodniczący Riigikogu, daleki od sympatii wobec Putina. Jednak wielu estońskich polityków nie potrafi wybaczyć centrystom jednej rzeczy: głosują na nich od lat rosyjskojęzyczni, którzy po 24 lutego znaleźli się pod lupą.

GDY IDZIE O POPARCIE dla Ukrainy, Estonia może być wzorem. Pomoc, jakiej udziela walczącemu o wolność krajowi, stanowi równowartość ok. 0,8 proc. estońskiego PKB i jest to najwięcej na świecie (pod tym względem Łotwa jest na drugim miejscu, a Litwa na piątym). Prof. Jewhen Cybulenko, ukraiński badacz z Politechniki Tallińskiej, wskazuje: – Riigikogu był pierwszym parlamentem, który za akt ludobójstwa przeciw narodowi ukraińskiemu uznał działania armii rosyjskiej i wezwał inne parlamenty oraz organizacje międzynarodowe do zrobienia tego samego. Był też pierwszym, który w 1993 r. uznał Hołodomor [Wielki Głód w Ukrainie w latach 30. XX w. – red.] za ludobójstwo.

Pytany, jak odejście Partii Centrum z rządu i poszerzenie go o socjaldemokratów oraz konserwatystów wpłynie na politykę rządu Kai Kallas wobec Ukrainy, Cybulenko odpowiada podobnie jak większość estońskich komentatorów: – W estońskim społeczeństwie istnieje konsens co do wsparcia dla Ukrainy. Jedynym poważnym problemem jest stosunek EKRE do ukraińskich uchodźców, bo EKRE jest generalnie partią antyimigrancką.

NACJONALISTYCZNA EKRE, która dziś jest w opozycji do rządu Kai Kallas, w latach 2019-21 była ugrupowaniem współrządzącym i Partia Centrum do dziś zbiera cięgi nawet nie za własne błędy, tylko za to, że ówczesny premier Ratas zbyt długo pozwolił „hasać" populistom. Dziś lider EKRE Martin Helme w rozmowie z „Tygodnikiem" przyznaje, że nie podoba mu się polityka estońska wobec imigrantów z Ukrainy – przybyło ich tu 43 tysiące.

– Estonia przyjęła *per capita* o wiele więcej uchodźców niż jakikolwiek inny kraj europejski. W ciągu trzech miesięcy nasza populacja wzrosła o 3 proc. – twierdzi Helme (nie ma racji, Polska przyjęła ich więcej). – Nasz system socjalny, służba zdrowia i rynek pracy nie wytrzymają tego.

Według polityka nacjonalistów po wojnie Ukraińcy powinni jak najszybciej wrócić do domu, a o żadnej polityce integracji nie może być mowy.

JEDNA TRZECIA ludności Estonii to społeczność rosyjskojęzyczna. Jak ona zareagowała na przybycie Ukraińców? Igor Kopytin, rosyjski historyk i komentator, wcześniej członek Partii Socjaldemokratycznej, wskazuje, że nie wszystko z Rosjanami w Estonii jest takie łatwe. Wcześniej wielokrotnie pisano o odrębnej, niejednoznacznej tożsamości bałtyckich rosyjskojęzycznych, którzy widzą korzyści z pozostawania Europejczykami i nie spieszą się do „russkiego miru".

Mimo to Kopytin jest nieufny wobec społeczności rosyjskojęzycznej: – Ogólnie rzecz biorąc, miejscowi Rosjanie nie popierają otwarcie rosyjskiej agresji, ale też jej nie potępiają – skarży się w rozmowie z „Tygodnikiem".

Ale wielu rosyjskojęzycznych polityków, którzy przed 24 lutego nie chcieli zbytnio krytykować Putina, teraz wobec rosyjskiej inwazji znalazło mocne słowa. – To może być jednak tylko zmiana taktyki. Oni, podobnie jak wiele rosyjskich postaci kultury, pedagogów, a nawet emigrantów, nadal prowadzą polityczną walkę o język rosyjski, kulturę rosyjską – uważa Kopytin.

Chodzi tu m.in. o kwestię nauczania w szkołach: Partia Centrum od lat sprzeciwia się przejściu szkół mniejszościowych w Estonii na język państwowy. W latach 2016-21 pilnował tego bardzo premier Ratas. Natomiast premier Kaja Kallas jest zdecydowana, by już od przedszkoli młodzi Rosjanie zaczęli się przyzwyczajać do nauczania po estońsku. Odpowiednie porozumienie w tej sprawie osiągnęły ostatnio trzy partie, które stworzą nową koalicję. W podobnym kierunku co Estonia idzie również sąsiednia Łotwa.

W ZLAICYZOWANYM kraju, jakim jest Estonia, jedynie niewielka część społeczeństwa przyznaje się do formalnej przynależności do związków religijnych. Wszystkie one od początku jednoznacznie potępiły agresję Putina, nawet Estońska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego, która skupia rosyjskojęzycznych (obok niej istnieje też Cerkiew zrzeszająca głównie Estończyków, podległa Konstantynopolowi).

Historycznie najważniejszym wyznaniem pozostaje tu luteranizm. Pastor Avo Üprus mówi „Tygodnikowi", że Estoński Kościół Ewangelicko-Luterański zebrał 60 tys. euro na pomoc Ukrainie. – W mojej parafii mam trzech uchodźców z Ukrainy, którym pomagam, podobnie jak pastorowi i jego żonie, którzy musieli opuścić Rosję.

Również Estońska Cerkiew Prawosławna podległa Moskwie chwali się, że wspiera Ukraińców: – Parafie zbierają pomoc, w tym żywność. W Tallinnie w kwietniu zorganizowaliśmy zbiórkę prezentów wielkanocnych i wielkanocnych potraw. W eparchii narewskiej byliśmy w stanie pomóc kilku uchodźcom, oferując im tymczasowe zakwaterowanie – informuje „Tygodnik" Marina Kasparowicz z biura tej Cerkwi.

■■■

Tymczasem, jak się okazuje, trzy partie wspomniane na początku wciąż nie osiągnęły porozumienia koalicyjnego. Jedno jest pewne: choć rząd Estonii przez najbliższe tygodnie będzie się musiał zajmować także Ukrainą, priorytetem stanie się polityka wewnętrzna. Trwają negocjacje budżetowe, a także dotyczące spraw socjalnych czy edukacji.

Trzy partie myślą już zresztą o tym, jak przygotować się do wyborów przewidzianych na marzec 2023 r.; sondaże są najbardziej łaskawe dla Partii Reform, gorsze dla Ojczyzny i socjaldemokratów.

Kaja Kallas, której notowania bardzo się ostatnio wzmocniły, ma ambicję stać na czele rządu w kolejnej kadencji, jednak swoich planów nie wyrzekł się także Jüri Ratas.

Kto będzie rządzić za rok, zależy m.in. od tego, czy trzem partiom tworzącym nową koalicję uda się przekonać Estończyków, że sprawy idą w dobrym kierunku. ©

Tekst ukończono 23 czerwca.

Autor jest publicystą portalu „Przegląd Bałtycki".

DEBBIE HILL / UPI / PAP

Izraelski minister spraw zagranicznych, a wkrótce tymczasowy premier Jair Lapid podczas debaty w Knesecie. Jerozolima, 22 czerwca 2022 r.

Powtórka z rozrywki

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU

Ten eksperyment się nie powiódł: upada rząd, który miał być odpowiedzią na polityczną przegraną Beniamina Netanjahu. Upada też nadzieja, że w Izraelu cokolwiek może się zmienić.

„A nie mówiliśmy, że to się tak skończy?" – komentatorzy nie mają litości. 20 czerwca premier Naftali Bennett i minister spraw zagranicznych Jair Lapid oświadczyli, że wyczerpali już wszystkie opcje, które miały na celu ustabilizowanie koalicji rządzącej. Nieoczekiwanej i egzotycznej, bo obejmującej zarówno partie lewicowe, centrowe, jak i prawicowe (z osadnikami włącznie) oraz partię islamistyczną.

POWOŁANA ROK TEMU – po czwartych z rzędu wyborach – koalicja wzbudziła w Izraelczykach skrajne uczucia – od ironicznego niedowierzania, przez ciekawość i wściekłość, po nadzieję i ulgę. Bo impas polityczny i wydłużająca się lista problemów do rozwiązania były już trudne do zniesienia. Tym, co połączyło ugrupowania, była niechęć do urzędującego wówczas od 12 lat premiera Netanjahu. Nadzieja, że koalicja się utrzyma, nie była wielka – pytano raczej, jak długo jej się to uda.

Jeśli w najbliższych dniach przejdzie ustawa rozwiązująca Kneset, Jair Lapid, zgodnie z porozumieniem koalicyjnym, obejmie stanowisko premiera aż do kolejnych wyborów zaplanowanych na 25 października. To będzie piąta runda wyborcza w przeciągu trzech i pół roku.

Dzielona przez wszystkich niechęć do byłego premiera nie wystarczyła. Bennett wykazał się brakiem wizji – choć nie brakowało i dobrych stron tej kadencji, jak wyraźna zmiana dyskursu politycznego (agresywnym językiem czasów Bibiego społeczeństwo było już bardzo zmęczone). Ostatnie miesiące pokazały, że rząd tak wielu skrajności po prostu nie ma racji bytu, że interesy jego członków są nazbyt odmienne i nie dają się połączyć. W kwietniu wręcz utracił, i tak minimalną, większość parlamentarną. Szeregi opuszczali parlamentarzyści, naciskani dodatkowo przez opozycję. Członkowie koalicji ograniczali wsparcie dla rządu, jeśli ten nie skłaniał się ku decyzjom im bliskim.

Problemem, który ostatecznie rozsadził koalicję, okazały się regularnie przedłużane ustawy, jakie regulują status ludności zarówno palestyńskiej, jak i żydowskiej na Zachodnim Brzegu Jordanu. W czerwcu głosowano nad przedłużeniem prawa, które nakłada izraelskie przepisy na obywateli Izraela, którzy tu mieszkają. Kilku posłów głosowało wówczas przeciw ustawie, co pokazało, jak krucha jest ta koalicja.

KOMENTATORZY W IZRAELU wskazują też, że powodem niepowodzenia wyborów w ostatnich latach są... same wybory. Niski próg daje możliwość wejścia ugrupowań o nawet najmniejszym poparciu, co w kraju o tak wielu skrajnych podziałach ideologicznych prowadzi do problemów ze stabilnością rządów.

Wiele wskazuje na to, że po raz kolejny w tych wyborach nie będzie chodziło o palące kwestie – jak bezpieczeństwo, konflikt palestyńsko-izraelski czy rosnące koszty życia w kraju. Cała dyskusja zwróci się ku jednej i tej samej postaci: Bibiemu Netanjahu.

On sam triumfuje, bezlitośnie punktując przeciwników i robiąc z tego oś swojej nowej kampanii. Pytanie, czy ma jakąkolwiek szansę: przecież wszystkie cztery rundy wyborów w ostatnich latach przegrał, a na karku ma toczący się od dłuższego czasu proces o korupcję, defraudację i nadużycie zaufania.

Mówi się, że jednym z ostatnich ruchów obecnej koalicji miałaby być ustawa o zakazie sprawowania funkcji publicznych przez osobę będącą w trakcie procesu sądowego. Ta ustawa byłaby oczywiście wycelowana w Bibiego, choć Bennett wielokrotnie podkreślał, że nie jest nią zainteresowany – jak i czymkolwiek innym, co miałoby na celu wykluczenie Bibiego z funkcji publicznych, a jednocześnie odbierało Bennetowi kluczowy powód do dalszych, przewidywalnych rządów.

DODATKOWĄ TRUDNOŚCIĄ dla obecnej opozycji – prawicowej i religijnej – jest jej słabość: aby gładko przejęła władzę po obecnej koalicji, potrzebne by jej były dodatkowe głosy lewicy czy partii arabskich, a ich przyjęciem nie jest ona zainteresowana.

Tak czy inaczej, najbliższa walka stoczy się między Beniaminem Netanjahu a Jairem Lapidem – dwoma politykami, którzy doskonale wiedzą, jak do swoich celów wykorzystać media. To będzie krwawa polityczna jatka. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

weź, słuchaj!

JAGIELSKI STORY

Wszystkie strony świata – w jednym podkaście rozmawiają Wojciech Jagielski i Krzysztof Story
TygodnikPowszechny.pl/podkast

Dołącz do społeczności
patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego

PATRONITE

TP

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

SERWIS SPECJALNY
ATAK NA UKRAINĘ

Korespondenci wojenni, analitycy ds. wschodnich, doświadczeni dziennikarze i reporterzy o sytuacji na froncie i poza nim.

Relacjonują: Paweł Pieniążek, Wojciech Pięciak, Anna Łabuszewska, Wojciech Konończuk, Wojciech Jagielski, Grażyna Makara i Marcin Żyła.

Teksty, zdjęcia, wideo i podkasty na
TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. PAWEŁ PIENIĄŻEK

ŁAD NIEŁAD

Kiedyś była symbolem sowieckiej motoryzacji. Dziś staje się symbolem Rosji Putina: obłożonej sankcjami i odciętej od zachodniej technologii.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

Występowała w filmach, jak marvelowska „Czarna wdowa" czy „Wanted – Ścigani", a nawet w kreskówce „Simpsonowie". Sowieckie auto marki Łada przeszło do popkultury i Zachód lubuje się w jego tuningowaniu. Ale na Wschodzie pozostaje jednym z popularniejszych samochodów. Ambasadorem tej marki jest Władimir Putin, który jednak podczas testu, w świetle kamer, nie odpalił łady granty – modelu produkowanego od 2011 r. Zły omen, początek końca?

„Jaguaruuuu"

Wpiszcie w wyszukiwarkę „guitar, guitar, jump to my yaguar" i włączcie to, co się wyświetli. Nie pożałujecie i godzinami jeszcze będziecie nucić piosenkę Piotra Nalicza. Ten Rosjanin, w którego żyłach płynie bośniacka i ukraińska krew, po 24 lutego nawołuje do przerwania wojny, odmówił też udziału w moskiewskich obchodach Dnia Zwycięstwa.

Wracając zaś do „Guitar", czyli nagrania z 2007 r.: Nalicz prezentuje się tam w „jaguaruuuu". Faktycznie pojazd należałoby

ANDREY RUDAKOV / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Naprawa układu wydechowego samochodu WAZ 2107, znanego jako Łada Riva. Borowsk, Rosja, 2019 r.

jednak nazwać WAZ-em 2101 albo Żiguli, choć w krajach byłego Związku Sowieckiego zdobył on jeszcze imię Kopiejka, od jedynki w numerze modelu. Ale za granicą – a zwłaszcza we Włoszech, skąd pochodził jego pierwowzór: fiat 124 – żadne z tych imion nie mogło się przyjąć. Przy czym Żiguli, ukute od nadwołżańskich wzgórz, budziło co najmniej zdumienie i wszyscy słyszeli „żigolo".

Ten lapsus sprzed pół wieku nadaje dodatkowego uroku utworowi Nalicza, który w groteskowej angielszczyźnie wyśpiewuje też „guitar, guitar, come to my boudoir". To zaś w świadomości starszych odbiorców z Rosji wywołuje wspomnienia z sowieckiej rzeczywistości. Nietrudno znaleźć fora internetowe, na których autorzy rozpisują się o specyfice uprawianej w żiguli miłości. „To jedna wielka Kamasutra" – piszą. Pojawiają się spostrzeżenia, poparte doświadczeniem, że „należało otworzyć drzwi", lub afirmacje foteli bez zagłówków.

Jednak cała ta sentymentalna otoczka nie będzie jasna, jeśli nie przywołamy eksportowej nazwy, powstałej, aby zatrzeć skojarzenia z bawidamkiem: oto Łada.

„Widziałem cię przy murze"

A właściwie Lada 1200, bo pod taką nazwą, po nieudanym debiucie jako Zhiguli, samochód trafił na Zachód.

Był rok 1973 i przykładowo Anglicy mogli wybierać spośród kilku modeli zza żelaznej kurtyny. Kusiły ich tańsze wartburgi 1000 z NRD (cena: 811 funtów), czechosłowackie škody S100 (834 funty) czy sowieckie moskwicze 412 (745-849 funtów). Cenę łady ustalono na 981 funtów – równowartość ówczesnego półrocznego wynagrodzenia, jakie otrzymywał angielski robotnik. Dziś, w przeliczeniu, byłoby to ok. 69 tys. złotych.

W porównaniu do Kopiejki atrakcyjniejszą cenowo ofertę miały też dwa modele Citroëna, w tym słynna kaczka, oraz dwa fiaty (choć sam fiat 124 kosztował więcej, bo 1200 funtów). I to może przesądziło o sukcesie. Łada oferowała zbliżone parametry do bliźniaka z Turynu, a przy tym była tańsza o równowartość kolorowego telewizora lub dwóch lodówek.

Nie dziwi więc, że w ciągu pierwszych 12 miesięcy znalazła na Wyspach aż 2300 nabywców, stając się liderem wśród aut zza żelaznej kurtyny. W kolejnych latach Anglicy kupowali nawet po kilkanaście tysięcy ład rocznie, podczas gdy wartburgów ledwie kilkaset, a niezłych škód nie więcej niż 2-3 tysiące. Przy czym za trwającą do lat 90. brytyjską *prosperity* Łady – model 2107, zwany tu Riva, sprzedawał się w 30 tys. egzemplarzy rocznie – odpowiadali sowieccy dilerzy samochodowi.

Udał im się nie lada wyczyn. Po pierwsze, nie szukali nabywców w Londynie i statki z samochodami kierowano do Szkocji, gdzie klienci, jeśli cena była atrakcyjna, gotowi byli wybaczyć tapicerkę z PCV. Po drugie, zbudowano sieć zaufanych salonów i serwisów. Po trzecie, zadziałała reklama, w myśl której lepiej mieć nową ładę niż używanego volkswagena.

W efekcie także Brytyjczycy dzielą się dziś wspomnieniami z ładą w tle. Dla wielu stała się pierwszym samochodem i wiozła z dobytkiem na studia. Dzięki kompaktowym rozmiarom, służyła rodzinom. „Mój tata kupił używaną ładę 1200 – wspomina Anglik, który w 1981 r. był małym chłopcem – i pojechaliśmy w 6 osób (4 dorosłych, 2 dzieci) z Devon do Marsylii i z powrotem".

I także na Wyspach doczekała się pieszczotliwej nazwy: Nikita. Tu przypomnijmy teledysk Eltona Johna właśnie do utworu „Nikita". Imię to nosiła w klipie Rosjanka, służąca na berlińskim Checkpoincie Charlie, do której przyjeżdżał bentleyem continentalem muzyk („Oh, widziałem cię przy murze"). Na przeszkodzie ich miłości stanęła polityka i ostatecznie limuzyna w kolorze tudor red musiała się wycofać. Zapewne sir John nie myślał wtedy o WAZ-ie 2101, ale historia łady Nikita pokazuje, że granica między dwoma światami nie była aż tak szczelna.

Z ziemi włoskiej nad Wołgę

Nie była i być nie mogła, bo o systemowe dziury i podkopy dbali sami włodarze z Kremla. Przykładem powołanie fabryki WAZ, produkującej właśnie łady.

Trudno rozsądzić, co było powodem rozpoczęcia tej gigantycznej inwestycji. Oficjalnie mówiło się o konieczności masowej produkcji nowego samochodu dla ludu. W Związku Sowieckim wytwarzano już wprawdzie zaporożce i moskwicze, mające pełnić tę funkcję. Jednak w połowie lat 60. produkcja sowieckich osobówek wynosiła jedynie 400 tys. sztuk rocznie – kropla w morzu w 200-milionowym kraju.

Jasnym było, że marzenia o popularnym samochodzie można spełnić wyłącznie wtedy, gdy powstanie baza produkcyjna ze zautomatyzowanymi liniami montażowymi. Związek Sowiecki nie mógł podołać temu wyzwaniu i rozważano alianse z Renaultem, Volkswagenem oraz Fiatem. Rozpoczęto też testy samochodów, z myślą o przysposobieniu jednego z nich.

Ze wspomnień inżynierów – w tym przyszłego dyrektora WAZ-u, Wiktora Polakowa – wiadomo, że za najlepszy uznano renaulta 16. Minister przemysłu samochodowego Aleksandr Tarasow poinformował o tym Leonida Breżniewa, przywódcę partii i państwa. Ten miał ↦

↦ odpowiedzieć: „Włosi są nam bliżsi niż Francuzi". Później rozmowa ta obrosła legendami i istnieje wersja, zgodnie z którą gensek wydarł się: „Towarzyszu, zajmijcie się samochodami, a my będziemy zajmować się polityką!".

Teraz wiemy, że kryła się za tym większa batalia. Lata 60. to okres, gdy Włoska Partia Komunistyczna liczyła na przejęcie władzy i moskiewscy decydenci inwestowali (także finansowo) w relacje z towarzyszami znad Tybru. Sytuacja skomplikowała się jednak w 1968 r., gdy włoscy komuniści ostro skrytykowali inwazję Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, co chwilowo zmniejszyło poziom serdeczności w ich relacjach z Kremlem.

Niemniej decyzje już zapadły, projekt rozpoczęto. Jego skali możemy się domyślać. Oto bowiem nad Wołgą, w mieście Togliatti, powstał samochodowy gigant. Wzniesiono go przy udziale włoskiej myśli technicznej i kapitału, lub jak chcą inni – został całkowicie przez Włochów sfinansowany. Do dziś w światowej branży motoryzacyjnej fabryka ta pozostaje drugą co do wielkości (po niemieckim Wolfsburgu). Do niedawna była też czwartą pod względem liczby produkowanych tam aut.

Nie jest jasne, co Włosi otrzymali w zamian. Niewątpliwie stal do produkcji włoskiego Fiata jeszcze w końcówce lat 80. pochodziła ze Związku Sowieckiego. Podobnie było z Ferrari, zwłaszcza popularną wśród muzyków, od Jaggera po Davisa, Testarossą (o ironio, tę „czerwoną głowicę" odlali komuniści).

Jak Stawropol stał się Togliattim

Miasto Togliatti rozrosło się niesłychanie: z 60 tys. mieszkańców w 1960 r. do ponad pół miliona w 1980 r. Wszystko dzięki fabryce WAZ, w której u kresu istnienia imperium pracowało 100 tys. osób.

Na marginesie, z włoska brzmiąca nazwa miasta została nadana mu na cześć przewodniczącego Włoskiej Partii Komunistycznej, Palmira Togliattiego. W początkach lat 60. winił on ówczesnego sowieckiego przywódcę Nikitę Chruszczowa za rozbrat z Chińczykami. Kreml ignorował go i Togliatti postanowił latem 1964 r. rozmówić się osobiście: ruszył do Jałty, gdzie w sierpniu odpoczywała wierchuszka partii. Na miejscu zarzucono go spotkaniami w młodzieżowym obozie Artek, gdzie podczas akademii dostał udaru mózgu i zmarł.

ALEXEI NIKOLSKY / AP / EAST NEWS

Ówczesny premier Władimir Putin z wizytą w fabryce AwtoWAZ, największego rosyjskiego producenta samochodów. Togliatti nad Wołgą, maj 2011 r.

Chruszczow powiózł trumnę z Togliattim swoją czajką, a nawet uparł się, że będzie ją nieść do samolotu (i o mały włos, a przyczyniłby się do upuszczenia nieboszczyka, ale to już inna historia). W każdym razie Togliattiemu urządzono królewskie pożegnanie – i wtedy też podjęto decyzję o zmianie nazwy Stawropolu nad Wołgą na Togliatti.

Dodajmy, że za zmarłym do Rzymu poleciał Breżniew, który myślał już o Italii szerzej, jako o przyszłym partnerze; wydarzenia te o półtora miesiąca poprzedzały tzw. pucz Breżniewa, po którym objął on władzę.

Wracając do fabryki: niezależnie od politycznej koniunktury, kontynuowano jej budowę, a prasa pisała, że w ciągu pięciu lat od jej uruchomienia, czyli w 1975 r., osiągnie wydajność miliona samochodów rocznie. Nie udało się, choć u progu lat 80. liczba ład schodzących z linii montażowych przekroczyła 600 tys. egzemplarzy i systematycznie rosła.

Na kręconych tam filmach widać zautomatyzowane ciągi produkcyjne i nawet roboty spawalnicze, nad którymi z lubością rozwodzą się lektorzy. Z żadnej z tych kronik nie dowiemy się jednak o ciemnej stronie fabryki: rosnącej przestępczości. A także o pladze Togliattiego, czyli kradzieżach przemysłowych. Komuniści byli świadomi tych patologii, ale nie próbowali ich wyplenić, bo wówczas odsłoniliby prawdę o systemie – uczciwie pracujący robotnik nie mógł żyć tak, jak to przedstawiano.

Aleja Bohaterów

Po rozpadzie Związku Sowieckiego nikt już nie troszczył się o pozory i w mieście wybuchła wojna między bandytami żerującymi na fabryce.

Historię tych zmagań można prześledzić na miejskim cmentarzu, gdzie jedną z jego części ochrzczono mianem „Alei Bohaterów". Znajdują się tam groby szefów gangów, m.in. rodziny Kupiejewych, Aleksandra Masłowa, Dimy Bolszego. Co z tego, że w złym guście, co z tego, że z groteskowymi podobiznami – pomniki te, jak oś czasu, wyznaczają kluczowe momenty wieloletniej wojny o władzę nad Ładą.

Strzelaniny, pościgi, wybuchy były codziennością w Togliattim do roku 2000. Wtedy to gangsterzy, niczym orkowie u Tolkiena, wymordowali się w bratobójczych walkach, a niedobitki wyłapała milicja i nastał spokój. A przynajmniej tak twierdzą władze miasta. Ile jest w tym prawdy – trudno ocenić. Jeszcze w 2007 r. wyleciał tu w powietrze autobus, choć za to obwiniono miłośnika militariów.

Pewnym jest, że ukrócenie przestępczości zbiegło się z pauperyzacją. Oprócz tego już w wieku XXI wielokrotnie zwalniano pracowników fabryki, pozostawiwszy jedną trzecią załogi. Dziś Togliatti jest najbiedniejszym z dużych miast Federacji Rosyjskiej.

Cóż z tego, że z Rosji

Wracając do początków rosyjskiej transformacji: po rozpadzie Związku Sowieckiego fabrykę WAZ przemianowano na

AwtoWAZ i nawiązano współpracę z Renault, który z czasem przejął większościowy pakiet akcji. Symbolem nowej ery miała być jakość i oprócz gestów (jak zakaz roślinności doniczkowej na halach fabrycznych) wdrożono program eliminacji usterek. Przyjęto też do produkcji nowe modele i okresowo wytwarzano renaulty, nissany i datsuny.

W latach 90. produkty AwtoWAZ-u były popularne w Polsce. Najbardziej chyba Niva: ta mała terenówka do dziś cieszy się niezmienną atencją wśród myśliwych, leśników czy fanów off-roadu (na marginesie: dostępna od 43 lat klasyczna Niva jest jednym z pięciu najdłużej wytwarzanych seryjnych modeli świata).

Jednak z czasem odwróciliśmy się – podobnie jak Węgrzy, Czesi czy Litwini – od aut z Togliattiego. Tamtejsi zarządcy nie kwapili się do ponownego zdobywania naszych rynków i w Polsce nie ma już salonów Łady z rozwiniętymi serwisami.

Inaczej w państwach, które Moskwa uważa za strefę wpływów. Na tym tle szczególnym przypadkiem jest Ukraina. Do 2014 r. menedżerowie Łady nie adresowali specjalnych kampanii dla Kijowa i nieoficjalną twarzą marki był Putin, który jeszcze jako premier w żółtej ładzie kalinie samojeden przejechał z Chabarowska do Czyty. Taka promocja wystarczała i koncern z Togliattiego sprzedawał w Ukrainie ponad 100 tys. nowych aut rocznie – zagospodarowywał jedną piątą rynku.

Aneksja Krymu i wojna w Donbasie przełożyły się na radykalny spadek sprzedaży. Mimo to Łada pozostawała najpopularniejszym samochodem w Ukrainie i w zależności od regionu co czwarte lub co piąte auto miało charakterystyczne logo łodzi z żaglem w kształcie cyrylicznej litery „W" (analogu naszej „B").

Ostatnie lata okazały się jednak przełomowe. Zmieniono kampanię reklamową – m.in. informowano, że oferowane w Ukrainie łady składa się w Zaporiźkym Awtomobilnym Zawodzie, czyli ZAZ-ie, znanym niegdyś z zaporożców. Faktycznie dotyczyło to jednego modelu, a w pozostałych montowano ukraińskie drobiazgi związane z elektroniką. Oprócz tego zadbano o tzw. tożsamość wizualną i samochody prezentowano tak jak te produkowane w zachodnich fabrykach Renault.

Efekt był spektakularny. Rosyjska Łada w sierpniu 2021 r., w zestawieniu rok do roku, zwiększyła w Ukrainie sprzedaż o ponad 400 proc. Co prawda uplasowała się dopiero na 16. pozycji wśród wszystkich marek, ale niewątpliwie wracała do gry. Zadziałała sprawdzona strategia: nowa łada była najtańszym samochodem w Ukrainie, a przy tym Renault zapewniał sieć dealerów i serwisantów.

Łada Kryzysanta

Sytuacja zmieniła się po 24 lutego. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę, pod międzynarodową presją Renault odsprzedał za symbolicznego rubla udziały w AwtoWAZ-ie. Równocześnie rosyjski przemysł został objęty sankcjami i fabryka w Togliattim chwilowo przerwała produkcję.

Niedawno ją wznowiono, ale z linii zjeżdżają teraz auta, które – ze względu na brak zagranicznych podzespołów – przypominają te sprzed ćwierć wieku. Najpopularniejszy model, Łada Granta – do niedawna nieźle sprzedająca się także poza Rosją – dostępna jest teraz m.in. bez układu ABS i poduszek powietrznych oraz z silnikiem spełniającym zaprzeszłe wymogi EURO 2 (europejski standard emisji spalin z początku lat 90., gdy dziś obowiązuje EURO 7 z 2014/15 r.).

Z takimi samochodami, w których nawet przednie szyby opuszcza się ręcznie, Łada „może zapomnieć o zagranicznej ekspansji" – przekonuje Wojciech Marszał, specjalista branży motoryzacyjnej, i dodaje: „Pytaniem otwartym pozostaje, czy tak zubożone modele znajdą klientów na rynku wewnętrznym".

Sami Rosjanie podobno nie kryją rozczarowania, a co odważniejsi żartują z aut objeżdżanych przez Putina – na popularnej platformie blogowej LiveJournal znajdziemy propozycje nazw dla kolejnych kryzysowych produktów AwtoWAZ-u. Byłaby to więc Łada Serwanta (z szybami otwieranymi poziomo, jak w serwantce) lub Łada Weranta, w ogóle bez oszklenia. Alternatywą może być też Łada Dominant, której nazwa odzwierciedlałaby specyfikę jezdną auta, a właściwie jej brak. Samochód stałby cały czas na tzw. kanale, a pod nim pracowałby mechanik, co nasuwa skojarzenia z pozycją dominującą w miłości.

■■■

Jak widać, w efekcie zbrodniczej wojny Władimira Putina rozsypują się w proch także rosyjskie legendy – i przecinane są również te zupełnie pragmatyczne, motoryzacyjne więzi, łączące do niedawna Ukraińców i Rosjan.

© MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

POŻEGNANIE

W dniu 22 czerwca 2022 r. zmarła opatrzona Świętymi Sakramentami

Ś.†P.

mecenas

Wiesława z Czapkiewiczów Zollowa

najdroższa żona, ukochana mama, teściowa i babcia

Msza Święta żałobna odbędzie się w kaplicy na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie, w dniu 1 lipca 2022 r. o godz. 11.40.

Po Mszy Świętej nastąpi odprowadzenie Zmarłej na miejsce wiecznego spoczynku.

O czym zawiadamiają pogrążeni w smutku Mąż Andrzej z Synem, Synową i Wnukami.

Prosimy o nieskładanie kondolencji.

Zamiast kwiatów prosimy o datki na Hospicjum św. Łazarza.
Wolontariusz z hospicjum będzie obecny podczas uroczystości pogrzebowych.

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *Złota 2*

Wrócili na Złotą. Są w oknach, od dominikanów i od frontu.

Na pierwszym piętrze – Poetka, właścicielka domu. Ulicy przygląda się. Dziwi się, ale nie bardzo.

Przed wejściem – bar, stoliki stoją, na bramie złotnik się ogłasza. Nie było ich tutaj. Michalina była na parterze, dozorczyni odwieczna.

Niech będzie i bar, w gruncie rzeczy jest jej wszystko jedno.

Na drugim piętrze – rodzice, mąż, nawet brat, sławny filozof, z Paryża przyjechał.

Na trzecim – nikogo w oknach, ajenta ubezpieczeń nie ma w domu. Żony też nie ma, ani żadnej z córek. (Trzy były. Najmłodsza, najładniejsza z nich, w fokach paradowała i w futrzanym toczku, zdjęcie sobie w tych futrach zrobiła na Krakowskim Przedmieściu. Średnia studiowała we Lwowie obce języki i do domu wpadała tylko na chwilę, a trzecia od razu z Lublina się wyniosła. Ta najstarsza, co córeczkę miała z lekkim zezem).

Pod trzecim, naprzeciwko, pojawił się Poeta. Też w oknie, na fotografii. Chociaż tymi zdjęciami w oknach światło ludziom zasłaniają.

Nie mieszkał tutaj, ale nie mogło go na wystawie zabraknąć.

Wystawa jest z okazji rocznicy.

Kilka było ewentualnych rocznic.

Na przykład chrzest. Dziewiętnastego maja się ochrzciła, a dwudziestego otworzono wystawę. Osiemdziesiąt trzy lata... Niezbyt okrągło jak na jubileusz.

Ukończenie wiekopomnego dzieła przez Emila Meyersona, brata Poetki. Sto piętnaście lat, trochę lepiej.

I osiemdziesiąt... W lipcu? W sierpniu? Nie wiadomo dokładnie. W tym roku, od jej śmierci, dokładnie osiemdziesiąt lat.

Ukończywszy dzieło napisał list. Jego system, pisał, obejmuje całkowitą wiedzę ludzką o świecie zewnętrznym.

Nie jest megalomanem, zapewnił. W książce powinien być odblask wiecznej prawdy – i jest, w jego systemie.

Jakiś czas temu był pewny, że praca jest ukończona. Już korektę robił – i naszły go wątpliwości. Musiał przestudiować pewne rzeczy nieco dokładniej, studia zajęły mu czternaście lat.

Książka ukaże się niebawem.

Przeprasza, że list jest taki długi. Teraz napije się rumianku i pójdzie spać.

Poetka pisała krótsze listy.

Była na cmentarzu.

Próbuje czytać, ale jak kończy książkę, nie pamięta, co było na początku.

Nie śpi po nocach. Krąży po mieszkaniu i rozmawia ze swoim mężem. Którego grób jest na fotografii, zrobiła ją wczoraj, z pewnym trudem.

Wystawa:

Rodzice. Pisarka (miała wpływ na poglądy Elizy Orzeszkowej) i kupiec – społecznik.

Mąż. Lekarz, na pogrzebie było kilka tysięcy osób.

Syn. Legionista i też lekarz. Zaraził się gruźlicą od pacjenta.

Pierwsza synowa. Studentka, umarła po porodzie.

Druga synowa. Aktorka, zastrzeliła się na grobie męża.

Brat. Filozof, Albert Einstein zachwycał się jego pracami.

Józef Czechowicz. Poeta, przyjaciel, młodszy o czterdzieści lat.

Pismo „Izraelita". Nie lubiło chałatów i pejsów. Postępowe było.

Polskość Poetki.

Żydowskość Poetki.

Gorycz Poetki (...Twych pragnień, dążeń, żydowski Narodzie / Nikt widzieć nie chce...).

Jaskółki. Sto sześćdziesiąt ptaków na ścianach, planszach, konstrukcjach, między eksponatami.

Z wierszy przyfrunęły.

Dlatego już ich nie ma na Starym Mieście.

Dlaczego ochrzciła się?

Dlaczego ochrzczona poszła do getta?

Dlaczego wybrała żydowską śmierć, skoro tak wytrwale wybierała polskość?

Prawnuczka nie rozumie i już nie ma kogo spytać.

Urzędniczkę na cmentarzu spytała o grób. Matka matki... tłumaczyła z pewnym zażenowaniem.

Trzeba znaleźć Matejkę, poradziła urzędniczka, i skręcić w lewo.

Znalazła Matejkę. Skręciła. Napisała wiersz:

Serwisy specjalne: patrz szerzej

KRYZYS KLIMATYCZNY

Jak zatrzymać katastrofę

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/KRYZYS-KLIMATYCZNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

...czarny granit
lekko pochylony
Imię i nazwisko
żona lekarza. Żyła lat 26
Zapaliłam świeczkę,
świeciło słońce...
zapaliłam papierosa
i biegłam ścieżkami żeby zdążyć na Pendolino

Dlaczego nie powiedziała o grobie swojej matki? Której nie zdążyła poznać. Która żyła 26 lat...
Nie wiadomo dlaczego i nie ma kogo spytać.

Pisze wiersze, jakich nie napisałaby jej prababka.
Podróżowałam w upale
przez dziurę w płocie
przy bramie z gwiazdą Dawida...
w strachu biegnącym w sercu

Albo:
O, kurna, takiej fuchy jeszcze nie miałem –
powiedział człowiek
na górce pod głogiem
kopiąc grób naszej suce

Znowu Matejko. Na Złotej, na trzecim piętrze, w dawnym mieszkaniu ajenta ubezpieczeń. Nad kanapą, na której zwykł odpoczywać właściciel pracowni.
Przy stołach siedzą jubilerzy i robią ze złota i drogich kamieni rzeczy wykwintne.
W starej maszynie do pisania jest kartka z wierszem Józefa Czechowicza.
Obraz nad kanapą przedstawia Unię Lubelską. Stoi król, klęczy kasztelan, biskup odczytuje przysięgę. Jest krzyż, miecz, złoto i purpura. Jest polskość, do której garnęła się Poetka.
Na lewo od Matejki wisi obraz. Właściciel pracowni zamówił go u malarza-amatora. Na obrazie jest brodaty Żyd, w jarmułce i z pękatą sakiewką.
Żyd, który przynosi szczęście w interesach.
Który przynosił wstyd redaktorom „Izraelity".
Nie jest to ajent ubezpieczeń.
Ajent miał krótko przystrzyżoną brodę i nosił melonik. Czasami nawet cylinder nosił, jak jechał na ślub któregoś z braci.
Najmłodsza córka, ta elegantka, odkręciła z wejściowych drzwi tabliczkę z nazwiskiem. Wyjęła z pojemniczka mezuzę – rulonik z modlitwą i wzięła pudło z cylindrem. Z ręcznym bagażem, który pozwolono zabrać, zeszła na Rynek...
...Czasami tylko zaskrzypi podłoga
to oni przechadzają się powoli
pociągając zmęczonymi nogami
przejdą
cicho sprawdzą
czy drzwi zamknięte
czy nikt nie chory... ©

„Lustra. Franciszka Arnsztajnowa", Muzeum Narodowe w Lublinie, kuratorzy wystawy: Anna Marcińczak i Aleksander Wójtowicz.
Fragmenty wierszy Olgi Stokłosy z tomu „do siebie biec", Kraków 2013.

weź, czytaj!

Do każdej prenumeraty wyjątkowy notes kulinarny w prezencie.

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- **internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- **dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY
PARTNER MARKETINGOWY
SALES manago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Populacja bakterii gronkowca (Staphylococcus epidermidis) pod mikroskopem elektronowym.

WOJNY KLONÓW

PROF. KEVIN FOSTER, BIOLOG:

Bakterie mają znakomite nosy. Są w stanie wykryć sygnały świadczące o tym, że w pobliżu jest wróg lub przyjaciel, i rzucić się do walki lub rozpocząć współpracę.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Bakterie są towarzyskie?

PROF. KEVIN FOSTER: Zależy od definicji. Są społeczne w tym sensie, że każda komórka ma wiele cech wpływających na inne komórki wokół niej. To może być wpływ pozytywny, czyli kooperacja, jak i negatywny – konkurencja.

Wiele bakterii pompuje do środowiska enzymy rozkładające obecne w środowisku cząsteczki, którymi karmią się wszystkie komórki w okolicy. Komórka, która je produkuje, nie jest jedyną, która na tym korzysta. Bakterie mogą więc pracować zespołowo. Ale także walczą. W procesie ewolucji wypracowały zdumiewający arsenał brutalnych systemów uzbrojenia, którymi eliminują konkurencję.

Złożone interakcje nie dziwią nas u organizmów wielokomórkowych, bo mają one wiele możliwości odbierania bodźców ze środowiska, np. układy nerwowe przetwarzające dane. Bakterie muszą się obejść bez nich.

Świat, w którym żyje bakteria, jest dla niej o wiele prostszy niż np. świat ssaka. Nie mają one organów zmysłów w tym samym sensie co my, jednak są w stanie zarejestrować wiele bodźców ze środowiska. Mogą np. wykryć, czy ich komórka jest uszkodzona. To prowadzi nas do pewnego sprytnego zachowania.

Jeden z systemów uzbrojenia, jakimi dysponują, nosi dość nudną nazwę „systemu sekrecji typu VI". To coś w rodzaju zatrutej, molekularnej włóczni, którą jedna komórka wystrzeliwuje w stronę drugiej. Jeśli takim pociskiem zostanie trafiona komórka-klon agresora, to nic się nie stanie, bo komórki tworzące toksyny same są na nie odporne. Ale jeśli trafiona zostanie komórka z innego szczepu, to często prowadzi do jej śmierci. Dlaczego o tym mówię? Bo jedną z zadziwiających umiejętności wielu szczepów bakterii jest wyczuwanie nadchodzących ataków. Nie mają oczywiście oczu, nie widzą zbliżającego się ciosu, ale wykrywają uszkodzenia zewnętrznej warstwy komórki i traktują je jako impuls do zmontowania własnej broni i odpowiedzenia ogniem.

Bakterie mają – mówiąc w przenośni – znakomite nosy. Zewnętrzne warstwy ich komórek pokryte są białkami-receptorami, podobnymi do tych, które pozwalają nam odczuwać smaki czy zapachy. Związki chemiczne wykrywane dzięki tym receptorom mogą być dla komórki sygnałem, że w pobliżu jest konkurent, albo że bakteria jest otoczona swoimi klonami, z którymi można współpracować.

We współpracy między bakteriami nie ma intencyjności, nie ma procesów myślowych, ale jest to, w fundamentalnym sensie, skoordynowana kooperacja, oparta przede wszystkim na tej jednej informacji: czy są otoczone przyjaciółmi, czy wrogami.

Można to chyba porównać do najprostszych algorytmów komputerowych. Bardzo prosty zestaw napływających danych i możliwych reakcji może doprowadzić do niezwykłej złożoności zachowań.

Bakterie rozwiązują problemy na dużo prostsze sposoby niż my. Np. jedną z kluczowych „społecznych" cech bakterii jest coś, co nazywamy „wyczuwaniem kworum". Potrafią wykryć, kiedy w danym środowisku jest ich wiele. Nie robią tego tak jak my, angażując wzrok czy słuch i świadomie licząc. Zamiast tego wydzielają do środowiska bardzo „tanie" cząsteczki. Im więcej komórek, tym większe stężenie tych cząsteczek. I kiedy to stężenie będzie odpowiednio wysokie – co bakteria potrafi wykryć – uruchomi ona rozmaite procesy wewnątrz komórki. To sztuczka wykorzystywana przez wiele patogenów. Np. bakteria *Staphylococcus aureus*, znana jako MRSA, ma szczep odporny na antybiotyki, który lokuje się na naszych kościach i po cichu się namnaża, dopóki nie osiągnie wystarczającej liczebności. Atakuje dopiero wtedy, gdy wykryje, że jest wystarczająco liczny, by obronić się przed naszym systemem odpornościowym. To złożone zachowanie oparte na bardzo prostym mechanizmie.

W organizmach wielokomórkowych mamy do czynienia ze specjalizacją, różne komórki mają różne funkcje. Społeczności bakterii to często genetyczne klony. One też potrafią się specjalizować?

Organizmy wielokomórkowe są zdumiewająco złożone, ale warto pamiętać, że większość naszych komórek, z wyjątkiem niektórych komórek układu odpornościowego, też jest genetycznie identyczna. Mimo to komórki skóry są zupełnie inne niż, dajmy na to, komórki wątroby. Bakterie żyją w grupach klonów, ale w takiej grupie różne komórki wykonują różne funkcje. Przykładem może być powszechna i ważna forma społecznego życia bakterii znana jako biofilm. Bakterie, lokując się na jakiejś powierzchni, często otaczają się rodzajem śluzu. Ma on wiele funkcji – chroni je, nawadnia, pomaga im dusić konkurencję. Ale zazwyczaj jedynie pewien odsetek komórek danej grupy działa jako fabryka śluzu. Pozostałe bakterie mają inne funkcje: rosną, dzielą się, czasami uwalniają zarodniki. Mamy do czynienia z podziałem pracy. To system o wiele prostszy niż w prawdziwym organizmie wielokomórkowym, ale zasada jest ta sama.

Część Pana badań polega na filmowaniu bakteryjnych pól bitew. Z jakich strategii korzystają walczące ze sobą bakterie?

Jedną z najpowszechniejszych jest strategia wzajemności. Siedzisz cicho, jeśli nikt cię nie atakuje, ale jeśli wyczujesz atak, odpowiadasz własnym. To podstawa mechanizmu, o którym wspomniałem – jeśli poczujesz dźgnięcie, to przy pomocy systemu sekrecji typu VI odpłacasz pięknym za nadobne. Ale ten system przybiera wiele innych form. Widzimy bakterie, które posiadają coś, co nazywamy odpowiedziami na stres – rozpoznają, że znalazły się w tarapatach, np. kiedy ich DNA albo białka czy membrany są uszkadzane. Odpowiadają bardzo szybko, np. wydzielając antybiotyki. Fundamentalną strategią jest gwałtowne namnażanie się aż do chwili, kiedy poczujesz, że coś robi ci krzywdę. Starasz się gwałtownie rozwijać i dopiero kiedy pojawia się zagrożenie, inwestujesz energię w produkcję broni.

To trochę przypomina naszą geopolitykę.

Są pewne ważne podobieństwa – mamy dwie populacje, które czasem popadają w konflikty i agresywnie walczą o terytorium. Zasada wzajemności jest fundamentalna w interakcjach między różnymi organizmami. Ale oczywiście nie należy z tego wyciągać jakichś wniosków etycznych czy moralnych.

Kiedy oglądamy przyrodnicze filmy dokumentalne, zazwyczaj skupiają się one na walce. To ekscytujące, ↦

BSIP / GETTY IMAGES

↦ **ale zazwyczaj życie zwierząt tak nie wygląda. Starają się unikać konfliktów, bo każdy jest ryzykowny. Bakterie też wolą być ostrożne?**

Wydają się bardziej agresywne. U zwierząt, kiedy dwa samce walczą o samicę, często najpierw oceniają przeciwnika. Jeśli jeden wygląda na zdecydowanie silniejszego, drugi się wycofuje, a konflikt jest rozwiązywany pokojowo. Bakterie, na ile wiemy, po prostu ruszają do walki. Sądzimy, że to dlatego, iż zazwyczaj walczą w wielkich grupach, w świecie, w którym terytorium ma kluczowe znaczenie. Potrzebują do rozwoju przestrzeni i substancji odżywczych. Gdyby grupa bakterii zdecydowała się rozproszyć i uciec, to prawdopodobieństwo znalezienia innego równie korzystnego miejsca byłoby bardzo niskie.

Najlepszą analogią wśród zwierząt mogą być koralowce czy gąbki. Na rafie koralowej stale otacza cię mnóstwo larw, które starają się gdzieś osiedlić, ale wolnych miejsc jest niewiele. Kiedy znajdą takie miejsce, tworzą duże grupy klonów i prowadzą brutalną wojnę chemiczną z sąsiadami, podobnie jak bakterie. Inną dobrą analogią są owady społeczne. Kolonie mrówek czy roje pszczół są bardzo agresywne. Kiedy masz gniazdo czy ul, który wymaga obrony, nie możesz po prostu uciec i przenieść się gdzie indziej. Wszędzie tam, gdzie stawka jest bardzo wysoka, agresja rośnie.

Jednym z kluczowych elementów wojny są podstępy. Bakterie też się do nich uciekają?

Znamy bakterie, które wysysają z otoczenia cząsteczki sygnałowe służące innym bakteriom do oszacowania własnej liczebności. W efekcie ta druga bakteria nie zna liczby przyjaznych komórek i nie potrafi działać efektywnie.

W jednej z prac wspomina Pan też o bakteriach, które są w stanie prowokować inne gatunki do tego, żeby walczyły ze sobą.

Tak, choć w podsumowaniu tej publikacji stwierdzamy, że w większości przypadków ta taktyka nie działa. Problemem jest to, że kiedy prowokujesz inną bakterię do ataku, zazwyczaj ona zaatakuje ciebie. Ale czasem się zdarza, że bakteria może sprowokować do ataku inny szczep, na którego broń jest odporna, co sprawia, że tamten szczep atakuje konkurencję.

Fundamentalną strategią bakterii jest gwałtowne namnażanie się aż do chwili, kiedy poczujesz, że coś robi ci krzywdę. Dopiero wtedy inwestujesz energię w produkcję broni.

Może dość o wojnie – skupmy się na pokoju. Na czym polega międzygatunkowa współpraca u bakterii?

Dobrze zacząć od analogii w skali makro. Pięknego przykładu kooperacji międzygatunkowej dostarczają rośliny i zapylacze. Mogą one współpracować z tego powodu, że mają sobie nawzajem coś do zaoferowania. Rośliny dają nektar, który produkują tanio dzięki fotosyntezie, a zapylacze potrafią latać, co wykracza daleko poza możliwości typowej rośliny. Więc to dobry układ.

Rośliny i zapylacze nie mają pokrywających się potrzeb. Nie konkurują o żadne zasoby ani o przestrzeń. Tymczasem dwa szczepy bakterii żyjące w tym samym środowisku zwykle potrzebują zbliżonych substancji odżywczych. Ogranicza je dostępność żelaza i innych minerałów. Więc jeśli pomożesz innej bakterii rosnąć, rośnie też prawdopodobieństwo, że ona ukradnie ci cenne żelazo.

Są jednak przypadki, kiedy jeden gatunek może zrobić coś, czego nie potrafi inny. I tu spotykamy się z kooperacją. Nie znamy jeszcze zbyt wielu takich przypadków – trudno udowodnić, że taki proces zachodzi, bo rozgrywa się on na skali chemii i metabolizmu. Ale kilka lat temu badałem występujące w naszych jelitach bakterie z dużej grupy *Bacteroides*. Rozkładają one błonnik i złożone węglowodany z naszego pożywienia, co dostarcza składników odżywczych nam samym. Odkryliśmy, że jeden z gatunków, *Bacteroides ovatus*, produkuje enzymy rozkładające złożone węglowodany na substancje, których sam nie je. Wydaje się, że karmi inne bakterie, które w zamian pomagają jemu. Nie wiemy jednak, na czym polega ta pomoc zwrotna. Wiemy, że jedna bakteria karmi drugą, wiemy, że obecność tej drugiej pomaga we wzroście pierwszej, ale nie znamy dokładnego mechanizmu. Ten przykład nas zaskoczył, bo jest zdumiewająco podobny do związku roślin i zapylaczy.

Na pewno odkryjemy więcej przykładów współpracy między bakteriami. Np. bakterie prowadzące fotosyntezę mogą karmić inne związkami węgla i dostawać coś w zamian. Zawsze, kiedy masz nadmiar zasobu, którego pozyskanie jest dla ciebie tanie, możesz potencjalnie wymienić się z kimś innym.

Fascynujące jest to, jak takie badania zmieniają nasz sposób postrzegania mikroorganizmów. Są podstawą życia na Ziemi, ale w sumie wciąż są dla nas zupełnie obce.

Dokumentowanie zachowania bakterii wymaga o wiele większej pracy niż np. obserwowanie przez okno, jak walczą dwa ptaki. Interakcje bakterii są zazwyczaj oparte na reakcjach chemicznych, trzeba więc czasu i technologii, żeby zbadać to, co nazywam bakteryjną historią naturalną.

Więcej wiemy o ich genach. Rewolucja, jaka zaszła w sekwencjonowaniu genów, oznacza, że możemy wziąć próbkę gleby, odchodów czy czegokolwiek innego i skatalogować genomy wszystkich bakterii, które się w niej znajdą. Ale to mówi nam tylko o tym, kto w takiej próbce jest. To tak, jakbyśmy zmielili na proszek kawałek lasu i sekwencjonowali taką próbkę. Nie dowiedzielibyśmy się z niej, czy dwa gatunki ptaków walczą, czy wspólnie gniazdują, nie wiedzielibyśmy nic o relacjach roślin i zapylaczy. To jest nasz fundamentalny problem. Możemy zidentyfikować gatunki bakterii w danym ekosystemie, ale sprawdzenie tego, jak wyglądają ich interakcje, jest o wiele, wiele trudniejsze.

Jakie są „znane niewiadome" i jakie mogą być „nieznane niewiadome", jeśli idzie o naszą wiedzę o ich świecie?

Zaczynamy rozumieć, jak wyglądają interakcje bakterii, ale wyzwaniem jest teraz rozwinięcie skali i spojrzenie na całe ich wspólnoty. Jedną z najintensywniej badanych wspólnot jest mikrobiota jelitowa. Te bakterie rozkładają żywność na elementy składowe i chronią nas przed patogenami. Są tam setki gatunków i każdy z nich ma dziesiątki

cech, za pomocą których może wpływać na inne. To oszałamiająca sieć interakcji. Pytanie brzmi: jak sobie z tym poradzić? Jak możemy przejść od zrozumienia konkretnych cech konkretnych bakterii do zrozumienia całego systemu? Musimy znaleźć sposoby na rozbicie tej złożoności na elementy. Prawdopodobnie jedne gatunki są ważniejsze od innych. Prawdopodobnie jedne interakcje są ważniejsze od innych. Możemy zapewne zacząć budować modele sieci, aby zrozumieć te interakcje i zacząć przewidywać ich zachowanie. Stawka jest wysoka, bo te wspólnoty bakterii mają ogromny wpływ na nasze zdrowie, a na dziś nie dysponujemy dobrymi metodami przewidywania ich zachowań czy manipulacji nimi.

Więc, żeby posłużyć się analogią do zoologii, przechodzimy od badania wypchanych lwów i zebr do prób zrozumienia, jak działa cały ekosystem.

Tak, tak sądzę. W makroekologii próbujemy to robić od dawna. Ale w przypadku bakterii chyba mamy większą szansę na zrozumienie działania całego systemu, bo choć jest bardzo złożony, to możemy badać go w laboratorium, manipulować nim, prowadzić powtarzalne eksperymenty, których nie da się przeprowadzić na sawannie czy w lesie deszczowym. Mam więc nadzieję, że nie tylko wykorzystamy ekologię do zrozumienia mikrobiomu, ale że wykorzystamy mikrobiomy do lepszego zrozumienia fundamentów ekologii, zasad zachowania systemów.

Mikrobiota jelitowa to jeden z obszarów, w których potencjał Pana badań wydaje się największy. Jak te badania mogą pomóc nam pogłębić zrozumienie naszych własnych ciał?

Mamy nadzieję, że na wiele sposobów. Najprostszym z nich jest ochrona przed chorobami. Wiele patogenów, żeby wywołać chorobę, musi najpierw przejść przez naszą florę bakteryjną w jelitach. Oznacza to, że muszą rywalizować z korzystnymi dla nas symbiontami. Jeśli zrozumiemy zasady odpowiadające za to, czy bakteriom udaje się skolonizować dany obszar i prosperować, możemy pomóc dobrym bakteriom rywalizować z patogenami.

UNIVERSITY OF OXFORD

PROF. KEVIN FOSTER pracuje na Wydziale Zoologii Uniwersytetu Oksfordzkiego. Zajmuje się badaniami społecznych interakcji różnych gatunków bakterii oraz wpływu mikrobioty jelitowej na organizmy ssaków.

Załóżmy, że w naszych jelitach znajdzie się chorobotwórcza bakteria. Posługując się zasadami ekologii, staramy się zrozumieć, co byłoby idealnym rywalem dla takiego szczepu. W jaki sposób usunąć go, posługując się innymi bakteriami. Zamiast sięgać po antybiotyki, które, jak wiemy, mają wiele ograniczeń i zabijają wszystko, możemy wszczepić do jelit niegroźny szczep bakterii, który będzie rywalizował z patogenem i usunie go. W tym celu musimy wykorzystać całą naszą wiedzę o bakteryjnej rywalizacji, ekologii i ewolucji. Zbliżamy się do tego celu, robimy to w probówkach, ale wykorzystanie takiej terapii u żywych ludzi wymaga jeszcze dalszej pracy.

Bakterie stanowią też podstawę wszystkich ekosystemów na Ziemi. Czy możemy wykorzystać lepsze zrozumienie mikroskopijnych ekosystemów do ich ochrony w skali makro? Do walki ze zmianami klimatu?

Do pewnego stopnia tak. Choćby w wychwytywaniu i wiązaniu związków węgla z atmosfery. Znaczna część związków węgla jest magazynowana przez bakterie, które przeobrażają je w trudne do rozłożenia produkty. Zrozumienie metabolizmu bakterii może nam pomóc zwiększyć możliwości sekwestracji dwutlenku węgla.

Ale to niejedyny mechanizm, w którym taka wiedza jest przydatna. W przyszłości będziemy mieli coraz większe problemy z produkcją żywności, a rolnictwo w ogromnym stopniu polega na interakcjach między roślinami a mikrobami. Jeśli uda się nam zapewnić, żeby w glebie, w której zakorzenione są rośliny, mieszkały też właściwe mikroorganizmy, możemy sprawić, że te rośliny staną się odporniejsze na zmiany klimatu.

Rolnictwo i przemysł też mogą wykorzystać te badania.

Krowy w pełni zależą od swoich symbiotycznych bakterii, które rozkładają ich żywność. Rośliny mają duże populacje bakterii wokół korzeni. To bardzo złożone społeczności bakteryjne i na razie słabo radzimy sobie z ich inżynierią. Niektórzy starają się rozpylać korzystne bakterie na polach. Branża mięsna nauczyła się wpływać na mikrobiotę jelitową krów za pomocą paszy. Ale nasza zdolność do manipulowania tymi systemami jest bardzo ograniczona.

Podobnie w przemyśle. Utrzymanie sprawności przemysłowych bioreaktorów jest bardzo trudne. Doskonałym przykładem jest oczyszczanie ścieków – stosuje się do tego złożone bioreaktory, w których brudna woda przechodzi przez wspólnoty bakteryjne, ale tak naprawdę wciąż nie wiemy, w jaki sposób te bakterie reagują na siebie nawzajem.

Wydaje mi się, że myśląc o bakteriach, często popełniamy coś w rodzaju wielokomórkowego szowinizmu: uważamy, że skoro my sami mamy tak złożone organizmy i jesteśmy otoczeni równie złożonymi istotami, to te małe, jednokomórkowe istoty są jedynie reliktem początków życia na Ziemi, tylko jedzą i się mnożą. Jak błędne jest takie podejście?

W świecie bakterii nie ma niczego przypominającego złożoność organizmu wielokomórkowego, mózgu, układu nerwowego czy neuronów. Ale niesamowite jest w nich to, że potrafią osiągać złożone cele na o wiele prostsze sposoby. Nie powinniśmy bagatelizować ich umiejętności. Robią wiele, posiadając niewiele. To powinno trochę ograniczyć nasz szowinizm.

© Rozmawiał WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Dwanaście szczepów

ŁUKASZ KWIATEK

Prowadzony od 34 lat eksperyment szuka odpowiedzi na fundamentalne pytania biologii ewolucyjnej.

75 TYS. POKOLEŃ TEMU NASI PRZODkowie mieli mózgi mniejsze o 30-40 proc. od naszych, większe zęby, osadzone w bardziej masywnych szczękach, mniejsze czoła i cofnięty podbródek. Czasem polowali, częściej żywili się padliną. Nic nie wiemy o tym, by grzebali zmarłych. Część z nich dopiero co opuściła Afrykę i dotarła na Bliski Wschód.

Z punktu widzenia biologicznej ewolucji człowieka 75 tys. pokoleń – z grubsza 1,5 mln lat – to całkiem sporo, zwłaszcza że zmieniał się klimat, a człowiek zasiedlał nowe środowiska. W przypadku pałeczki okrężnicy (*Escherichia coli*) 75 tys. pokoleń to zaledwie 34 lata. Ale w takim czasie ta bakteria również może się zmienić, nawet jeśli zapewni się jej idealnie stabilne środowisko. Jak bardzo poważne mogą być te zmiany? To pytanie stawiał sobie Richard Lenski, gdy w 1988 r. rozpoczynał na Uniwersytecie Stanu Michigan projekt znany dziś jako Długi Eksperyment Ewolucyjny. Niedawno pałeczkę przejął po nim były asystent Lenskiego, Jeffrey Barrick z Uniwersytetu Teksasu w Austin.

Schemat eksperymentu jest prosty – właśnie prostota ma dostarczyć odpowiedzi na fundamentalne pytania. W 12 szklanych naczyniach hodowanych jest 12 szczepów *E. coli*, pochodzących z tej samej, pierwotnej populacji zapoczątkowanej w 1988 r. Każdego dnia naukowcy do 12 identycznych naczyń nalewają roztwór cukru i kwasu cytrynowego i przenoszą do nich 1 proc. populacji bakterii wyhodowanych poprzedniego dnia. Z dostępem do pożywienia bakterie szybko rosną i się mnożą (zawsze przez podział komórki, produkując własne klony) – stukrotnie zwiększają liczebność w ciągu niespełna siedmiu pokoleń. Po kilku godzinach dostępne zasoby są na wyczerpaniu, a liczebność populacji się stabilizuje. Następnego dnia wszystko się powtarza – 1 proc. wyhodowanych bakterii przenosi się do nowych naczyń. Raz na 75 dni (co 500 pokoleń) próbki każdego ze szczepów trafiają do zamrażarki.

Naukowcy nie mają zbyt dużo pracy – w rozmowie z „Nature" Lenski przyznał, że cała procedura zajmuje dziennie pół godziny jednej osobie. A jeśli coś pójdzie nie tak, zawsze można wrócić do zamrożonych kopii zapasowych, ożywić bakterie i wznowić eksperyment, zaczynając od wybranego pokolenia.

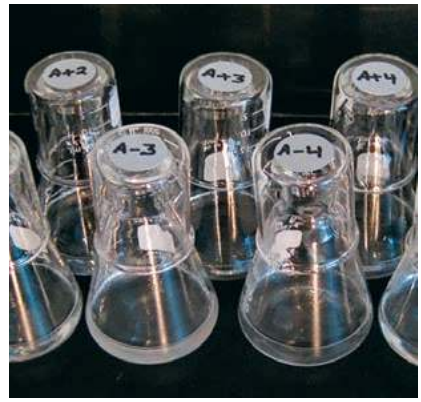

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Szczepy bakterii E. coli biorące udział w Długim Eksperymencie Ewolucyjnym. W tym oznaczonym A-3 wyewoluowała zdolność do trawienia kwasu cytrynowego.

Same bakterie też żyją raczej bezstresowo – mają swobodny dostęp do tlenu, roztwory trzymane są w przyjemnej temperaturze 37 stopni (nieprzypadkowo jak w ludzkim ciele – w jelitach każdego z nas żyje miliard bakterii *E. coli*), nie grożą im żadne wirusy, drapieżniki czy wrogie szczepy.

Mimo to podlegają naturalnej selekcji. Po 75 tys. pokoleń bakterie potrafią rosnąć i kopiować się ok. 70-80 proc. szybciej od pierwotnej populacji z 1988 r. Lenski przypuszczał, że każdy z 12 założonych wtedy szczepów pójdzie w swoją stronę – przypadkowe mutacje, pojawiające się podczas rozmnażania się bakterii, sprawią, że między populacjami wyewoluują spore różnice. Gdy idzie o szybkość rozmnażania się, to tak się nie stało – kolejne szczepy różnią się co najwyżej o kilka procent. Wygląda na to, że tempo kopiowania się bakterii – a więc także ich dostosowanie, fundamentalny parametr darwinowskiej ewolucji – stale rośnie.

Po 30 tys. pokoleń nastąpiła spektakularna zmiana – w jednym ze szczepów wyewoluowała zdolność do trawienia kwasu cytrynowego. Wszystkie pozostałe do dzisiaj odżywiają się wyłącznie glukozą, ten jeden zyskał dostęp do dodatkowego pożywienia.

Aby sprawdzić, jak do tego doszło, badacze sięgali po próbki przechowywane w zamrażarkach. Sprawdzali, jak często w tej samej linii ewolucyjnej pojawi się ta sama adaptacja, gdy eksperyment „cofnie się" o określoną liczbę pokoleń. Okazuje się, że jeśli będzie to 20 tys. pokoleń, to szczep na ogół wyewoluuje zdolność do trawienia kwasu cytrynowego. Jeśli ponad 20 tys. pokoleń – najczęściej nie. To wtedy musiały się więc pojawić mutacje i cechy niezbędne do tego, by w przyszłości wyewoluowała u bakterii zdolność do przyjmowania nowego rodzaju pokarmu.

Bakterie żyjące w stabilnych środowiskach na ogół w długim czasie skracają swoje genomy – upraszczanie programu genetycznego najwyraźniej sprawia, że łatwiej się on kopiuje. W Długim Eksperymencie Ewolucyjnym tego efektu jeszcze nie widać.

W ciągu 34 lat powstało wiele eksperymentów pobocznych. W jednym z ostatnich Lenski sprawdzał, czy większe znaczenie dla tempa ewolucji nowych cech mają mutacje genetyczne pojawiające się w kolejnych pokoleniach, czy raczej zróżnicowanie genetyczne pierwotnej populacji. W badaniu uczestniczyło kilkanaście nowych grup bakterii – od najbardziej jednorodnych genetycznie po różne mieszanki zaczerpnięte z 12 szczepów Długiego Eksperymentu Ewolucyjnego. Sprawdzano, jak będą sobie radzić, gdy będą musiały konkurować o zasoby z innymi szczepami. Po 2 tys. pokoleń nie zaobserwowano wielkich różnic w radzeniu sobie z nowymi wyzwaniami – co sugeruje, że większe znaczenie w ewolucji mają narastające mutacje.

Ale nawet u bakterii wielkie zmiany ewolucyjne wymagają milionów lat. Żeby znaleźć odpowiedzi na wiele kolejnych pytań, potrzebujemy następnych 75 tys. pokoleń...badaczy kontynuujących projekt. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 27/2022

FESTIWAL OTWARCIA W ZAMKU KRÓLEWSKIM NA WAWELU

Trzykrotnie większy Skarbiec

ANDRZEJ BETLEJ, DYREKTOR ZAMKU KRÓLEWSKIEGO NA WAWELU:

To opowieść nie tylko o historii Skarbca Koronnego, ale też całej Rzeczypospolitej – nowoczesna ekspozycja najstarszych zabytków, a także dzieł, które dotąd nie były wystarczająco wyeksponowane.

GRZEGORZ NUREK: Gratuluję dwóch ostatnich wystaw; rzeźby Bronisława Chromego znakomicie prezentują się w ogrodach wawelskich, a przy pastelu Wyczółkowskiego „Góralka/Wiejska dziewczyna w żółtej chuście" można spędzić godziny.

ANDRZEJ BETLEJ: Wystawa rzeźb Bronisława Chromego jest drugą z cyklu wawelskich wystaw plenerowych. Pierwszą była wystawa prac Józefa Wilkonia, zatytułowana „Zwierzyniec Królewski. Wilkoń na Wawelu". Teraz dzięki wystawie „Smoczy ogród. Bronisław Chromy na Wawelu" mamy więc niejako Zwierzyniec Królewski 2.0, bardzo krakowską wystawę. Zależało nam na tym, aby dzieła wyjątkowego i wybitnego artysty trafiły na Wzgórze Wawelskie – właśnie do Ogrodów Królewskich, których stanowią doskonałe uzupełnienie. To wspaniałe, że możemy w nich oglądać prace twórcy pomnika Smoka Wawelskiego, ikony Krakowa.

Jeżeli zaś chodzi o wystawę prac Wyczółkowskiego, to nie jest ona wielka, prezentujemy zaledwie kilkanaście pasteli. A co ciekawe, tytułowa „góralka" nie jest prawdziwą góralką, lecz krakowianką, a właściwie bronowiczanką. 30 czerwca obok tego pastelu zawiśnie jeszcze jedno dzieło malarza. Otóż Leon Wyczółkowski namalował tę samą dziewczynę w tym samym stroju, tylko w innej pozie. Jest to także pastel, zatytułowany „Krakowianka", który znajduje się w zbiorach Muzeum Ziemi Kujawskiej i Dobrzyńskiej we Włocławku. Postanowiliśmy ten pastel wypożyczyć, aby towarzyszył prezentacji naszego obrazu, odzyskanego po ponad 75 latach. Z dyrekcją włocławskiego muzeum umówiliśmy się, że w ramach rewanżu w przyszłym roku ta nasza niewielka ekspozycja trafi właśnie do Włocławka. A wystawę „Wyczółkowski odnaleziony" można jeszcze oglądać na Wawelu do 18 sierpnia. Zapraszamy.

THE NATIONAL GALLERY, LONDON

Paolo Uccello „Święty Jerzy i smok", olej na płótnie, ok. 1470 r.

Spotykamy się na kilka dni przed otwarciem Nowego Skarbca Koronnego. To najważniejsza w tym roku ekspozycja na Wawelu. Jest Pan zadowolony z efektu końcowego tych wielomiesięcznych starań?

Prace nad otwarciem Nowego Skarbca Koronnego trwały jedenaście miesięcy. To uświadamia ogrom wysiłku, który wszyscy włożyli, aby „festiwal otwarcia" 30 czerwca stał się faktem. Tak, ekspozycja Skarbca jest zgodna z projektami oraz wizualizacjami i spełnia moje oczekiwania. Mamy do czynienia z przestrzenią dotychczas publiczności nieznaną, w której nigdy wcześniej nie organizowano wystaw. W tych pomieszczeniach znajdowały się magazyny Archiwum Narodowego.

Będzie to ekspozycja całkowicie odmienna od tego, do czego byliśmy przyzwyczajeni na Wzgórzu Wawelskim. To będzie nowoczesna prezentacja najstarszych pomnikowych zabytków, w tym np. Szczerbca, ale także dzieł, które dotychczas nie były wystarczająco wyeksponowane, jak również pamiątek historycznych nigdy wcześniej niepokazywanych publicznie.

Poza tym nie będzie to wyłącznie prezentacja obiektów – pięknie podświetlonych, wydobywanych z cienia i ukazanych za pomocą najnowocześniejszych rozwiązań sztuki ekspozycyjnej... Ta wystawa ma swoją opowieść – opowieść nie tylko o historii i funkcji Skarbca Koronnego, ale też o dziejach Rzeczypospolitej. W Skarbcu znajdą się więc nie tylko obiekty rzemiosła artystycznego, np. wyroby złotnicze, ale też tkaniny, różne trofea, militaria, dzieła malarstwa. Rzeczywiście będzie to wystawa kompletna. Co więcej, znajdą się na niej przestrzenie edukacyjne, pojawią się specjalnie zaprojektowane infografiki, udogodnienia dla osób z niepełnosprawnością wzroku oraz dla osób z niepełnosprawnością ruchu.

Początkiem kreacji nowego Skarbca była wymiana gablot w tzw. Sali Kazimierzowskiej w 2019 r., ale to właśnie nowe sale uświadomią nam skalę zmian. Teraz

Skarbiec pod względem powierzchni wystawienniczej będzie trzykrotnie większy, znalazły się tam zresztą specjalnie zaprojektowane ekspozytory, niektóre o powierzchni sporego mieszkania! Mam nadzieję, że Skarbiec sprawi radość i zyska uznanie wśród odwiedzających go gości.

Czy jakiś skarb Pana szczególnie zachwycił? Wiele z nich od lat nie było eksponowanych, wiele przeszło konserwację, na Wawel trafiły też nowe.

Na dzieła sztuki złotniczej wydaliśmy w ostatnich dwóch latach ponad pięć milionów złotych. Do Skarbca trafią nasze nowe nabytki. Pojawiły się także wyjątkowe depozyty. Dzięki uprzejmości włodarzy katedry krakowskiej możemy zaprezentować berło królewskie z początku XVII stulecia. Będą pokazywane obiekty, które nie były eksponowane w Skarbcu od dawna, od lat 80. XX w. Po długim okresie konserwacji udało się przywrócić do stanu użyteczności i świetności najstarsze chorągwie. Dobiega końca proces odczyszczania płaszcza królewskiego Jana III Sobieskiego. Motyw języka ognia pojawiający się na tym płaszczu będzie zresztą towarzyszył oprawie graficznej Skarbca. Po raz pierwszy będzie można oglądnąć to wyjątkowe dzieło dokładnie. A płaszcz będzie można obejść dookoła, by móc przyjrzeć się mu szczegółowo.

Jak będzie wyglądał „festiwal otwarcia"? Bo składa się na niego nie tylko Skarbiec, ale i nowe odsłony Prywatnych Apartamentów i Reprezentacyjnych Komnat Królewskich oraz wystawa Arcydzieł z kolekcji Lanckorońskich.

30 czerwca wieczorem nastąpi uroczyste otwarcie Skarbca. Uroczystości na dziedzińcu będzie towarzyszyć widowisko multimedialne. Potem będzie można zobaczyć na nowo zaaranżowany gabinet włoski z obrazami z kolekcji Lanckorońskich – kompletnie inne, pełne atmosfery i klimatu wnętrze, ozdobione arcydziełami malarstwa renesansowego. W Zamku będzie 30 proc. obiektów więcej niż przed rokiem 2020, a dosłownie parę dni temu powiesiliśmy kolejny ważny nabytek w naszej kolekcji – pejzaż Jana van Goyena. W sali obok pokażemy natomiast arcydzieła z kolekcji Lanckorońskich, które znajdują się obecnie w najważniejszych kolekcjach zagranicznych.

DARIUSZ BŁAŻEWSKI / ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Kubek w kształcie sowy, Niemcy (?), ok. 1600 r.

30 czerwca rano powiesimy dzieło sprowadzone z londyńskiej National Gallery – obraz Paola Uccella „Święty Jerzy i smok", namalowany na płótnie, co w przypadku tego legendarnego artysty jest wielką rzadkością. A obok niego „Portret kobiety" pędzla naśladowcy Bartholomäusa Bruyna starszego, wypożyczony z Ackland Art Museum w Chapel Hill, jak również „Towarzystwo w parku" Barenda Graata, obraz sprowadzony na tę wyjątkową wystawę z Rijksmuseum w Amsterdamie.

Widział Pan już w Warszawie albo jeszcze w Nowym Jorku „Jeźdźca polskiego" Rembrandta?

Widziałem w Łazienkach Królewskich w Warszawie, a wcześniej w Stanach Zjednoczonych. Bardzo się cieszę, że ten obraz będzie można obejrzeć na Wawelu, i to z dwóch powodów. Pokażemy go całkiem inaczej, niż jest prezentowany we Frick Collection i Łazienkach Królewskich. W Warszawie jest eksponowany w swoim historycznym kontekście. Natomiast na Wawelu przygotujemy specjalną scenografię.

Po drugie, ten obraz ma pewien związek z Zamkiem Królewskim na Wawelu. Sprzedaż obrazu była mocno dyskutowana w tamtym czasie, a wiele osób było jej przeciwnych. Należy jednak pamiętać, że rodzina Tarnowskich z Dzikowa, sprzedając obraz w 1911 r., uzyskane z transakcji pieniądze przeznaczyła na wykup ziemi od Austriaków, a część funduszy trafiła także na Wawel. Otóż Tarnowscy byli benefaktorami odbudowy Zamku Królewskiego na Wawelu, co upamiętniają „ich" cegiełki na murze przy Bramie Herbowej. Pokaz „Jeźdźca polskiego" w Polsce jest dużym wydarzeniem, spełnieniem marzeń wielu pokoleń muzealników.

Chcę zapytać o plany na ten rok i początek kolejnego. Ostatnio wspominał Pan o planowanej wystawie rysunków Jacka Malczewskiego.

Nadal mamy ją w planie, a czy ją zrealizujemy, zależy od naszych możliwości organizacyjnych. Wystawa „Jeźdźca polskiego" skończy się w październiku i być może jesienią pokażemy rysunki Malczewskiego. Mamy zresztą także inne wyzwania. Pracujemy nad ponownym udostępnieniem „Sztuki Wschodu" i namiotów – orientaliów z pewnymi zmianami scenograficznymi ekspozycji. Musimy mieć też czas, aby przygotować się do wystawy prac Jakuba Mertensa i malarstwa flamandzkiego. Chcemy, aby osią ekspozycji było wyjątkowe dzieło, jakim jest obraz „Zwiastowanie" z kościoła Mariackiego. Myślę, że pokusimy się o rekonstrukcję całego ołtarza. Ale ta wystawa będzie miała miejsce raczej już z początkiem 2023 r. © Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

ANNA STANKIEWICZ / / ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

DR HAB. ANDRZEJ BETLEJ, profesor UJ, jest historykiem sztuki. W latach 2012-16 dyrektor Instytutu Historii Sztuki UJ, a w latach 2016-19 dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie; za jego kadencji został m.in. ukończony remont konserwatorski i otwarta nowa ekspozycja Muzeum Czartoryskich. Od stycznia 2020 r. dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu, od listopada 2020 r. wiceprzewodniczący Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa.

Tyle widzisz, ile wiesz

DARIUSZ NOWACKI:

Znajdą się w Skarbcu przedmioty znane widzom i takie, które nie były eksponowane od lat, jak proporzec króla Szwecji Karola Gustawa zdobyty przez wojska Stefana Czarnieckiego.

GRZEGORZ NUREK: 30 czerwca otwarcie nowego Skarbca Koronnego na Wawelu. Czym nas zachwyci?

DARIUSZ NOWACKI: Zachwyci, ale i zaskoczy. Jako Muzeum jesteśmy powołani do opowiadania historii. Stara zasada mówi: tyle widzisz, ile wiesz. Posiadamy w swoich zbiorach kosztowności i pamiątki historyczne związane przede wszystkim z Rzeczpospolitą Obojga Narodów, ale nie tylko. Także przedmioty ważne dla innych nacji. Na przykład miecz, który Władysław Zygmunt Waza jeszcze jako królewicz ofiarował Michałowi Konaszewiczowi-Sahajdacznemu, przywódcy Kozaków, walczącemu z Turkami po stronie Rzeczypospolitej. To jeden z najcenniejszych zabytków świadczących o dążeniu Ukraińców do samostanowienia. Tego rodzaju pamiątek z XVII w., działających na emocje i wyobraźnię Ukraińców, właściwie nie ma, jeśli nie liczyć chorągwi kozackich w sztokholmskim Armemuseum.

Szczycimy się na Wawelu zbiorem cennych przedmiotów, które potrzebują odpowiedniego komentarza, opowieści, aby wydobyć z nich walory warte podkreślenia i ukryte piękno. Ich ranga niejednokrotnie mogłaby konkurować z ważnymi eksponatami muzeów w Paryżu, Nowym Jorku czy Londynie. Czasami posiadamy dzieła sztuki stanowiące parę z eksponatami najważniejszych muzeów świata.

Opowiadamy jednak przede wszystkim dzieje Polski, odwołując się do historycznego Skarbca Koronnego, który był instytucją powołaną do przechowywania widomych znaków suwerenności Królestwa Polskiego, a później Rzeczypospolitej, czyli insygniów i klejnotów koronnych. Pierwsza z dwunastu sal nowego Skarbca na Wawelu będzie zatytułowana „Znaki państwowe". Tu znajdzie się zbiór staropolskich chorągwi, w tym najstarsza i największa z zachowanych, namalowana na ślub Zygmunta Augusta z Katarzyną Habsburżanką. Na tej samej uroczystości premierę miały słynne arrasy.

Emocjonalny stosunek mam do chorągwi miasta Gdańska z przełomu wieków XVII i XVIII, jedynego tego rodzaju zabytku z okresu staropolskiego. Jego walory pozwalają wyobrazić sobie, czym była wtedy ta nadbałtycka metropolia. O aspiracjach mieszkańców Gdańska świadczą także paradne srebra, złote numizmaty, plakiety z kości słoniowej.

Christoph Erhart, Figura lwa, Augsburg, ok. 1600 r.

DARIUSZ BŁAŻEWSKI / ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Nigdzie poza Gdańskiem nie ma tak doborowej kolekcji dzieł z okresu największego rozkwitu nadmotławskiej metropolii w czasach nowożytnych.

Wśród *gedanianów* wspomniałbym jeszcze srebrną kasetę z początku wieku XVIII, z ażurową wewnętrzną przegrodą z dwugłowym carskim orłem. To okazałe srebro było przeznaczone dla jakiegoś carskiego rezydenta, mówiąc językiem współczesnym „agenta wpływu", który przesiadywał w Gdańsku za czasów Piotra Wielkiego.

Jakie odkrycia, pamiątki i nabytki najbardziej Pana zaskoczyły i ucieszyły w trakcie tej półrocznej przebudowy ekspozycji?

Chorągiew nadworna z czasów Zygmunta Augusta nie była pokazywana przez ostatnie 22 lata. Była w na tyle niestabilnym stanie konserwatorskim, że wydawało się, iż pomimo swoich wielkich walorów jest skazana na magazyn. W okresie międzywojennym w Skarbcu zwisała ze sklepienia ponad Szczerbcem, najważniejszą narodową pamiątką. W nowym Skarbcu każdy z tych zabytków będzie miał odrębną, bezpieczną dla nich gablotę.

Co jeszcze zobaczymy?

Kilkaset przedmiotów: paradne militaria świadczące o chwale oręża polskiego, zwłaszcza w wiekach XVI i XVII, naczynia toastowe, klejnoty i wiele różnorodnych pamiątek o niezwykłej urodzie. Wykonawca jednej z gablot żartował, że od lat był właścicielem mieszkania o mniejszych gabarytach niż przygotowywana teraz przez niego gablota na końskie rzędy. Zobaczymy trofea z odsieczy wiedeńskiej, najcenniejsze pamiątki po słynnych magnackich rodzinach, dla których Wawel stał się bezpieczną przystanią.

Nawet jeśli ktoś bardzo dobrze znał dotychczasowy Skarbiec, to wszystkie kosztowności prezentujemy w nowym świetle i odmiennej aranżacji. W miejsce czterech pomieszczeń zapraszamy teraz do dwunastu. To zarówno ilościowa, jak i jakościowa różnica. Obok przedmiotów znanych widzom wiele jest jednak takich, które nie były eksponowane przez lata, jak np. proporzec króla Szwecji Karola Gustawa zdobyty przez wojska Stefana Czarnieckiego w bitwie pod Rudnikiem. O tej potyczce wspomniał w „Potopie" Henryk Sienkiewicz.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

DARIUSZ NOWACKI jest kustoszem, kuratorem zbiorów złotnictwa w Zamku Królewskim na Wawelu, twórcą koncepcji i scenariusza ekspozycji Nowego Skarbca Koronnego.

Święty Jerzy i smok

JOANNA WINIEWICZ-WOLSKA:

Na obrazie Paola Uccella smukła elegancka księżniczka zarzuca swój pasek na szyję smoka, by zaprowadzić go do miasta jak oswojonego pieska, na smyczy.

GRZEGORZ NUREK: Jak obrazy z kolekcji Lanckorońskich trafiły z Wiednia na Wawel?

JOANNA WINIEWICZ-WOLSKA: Obrazy z dawnych zbiorów Karola Lanckorońskiego znalazły się na Wawelu w 1994 r. Karolina Lanckorońska myślała o ich podarowaniu dużo wcześniej, bo już w latach 70. XX w. Jej warunkiem było, aby kolekcja trafiła do Polski wolnej i niepodległej. Wiem od prof. Lecha Kalinowskiego, że decyzja zapadła w momencie, gdy ostatni radzieccy żołnierze opuścili Polskę. Karolina Lanckorońska uznała ten fakt za symboliczny koniec okupacji ojczyzny. Decyzja nie przyszła jej łatwo. Namawiali ją do tego prof. Kalinowski i Jan Badeni. Kiedy już się zdecydowała, miała 96 lat.

Jak bogata to kolekcja?

Mamy 87 obrazów, głównie malarstwo włoskie z wieków XV i XVI, kilka malowideł hiszpańskich. Są też słynne rysunki i akwarele Jacka Malczewskiego z wyprawy z Karolem Lanckorońskim na Bliski Wschód. Dzieła starożytne i słynny obraz Dossa Dossiego „Jowisz malujący motyle" trafiły na Wawel później, w 2000 r. Odzyskano je na drodze sądowej od rządu austriackiego. Gdy w 1948 r. Antoni Lanckoroński, dysponujący rodzinnym zbiorem dzieł sztuki w imieniu sióstr, rozpoczął starania o zezwolenie na wywiezienie rodzinnej kolekcji z Austrii, władze, po długich pertraktacjach, wydały je, ale pod warunkiem darowizny najcenniejszych dzieł na rzecz Kunsthistorisches Museum w Wiedniu, darowizny wymuszonej, a nie dobrowolnej. Antoni Lanckoroński nie chciał się zgodzić na odstąpienie Austrii kolekcji obrazów wczesnego malarstwa włoskiego i znacznego zbioru antyków. Przedmiotem ostatniej fazy negocjacji, trwającej blisko dwa lata, był obraz Dossa, kilka dzieł ceramiki starożytnej oraz bizantyńska gemma. Obraz Dossiego i wspomniane dzieła Karolina Lanckorońska odzyskała dopiero w 2000 r. Wszystkie podarowała Wawelowi. Odwiedzający Wawel historycy sztuki z innych krajów nie wierzyli, że to naprawdę ten słynny „Jowisz" Dossa. Jeden z nich zapytał nawet, czy to jest kopia.

Jakie obrazy zobaczymy na wystawie „Arcydzieła z Kolekcji Lanckorońskich"?

Przede wszystkim będzie to „Święty Jerzy i smok" Paola Uccella – jeden z pierwszych obrazów sprzedanych przez rodzinę Lanckorońskich po II wojnie światowej.

Pałac Lanckorońskich w Wiedniu został zbombardowany, ruina nie nadawała się do zamieszkania. Rodzina zresztą już nawet przed II wojną światową w nim nie mieszkała. Po wojnie Karolina osiadła w Rzymie, a brat i siostra wybrali Szwajcarię. W mieszkaniach, które zajmowali, nie było już miejsca na przechowywanie tak bogatej kolekcji.

„Święty Jerzy i smok" to ważne dzieło w dorobku Paola Uccella. Na czym polega jego wyjątkowość?

Z tym tematem artysta mierzył się trzykrotnie. Obraz, który zobaczymy na Wawelu, został namalowany najpóźniej i do tego na płótnie, co jest rzadkością, bo Uccello malował zazwyczaj na drewnie. Tematyka – historia o smoku, który pustoszył miasto Silenę – została zaczerpnięta ze „Złotej legendy" Jakuba de Voragine. Smok najpierw pożerał zwierzęta, potem dzieci, a gdy dzieci zabrakło, przyszła kolej na córkę króla, który z bólem zgodził się oddać bestii księżniczkę. Uccello pięknie zestawił jej smukłą, dystyngowaną postać z potworem-bestią, którego rycerz przebija włócznią. Księżniczka zarzuca swój pasek na szyję smoka i jak oswojonego pieska na smyczy prowadzi do miasta.

Uccello jest znany przede wszystkim ze studiów nad perspektywą – pokazuje to także starannie zaaranżowana kompozycja londyńskiego obrazu, z precyzyjnie wykreślonymi liniami perspektywy. Warto ten obraz zobaczyć dlatego, że nie mamy obrazów Uccella w Polsce. Dzieło to Karol Lanckoroński zakupił jeszcze przed rokiem 1892, w okresie, kiedy kupował dużo, urządzając nowo wzniesiony pałac przy Jacquingasse 18 w Wiedniu.

W nowej odsłonie zobaczymy Prywatne Apartamenty i Reprezentacyjne Komnaty Królewskie.

Chcemy pokazać całą kolekcję Lanckorońskich w renesansowych salach I piętra, dostępnych dla zwiedzających. Obrazy o tematyce świeckiej, z wieków XV i XVI, ozdobią apartamenty prywatne, a w wieży Jordance, w zupełnie nowej aranżacji i oświetleniu, zgromadzimy obrazy religijne pochodzące z włoskich kościołów i klasztorów: Madonny, świętych, sceny z Nowego Testamentu malowane temperą na drewnie. W drugiej części apartamentów prywatnych pokażemy malarstwo Niderlandów z wieków XVI i XVII, w tym ostatnie wawelskie nabytki. Na II piętrze będzie można zobaczyć więcej malarstwa weneckiego.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

DR JOANNA WINIEWICZ-WOLSKA jest kustoszką, kuratorką Działu Malarstwa w Zamku Królewskim na Wawelu oraz kuratorką wystawy Arcydzieła z kolekcji Lanckorońskich.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 27/2022

REDAKCJA: Grzegorz Nurek
WSPÓŁPRACA ZE STRONY WAWELU: Paweł Doś
OKŁADKA: Piotr Kłosek / Zamek Królewski na Wawelu
TP TYPOGRAFIA: Andrzej Leśniak | FOTOEDYCJA: Jacek Taran

PATRONI DODATKU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

ZNAK WIELORYBA

Pojawia się we wszystkich kulturach i mitologiach świata jako stwór wyniosły i groźny, emanacja potęgi natury, nieludzkie ukoronowanie dzieła stworzenia.

MICHAŁ SOWIŃSKI

Pierwszy zapisany ślad Wieloryba pochodzi z grudnia 1850 r. Herman Melville prosił w liście do swojego wydawcy, żeby ten przysłał mu „50 szybko piszących młodzieńców", bo nie może nadążyć z zapisywaniem kolejnych rozdziałów swojej najnowszej powieści. Dziwny żart, szczególnie w przypadku człowieka, którego można posądzać o wiele, ale nie o poczucie humoru. Pół roku później w Londynie i Nowym Jorku ukazał się „Moby Dick", powieść, która już na zawsze odmieniła oblicze literatury. Niestety (przede wszystkim dla samego Melville'a), jeszcze przez kilka dekad nikt o tym nie wiedział.

Publikację „Moby Dicka" większość biografów Melville'a uznaje za punkt przełomowy w jego życiu. Dlatego też wszystko, co było wcześniej, traktowane jest jako zapowiedź powieści o Wielorybie, a wszystko, co spotkało go później, odczytuje się jako konsekwencje powołania do życia tego monstrum.

Życie z Wielorybem

„Moby Dick" to bez wątpienia arcydzieło, szczytowe osiągnięcie Melville'a, które jednocześnie okazało się jego największą porażką wydawniczą. Rozmiary, dziwaczna konstrukcja, mnóstwo hiperrealistycznych wtrąceń związanych z pracą na statku wielorybniczym, które rozbijały i tak już niemrawo ciurkającą fabułę – w połowie XIX wieku było na to za wcześnie.

Zmagania z wielorybem wyczerpały także samego autora, który, zniechęcony, ale też przymuszony trudną sytuacją ekonomiczną, zaczął pisać opowiadania dla czasopism. Choć o tego typu literaturze wyrażał się raczej z pogardą, stworzył kilka perełek, które na stałe weszły do światowego kanonu – żeby wymienić tylko „Kopistę Bartleby'ego" czy „Benita Cereno". Jednak w przyjętej tu wielorybocentrycznej interpretacji to oczywiście ciekawe, choć niezbyt porywające próby odnalezienia na nowo pisarskiej dykcji, jak choćby w „Oszuście" z 1857 r., panoramicznej powieści o kondycji amerykańskiego społeczeństwa. Były też genialne glosy do wielorybiego *opus magnum*, na przykład „Billy Budd", wydany

HELMUT CORNELI / ALAMY / BE&W

Kaszalot w błękitnej wodzie. Okolice wyspy Pico, Azory, Portugalia.

już pośmiertnie, w którym ponura i karykaturalnie tragiczna historia tytułowego bohatera nie pozostawia złudzeń, co od początku było stawką tego pisarstwa. Ale skąd w ogóle wziął się Wieloryb w życiu młodzieńca z porządnego nowojorskiego domu?

Melville urodził się w 1819 r. w rodzinie, która była typową częścią kształtującej się właśnie amerykańskiej klasy średniej. Niestety, jego ojciec, kupiec nie potrafił się odnaleźć w świecie nowego kapitalizmu, któremu powoli zaczęły rosnąć pazury. Kolejne nieudane inwestycje przybliżały go coraz bardziej na skraj ubóstwa, przed popadnięciem w które chronił go wiele razy zamożny teść. Pogarszająca się sytuacja materialna pokrzyżowała też plany życiowe Hermana, który musiał przerwać zbyt kosztowną edukację. Niektórzy twierdzą, że to z tego powodu miał potem poważne problemy z ortografią.

Nie przejął się jednak trudną sytuacją, a wręcz dostrzegł w niej szansę na wyrwanie się z mieszczańskiego kieratu. Wymuszona niezależność finansowa otworzyła przed nim nowe drogi życiowe, które ekscytująco pachniały wolnością. Przez jakiś czas pracował jako urzędnik, potem jako nauczyciel, aby ostatecznie na pięć lat zostać marynarzem. Praca na statkach towarowych, kursujących regularnie na atlantyckich trasach, czekała właściwie na każdego.

Miłość do morza – mroczna i głęboka – zrodziła się w nim od pierwszego wejrzenia. Jednak żmudna i powtarzalna praca na statku handlowym nieco go rozczarowała. Niewiele w niej było z romantyzmu morza, którym karmił się (jak wszyscy rówieśnicy z jego klasy społecznej) od dziecka. Postanowił więc zostać wielorybnikiem.

Paliwo nowoczesności

W pierwszej połowie XIX wieku wielorybnicy byli bohaterami setek morskich opowieści, a o ich męstwie śpiewano w portowych wyszynkach nad Atlantykiem i Pacyfikiem. Istniały nawet obwoźne grupy teatralne, które specjalizowały się w przedstawianiu (z użyciem imponujących dekoracji) heroicznych zmagań wielorybników z bestią-Lewiatanem. Gdy Melville polował na wieloryby, ten mit już powoli zanikał, wypierany przez rosnące zapotrzebowania rynkowe, a bohaterowie południowych oceanów zamienili się w ciężko harujących i kiepsko opłacanych robotników.

↦

↦ Na wieloryby w sposób zorganizowany polowano już od wczesnego średniowiecza, a przodowali w tym Baskowie. Przez wieki byli w awangardzie europejskiego rybołówstwa, a w swoich wyprawach łowieckich dotarli najprawdopodobniej aż do wybrzeży dzisiejszej Kanady, co oznaczałoby, że w odkryciu Ameryki ubiegli Kolumba o dobre sto lat. Wielorybnictwo przez wieki było jednak zajęciem niszowym, bez większego znaczenia ekonomicznego. Przełom nastąpił pod koniec XVIII wieku, gdy świat, stojący na progu rewolucji przemysłowej, zaczął nagle potrzebować dużych ilości oleju – łatwopalnego, ale też służącego jako smar do coraz szybciej pracujących maszyn. Ten wielorybi (który nie jest właściwie olejem, a wytopionym tłuszczem) nadawał się do tego idealnie, bo nie wymagał dodatkowej obróbki. Do odkrycia rafinacji ropy było jeszcze ponad pół wieku. W ten sposób wieloryb, dosłownie, stał się pierwszym surowcem energetycznym rozpędzającej się nowoczesności. Zaczęły się masowe łowy.

Pracy na statku wielorybniczym nie da się porównać z innymi zawodami morskimi. Po pierwsze, jeden rejs mógł trwać nawet do 4 lat – wracało się dopiero, gdy ładownie były pełne oleju. Po drugie, poszukiwanie wielorybów nie było podróżą z punktu A do punktu B, tylko trwającą miesiącami włóczęgą na ślepo, po bezkresnym oceanie. Najczęściej po południowej część Pacyfiku, ale równie dobrze mógł to być każdy inny zakątek globu – prawie zawsze z dala od uczęszczanych szlaków, setki mil od cywilizacji. Po trzecie, samo polowanie było sztuką niezwykle trudną i niebezpieczną. Bardziej niż połów przypominało jakiś prehistoryczny krwawy rytuał, w którym garstka ludzi na chybotliwej łódce próbuje pokonać kilkaset razy większego od siebie olbrzyma (Frank Herbert, opisując w „Diunie" ujeżdżanie pustynnych czerwi, wzorował się na opisach z tamtej epoki).

Żeby zrozumieć istotę pierwszego spotkania Melville'a z wielorybem (który potem stał się Wielorybem), warto przytoczyć kilka technicznych szczegółów samego polowania. Uwaga, będzie drastycznie.

Walka z bestią

Gdy dostrzeżono „znak wieloryba", czyli wystrzeliwującą w górę chmurę wody, na pokładzie rozlegał się euforyczny okrzyk „*blows!*". Wtedy kilkuosobowa grupa najbardziej doświadczonych wielorybników wskakiwała do łódki wielkości dużego kajaka i wiosłowała co sił w stronę potencjalnej ofiary. Gdy już udało im się dopłynąć na odległość kilku metrów, dowódca zespołu (zawsze był to oficer) ciskał w wieloryba harpunem, do którego przywiązana była lina. Wtedy zaczynało się piekło.

Gdy doholowano wieloryba, wycinano z niego, kawałek po kawałku, **warstwy tłuszczu, które potem wytapiano w kotłach.** Statek zamieniał się na wiele dni w cuchnącą, lepką i osnutą czarnym dymem fabrykę.

Zraniony wieloryb wpadał w furię, rzucał się na wszystkie strony, a wystarczył jeden celny cios kilkutonową płetwą, by ostatecznie zakończyć polowanie. Potem, aby uciec oprawcom, nurkował. Wieloryby potrafią wytrzymać bez powietrza 30-40 minut i zejść do głębokości nawet tysiąca metrów, płynąc przy tym z prędkością 40 węzłów – dla załogi połączonej z nim liną to pół godziny śmiertelnie niebezpiecznej „jazdy" (fachowy termin).

Gdy wieloryb w końcu się wynurzał, zaczynał się ostatni akt masakry. Należało jak najszybciej trafić go w najczulszy punkt, czyli aortę. Wtedy natleniona krew tryskała na kilka metrów w górę, a ofiara zaczynała konać. I tu kończy się heroiczna część, a zaczyna trwająca nawet kilka tygodni ciężka praca, czyli wytapianie tłuszczu. Gdy już udało się doholować ciało wieloryba do statku, wycinano z niego, kawałek po kawałku, warstwy tłuszczu, które potem wytapiano w specjalnych kotłach. A zaczynano od głowy, gdzie znajdował się najcenniejszy olej – spermacet. Statek zamieniał się na wiele dni w cuchnącą, lepką i osnutą czarnym dymem fabrykę.

Bez tych drastycznych szczegółów historia Wieloryba byłaby niepełna. Melville nie był bowiem pisarzem bazującym w swojej prozie na wyobraźni. Od samego początku jego pisarstwo polegało na przetwarzaniu własnych doświadczeń. I nie chodzi tu o subtelne gry literackie z własną biografią, tylko o poważny projekt egzystencjalno-literacki, którego celem było stworzenie konstrukcji na tyle wypornej, żeby mogła udźwignąć potężny, bezprecedensowy ciężar (równy masie Wieloryba). Czy mu się to udało?

Cienie w tropiku

Kilka lat spędzonych na morzu odcisnęło w nim piętno na tyle głębokie, że wracał do tego okresu prawie we wszystkich swoich tekstach. Co ważne, etap pisarski zaczął się dopiero po zakończeniu etapu morskiego (czyli identycznie jak u Josepha Conrada) – potrzebny był dystans, żeby zacząć o tym opowiadać.

Początki były nieśmiałe. Debiutancka „Taipi" (1846) to historia dwóch marynarzy, którzy uciekają ze statku wielorybniczego (czyli Wieloryb pływał już w pobliżu) i trafiają na jedną z rajskich wysp Oceanii. „Marynarze są dzisiaj jedynymi ludźmi, którzy przeżywają jakieś podniecające przygody" – pisał w przedmowie do swojego debiutu. I faktycznie – zgodnie z konwencją ówczesnych powieści marynistycznych, z której Melville jeszcze wtedy czerpie pełnymi garściami, przygód jest tu co niemiara. Są kanibale, piękne i nieznające wiktoriańskiej pruderii kobiety, groźna dżungla, pogańskie rytuały – wszystko, co gwarantowało trafienie na listy bestsellerów. Podobnie wyglądała kolejna jego książka, „Omoo" (1847). I gdyby nie wielorybocentryczny punkt widzenia, można by je uznać za przeciętne produkcyjniaki swojej epoki, o których dziś nikt by nie pamiętał.

Jednak na tych skąpanych w tropikalnym słońcu wyspach da się dostrzec pierwsze cienie. Melville od początku miał ambicje krytyczne. W przygodowe fabuły wplatał tu i ówdzie gorzkie komentarze na temat współczesnego świata: purytańskiego chrześcijaństwa, kolonializmu i narastających nierówności industrialno-kapitalistycznego społeczeństwa. Młodzi mężczyźni w jego prozie (podobnie jak on sam) uciekają na morze, aby zaznać wolności i spróbować zrealizować amerykański sen self-made mana. Lecz narrator „Taipi" wytrzymuje na rajskiej wyspie zaledwie trzy miesiące (w przypadku samego Melville'a był to niecały miesiąc), po czym ucieka przed otępiającą rozkoszą egzystencji poza czasem i cywilizacją.

Trzecia i czwarta powieść w dorobku Melville'a („Mardi" i „Redburn") nie należą do udanych – napisane ze zbyt dużym zadęciem filozoficzno-publicystycz-

nym, do tego eksperymentujące z różnymi konwencjami literackimi, nie wytrzymują próby czasu. A jednak, jako przykłady nieudanych poszukiwań nowej formy, wciąż należą do opowieści o Wielorybie. Za to następna powieść, mało znana i doceniana, stanowi właściwe do niej preludium.

Biała dziura

„Biały kubrak" („White Jacket", 1850) to rozpisana na kilkadziesiąt scenek rodzajowych (czyli podobnie jak za chwilę w „Moby Dicku") opowieść o losie marynarza służącego na okręcie wojennym (bo i taki epizod zaliczył Melville w swoich morskich przygodach). Anegdotyczny, żartobliwy wręcz ton szybko znika, odsłaniając piekło życia w klaustrofobicznej przestrzeni dzielonej z setkami innych marynarzy. Fregata to unosząca się w pustce oceanu ambasada państwa. Cywilizacyjny mikrokosmos zagęszczony do granic możliwości, który pod własnym ciężarem zamienia się w mroczną karykaturę nowoczesnego społeczeństwa i państwowości. Upiorne miejsce, nie tylko ze względu na wszechobecną przemoc, paranoicznie drobiazgowe regulaminy czy trudne do wyobrażenia warunki życia, ale przede wszystkim z powodu braku – dosłownie – miejsca dla jednostkowej egzystencji.

Tytułowy biały kubrak to pseudonim narratora (u Melville'a nigdy nie poznajemy ich prawdziwych imion), który wziął się właśnie od noszonego stroju. I tu wkraczamy w kluczowy etap opowieści o Wielorybie, i nie tylko dla tego, że pojawił się już jego kolor. Tytułowy strój, wykonany samodzielnie przez narratora, staje się metaforą totalną, i to na każdym poziomie powieści. Biały kubrak jest pokraczny, niewygodny, trudny w utrzymaniu, ale jednocześnie zapewnia jego właścicielowi minimalną autonomię. Ma mnóstwo kieszeni, w których można trzymać cały marynarski dobytek, a jednocześnie gromadzić kolejne sensy i konteksty, które przyrastają z każdym nowym rozdziałem. Ten biały obiekt, niczym czarna dziura, pochłania wszystko, co pojawi się w jego pobliżu, przez co puchnie coraz bardziej. Nie jest to jednak bezpieczny schowek na rzeczy i idee – co rusz moczy go deszcz albo fale, a jego zawartość – jak na przykład kieszonkowe wydanie „Hamleta", z którym narrator nie chce się rozstać – zamienia się w mokrą, bezużyteczną papkę.

W „Białym kubraku", po latach prób i błędów, Melville odnalazł w końcu formę właściwą do zmierzenia się z Wielorybem. Bo czymże właściwie jest ten biały potwór? To źle postawione pytanie, bo, podobnie jak kubrak w tym samym kolorze, może zakumulować dowolną ilość sensów, żaden jednak nie jest w stanie go pochwycić. Jednak tym razem nie mamy do czynienia z przedmiotem (narzędziem?), a z bytem obdarzonym własną, nieprzeniknioną dla człowieka wolą. Już nie kieszenie dające złudzenie porządku i sensu, a przepastny brzuch, w którym może się znaleźć wszystko.

Na pustyni

Adam Lipszyc, w wydanej właśnie w PIW książce „Melville. Ostatki tożsamości", idzie jeszcze dalej i wojenną fregatę nazywa wprost prefiguracją XX-wiecznych obozów koncentracyjnych i innych opresyjnych instytucji nowoczesności. W swojej interpretacji skupia się przede wszystkim na egzystencjalnych i politycznych kontekstach prozy Melville'a. Jak bowiem słusznie pokazuje, te morskie opowieści (jak i ich lądowe warianty) w wielu aspektach wyprzedzają swoją epokę o dobre pół wieku.

Chodzi tu przede wszystkim o kluczowe doświadczenie nowoczesności, czyli o rozmywanie granic własnego „ja" – ukrywanie własnej podmiotowości, ↦

Rycina J. Hilla według obrazu Williama Page'a do książki „Moby Dick", 1851 r.

PICTURES FROM HISTORY / GETTY IMAGES

↦ granie jej definicjami. A wszystko w obliczu narastającej i coraz bardziej uwierającej obecności Lewiatana, nowoczesnego suwerena, chcącego każdą jednostkę połknąć i zaprząc do pracy przy państwotwórczej machinie. Lipszyc dostarcza bowiem aż nadto przykładów na to, że Melville literacko antycypował wiele filozoficznych i społecznych intuicji Waltera Benjamina czy Carla Schmitta. Choćby w „Białym kubraku", gdzie państwo-fregata rozpada się na „ciało górne" (oficerowie) i „ciało dolne" (reszta załogi) – doskonale od siebie oddzielone (za wyjątkiem karnawałowych epizodów), a jednocześnie skazane na siebie, jako że jedno bez drugiego pozbawione jest sensu.

Ale gra, którą toczą kolejni bezimienni lub ukrywający się pod pseudonimami narratorzy Melville'a, nie jest niewinna i ma swoje konsekwencje. Już w pierwszych powieściach, gdzie ucieczka na morze wydaje się wciąż zwykłą przygodą, konfrontują się oni z radykalną i przerażającą pustką oceanu. W powieści „Mardi" (1849) czytamy: „Dla szczura lądowego flauta to nie żarty. Nie tylko wstrząsa jego żołądkiem, ale i wzburza umysł; rodzi w nim pokusę, by odwołał swoją wiarę w wieczyste dopasowanie rzeczy; krótko mówiąc, czyni zeń niemal niewiernego".

Dla Lipszyca ocean Melville'a to przede wszystkim miejsce, gdzie doświadcza się ateizmu. Ale nie w jego humanistycznym wariancie, w którym z grubsza chodzi o wymianę słownika z sakralnego na świecki, tylko w postaci skrajnej, w której wszystkie sensy toną w słonych i czarnych głębinach (w wersji górsko-lądowej będzie 100 lat później pisał o tym Witold Gombrowicz w „Kosmosie"). W pogoni za Wielorybem (nawet gdy jeszcze nie miał pewności, kogo właściwie ściga) w tym dokładnie kierunku Melville będzie sterował swoje powieści. Porzuciwszy marzenie o Ziemi Obiecanej, jak pisze Lipszyc, to właśnie na oceanie będzie szukał „wyjścia ze świata wątpliwych konstrukcji porządkujących świat. To wyjście w morze – i na pustynię ateizmu". A na pustyniach grasują monstra.

DOMENA PUBLICZNA

Joseph Oriel Eaton, portret Hermana Melville'a (1819-1891), maj 1870 r.

Anihilacja

Wieloryb pojawia się we wszystkich kulturach i mitologiach świata, prawie zawsze jako stwór wyniosły i groźny, emanacja potęgi natury, nieludzkie ukoronowanie dzieła stworzenia. Tradycja chrześcijańska nadała mu piętno szatana, ale, wbrew pozorom, wcale nie z powodu niefortunnego wypadku Jonasza (tam służy przecież jako narzędzie Boga, mające zmotywować opieszałego proroka do działania), a bardziej poprzez legendy celtyckie, wykorzystane potem w hagiograficznych opowieściach o św. Brendanie.

Nic więc dziwnego, że szybko stał się bohaterem niezliczonych morskich opowieści. W 1820 r. niedaleko wybrzeży Chile zatonął amerykański statek wielorybniczy „Essex". Dwójka ocalałych marynarzy zarzekała się, że ich łódź zniszczył olbrzymi, biały wieloryb, ponoć w obronie swojego stada. Ich opowieść szybko obiegła świat, także ze względu na drastyczne szczegóły ich ocalenia – podczas wielotygodniowego dryfowania w szalupie miało dochodzić do kanibalizmu. Historia wieloryba, który z ofiary przemienił się w okrutnego mściciela, nie tylko zabijającego ludzi, ale także niszczącego ich człowieczeństwo, bardzo zainteresowała Melville'a.

To jednak niejedyny bohater „Moby Dicka", który jest kolażem kulturowych tradycji. Kapitan Ahab, zaprzysięgły wróg Wieloryba, nie mieści się w ramach realizmu psychologicznego. W klasycznych interpretacjach opisuje się go jako człowieka ogarniętego rządzą zemsty – postać niegdyś wielka, ale teraz zniszczona przez chorobliwą obsesję. Problem w tym, że tak przedstawia go narrator na samym początku, gdy sam bohater jeszcze nie pojawił się na scenie (pokładzie) powieści. Wychodzi ze swojej kajuty dopiero później, już na pełnym morzu, a tam proste i sensowne interpretacje zaczynają, niczym „Hamlet" w kubraku, nasiąkać wodą i tracić ostrość.

Ahab nosi w sobie wszystkich wielkich mścicieli i buntowników zachodniej kultury. Ulepiony jest z Miltona, Szekspira, Goethego, Blake'a i wielu innych, którzy powołali do życia bohaterów wadzących się z losem, Bogiem czy historią. Lecz to, co na lądzie układa się w epos czy tragedię, na środku oceanu gubi swoją czytelną strukturę. Bo czy chodzi tu jeszcze o walkę dobra ze złem? Porządku z chaosem? Człowieka z fatum? Żadna klasyczna rama tu nie pasuje.

Melville jedną ręką nasyca fabułę kolejnymi sensami, buduje piętrowe, coraz bardziej chybotliwe metafory, a drugą podmywa ich fundament. Wieloryb-symbol zostaje poćwiartowany i wypatroszony, romantyczny mit morza rozwiewa się w smrodliwym dymie wypalanego tłuszczu. A sam statek zamienia się w wiecznie nienasyconą fabrykę, która wszystko potrafi zredukować do poziomu prymitywnej materii. Szlachetna walka, którą przez wieki toczyli protoplaści Ahaba, zamienia się w zwyrodniałą karykaturę samej siebie.

Więc gdy dochodzi już do ostatecznej konfrontacji, widzimy tak naprawdę zderzenie dwóch chaotycznych i umaterialnionych metafor, których części składowe jeszcze potrafimy rozpoznać, ale o żadnej spójności czy sensie nie ma już mowy. Ta kosmiczna katastrofa o fundamentalnym i doniosłym znaczeniu, kulturowa anihilacja o bezprecedensowej skali, rozgrywa się na środku oceanu, poza czyjąkolwiek świadomością.

Z jednym wyjątkiem – uratował się przecież narrator, ten, który chce być nazywany Izmaelem. Ale jak możemy wierzyć człowiekowi, który nie tylko zmierzył się z Wielorybem, ale jeszcze na dodatek zawdzięcza mu życie?

© MICHAŁ SOWIŃSKI

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | **www.radiokrakow.pl**

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTKI

Aleksandra Waliszewska, bez tytułu, 1997-2022 r.

Koty to wiedzą

PIOTR KOSIEWSKI

Jej sztuka współgra z rzeczywistością naznaczoną lękiem, niepewnością i poczuciem kresu. Łączy zwrot romantyczny z poczuciem, że żyjemy na chwilę przed Apokalipsą.

Aleksandra Waliszewska szybko wypracowała własny styl i – jak sama podkreśla – osiągnęła komercyjny sukces. Urodziła się w 1976 r. Ukończyła warszawską ASP. Jest częścią tego samego pokolenia, co Agata Bogacka, Rafał Bujnowski, Paulina Ołowska czy Wilhelm Sasnal. We wczesnej twórczości odwołała się jednak do znaczniej odleglejszej niż oni tradycji: do sztuki wczesnego włoskiego renesansu. Do kolorystyki, kompozycji, a nawet sposobu kładzenia farby Masaccia i Piera della Francesca. A jednocześnie w obrazach nieustannie przywoływała współczesność. Ich bohaterkami były przede wszystkim młode kobiety, często ona sama.

Książki, filmy, tatuaże

Mimo sukcesu, wkrótce zdecydowała się na radykalną zmianę. Zajęła się tworzeniem prac na papierze: gwaszy, rysunków, akwarel. Niewielkich, najczęściej o formacie kartki A4. Tworzonych systematycznie. Jak mówiła w wywiadzie udzielonym niedawno „Wysokim Obcasom": „maluję codziennie, bo mi to pomaga". I dodawała: „Kiedyś malarze bardzo dużo pracowali. Teraz jest czas nieróbstwa w sztuce. Artyści czekają na natchnienie. Ja nie".

Przede wszystkim jednak odmieniła tematykę swych prac. Pojawiły się w nich niepokojące wizje, sceny przemocy, a nawet śmierci. Postaci groźne i tajemnicze, mogące budzić przerażenie.

Twórczość Waliszewskiej zaczęła zdobywać innych odbiorców, a jej prace zaczęły być wykorzystywane na nowe sposoby. Od dawna fascynuje się książką i zaczęła ją traktować jako kolejne medium, podobnie jak Instagram, który stał się ważnym miejscem przedstawiania przez nią prac – obecnie ponad 115 tys. osób obserwuje jej konto. W 2014 r. wyszła starannie wydana, wręcz wysmakowana książka „Złote rączki drżą" z obszernym wyborem jej prac, ale też tekstami m.in. Maurizio Cattelana i Szczepana Twardocha. Później we francuskim wydawnictwie Timeless ukazały się nie mniej starannie dopracowane tomy „Problem" i „Solution", a przed trzema laty Ha!Art wydał „Naukę i pracę" – tym razem wszystkie dzieła zostały wydrukowane w czerni i bieli.

Waliszewska przykładała szczególną uwagę do tych wydań. Za każdym razem swe prace układała w odmienne opowieści. Jak sama mówi, to najważniejsze pokazy jej twórczości, a książki, często wydawane w bardzo ograniczonym nakładzie, stanowią odrębne, samodzielne dzieła.

Ale jej prace pojawiają się jako ilustracje także w publikacjach innych autorów. Znalazły się m.in. na okładce wydanego w 2020 r. zbioru tekstów Nicka Cave'a „The Complete Lyrics" oraz jako ilustracje w wydanym w ubiegłym roku ↦

świetnym „Upiorze. Historii naturalnej" Łukasza Kozaka, książce poświęconej tytułowym upiorom, strzygom i strzygoniom w polskich wierzeniach ludowych. Są też zamieszczane na okładkach płyt, m.in. w założonej przez krytyka muzycznego Michała Mendyka wytwórni Bôłt Records.

Dzieła Waliszewskiej były też wykorzystywane w modzie. Twórczyni marki The Vampire's Wife Susie Cave (żona Nicka) stworzyła kolekcję „The Mitusia Collection", nawiązującą do ulubionej kotki artystki, Mitusi. Studio ceramiki ENDE wyprodukowało całą serię naczyń z rysunkami artystki. Grecka reżyserka Athina Rachel Tsangari stworzyła w 2012 r. „The Capsule", również inspirowany serią jej rysunków. A ona sama, we współpracy ze Szczepanem Twardochem, przygotowała w 2016 r. animację „Piwnica".

Waliszewska nie jest jedyną reprezentantką swojego pokolenia, która zdecydowała się wyjść poza tradycyjny obszar sztuk wizualnych i wkroczyć w przestrzeń kojarzoną bardziej z kulturą masową czy użytkowym wymiarem twórczości. Odeszła od malarstwa, z jego „aurą niezwykłości", jako głównej formy artystycznej wypowiedzi, i skupiła się przede wszystkim na tworzeniu książek, projektów ceramiki, prac na papierze i tatuaży – sposobach wypowiedzi zazwyczaj uważanych za mniej poważne, gorsze, poślednie. Ale – to jeden z paradoksów tej twórczości – dziś nadal jej prace są przede wszystkim wynikiem fascynacji przeszłością.

Waliszewska ocenia współczesność krytycznie. „Sztuka staje się coraz gorsza i gorsza. Mimo tej beznadziejnej sytuacji, nadal maluję, aby widzowie mogli przynajmniej znaleźć w mojej pracy coś nowego i interesującego" – mówiła niedawno piszącej na łamach „Artnet" Katie White.

Sny, koszmary i kotka

Długo czekała na dużą, retrospektywną wystawę, ale „Opowieści okrutne", które można właśnie zobaczyć w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej, na których znalazło się ponad 200 prac, nie ograniczają się do prezentacji jej twórczości. Kuratorki, Alison M. Gingeras i Natalia Sielewicz, stworzyły „pudełkową wystawę", która składa się z dwóch, a nawet trzech oddzielnych, przenikających się ze sobą opowieści. Jedna z nich dotyczy rodziny artystki, w której od czterech pokoleń kobiety tworzyły i miały znaczący wpływ na stworzenie *imaginarium* malarki. Jej prababka Kazimiera Dębska pisała bajki dla dzieci. Anna Dębska, babka, była rzeźbiarką: specjalizowała się w tworzeniu przedstawień zwierząt, a jednocześnie miała jedną z pierwszych prywatnych stajni koni arabskich w Polsce. Matka, Joanna Waliszewska, także jest artystką.

Drugą „wystawą w wystawie" jest pokazanie „wizualnego drzewa genealogicznego" Waliszewskiej. Nadal są w niej obecne odniesienia do sztuki wczesnego renesansu, ale i do symbolizmu z przełomu XIX i XX w. z krajów bałtyckich i Europy Środkowo-Wschodniej oraz jego późniejszych wcieleń. Umieszczenie prac w kontekście sztuki Europy Północnej i naszego regionu wydaje się mniej oczywiste. Jest to twórczość, także u nas, poza wyjątkiem Mikalojusa Konstantinasa Čiurlionisa, niemal nieznana.

Wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej przywraca, a po części po raz pierwszy w Polsce prezentuje tę twórczość. Jest propozycją bardziej inkluzywnego spojrzenia na sztukę tego czasu. Docenienia symbolizmu, który, jak podkreślała artystka w „Wysokich Obcasach", nadal jest traktowany „jako wstydliwy okres w historii sztuki, a według mnie jest o wiele ciekawszy, niż np. surrealizm". Jest też próbą włączenia twórczości z tej części Europy do głównego obiegu. Upomnienia się o to, co powstawało na obrzeżach wielkich centrów, a było nie mniej oryginalne.

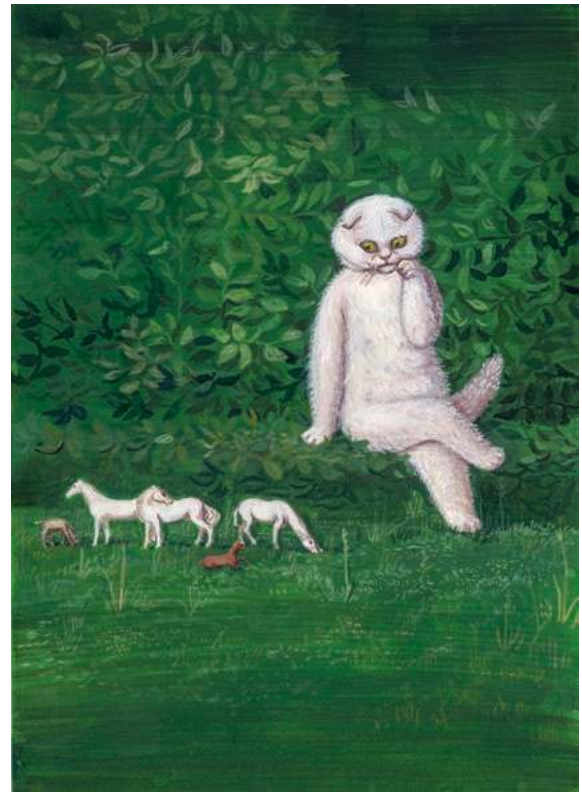

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTKI X3

Po lewej:
Wystawa „Opowieści okrutne. Aleksandra Waliszewska i symbolizm Wschodu i Północy" w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. 8 czerwca 2022 r.

Powyżej:
Aleksandra Waliszewska, bez tytułu, 2018 r.
Aleksandra Waliszewska, bez tytułu, 1997-2022 r.

„Opowieści okrutne" stawiają pytania także o naszą nowoczesność: o rozmaite formy ezoteryki, o okultyzm, teozofię czy spirytyzm, które ją współkształtowały, a następnie zostały uznane za nieracjonalne czy nienaukowe i zepchnięte na margines.

Jednak przede wszystkim są na tej wystawie prace samej Aleksandry Waliszewskiej, powstałe w latach 2007-2022 (większość w ostatnim okresie). Pokazują wielość wątków, tematów czy motywów obecnych w jej twórczości. Ich różnorodność, także stylistyczną.

Otwierają ją prace poświęcone chorobie, śmierci i żałobie. Przedstawienia wisielców, szkieletów lub gnijących trupów. Trumien, rozkopanych grobów, wreszcie wizerunki samej śmierci. Lasów i mokradeł z zaludniającymi je syrenami i innymi tajemniczymi postaciami, oraz z tymi, którzy padli ich ofiarą. Poznajemy tu świat upiorów i innych istot pozostających na granicy życia i śmierci.

Wystawa przypomina o środkowoeuropejskiej i północnej mitologii. O świecie strzyg, syren czy innych stworów, które zaludniają świat Waliszewskiej. Wspólne dla jej prac jest poczucie, że znajdujemy się w świecie snów, które często przekształcają się w koszmary. W świecie, w którym jest wiele erotyzmu, ale też przemocy, w tym – dyktowanej pożądaniem. Okrucieństwa, którego to kobiety najczęściej podają ofiarą, ale też nie brakuje ich przedstawień jako mścicielek. Jest to świat, w którym postacie-hybrydy, pół-ludzie, pół-zwierzęta czy ptaki, są czymś naturalnym. Choć jednocześnie w tej twórczości jest wiele ironii, humoru, a nawet satyry, które horror świata czynią bardziej znośnym.

Nie mogło oczywiście zabraknąć na wystawie kotów, bo one przecież są w jej twórczości wszechobecne. A przede wszystkim jedna ich przedstawicielka, wspominana Mitusia. Muza artystki i bezsprzecznie najsłynniejszy kot w polskiej sztuce. „Czasami myślałam: »Już nic mi w życiu nie przyjdzie do głowy, co ja mam namalować«" – mówiła w wywiadzie dla portalu Culture.pl. Wtedy „przychodziła Mitusia ze swoją piękną buzią, patrzyła na mnie i wiedziałam, co będę malować. Mitusia była strasznie piękna; łatwiej jest kochać kota pięknego, jeszcze z dobrym charakterem – ona była bardzo życzliwa, była chodzącym dobrem".

Jednak w pracach Waliszewskiej koty nie są domowymi kanapowcami, tylko dominującymi postaciami. Bywa, że uczestniczą w krwawych rytuałach. Są świadkami tragedii lub asystują ludzkiej rozpaczy, jak w jednym z najpiękniejszych obrazów, z przedstawieniem kobiety siedzącej na schodach domu, której przyglądają się ukryte w oknach wielkie, czarne kocury. Waliszewska pokazuje ich niezwykłość, piękno, ale też potworność, która bywa urzekająca.

Tematyka tych obrazów, choć zaczerpnięta ze świata dawnych mitów i baśni, jest jednocześnie bliska współczesnej mitologii, kreowanej w filmie, komiksach czy grach komputerowych. Anachronizm jej twórczości, nieprzystawalność do głównych nurtów sztuki w ostatnich dekadach, okazuje się zaskakująco współczesny. To jedno z wytłumaczeń, dlaczego ta outsiderka dziś stała się postacią kultową. © PIOTR KOSIEWSKI

OPOWIEŚCI OKRUTNE. ALEKSANDRA WALISZEWSKA I SYMBOLIZM WSCHODU I PÓŁNOCY, *Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Warszawa, wystawa czynna do 2 października br., kuratorki: Alison M. Gingeras, Natalia Sielewicz.*

Zawsze będzie inaczej

KAJETAN PROCHYRA

Jego gitara od 40 lat ogrywa każdy element amerykańskiego pejzażu. Teraz do sklepów muzycznych trafiła nowa płyta Billa Frisella, a do księgarń – jego pierwsza biografia. Wkrótce występ w Polsce.

Bardzo się stara, by nikt nie zauważył, że jest geniuszem. Wysoki, smukły, o łagodnym, chłopięcym uśmiechu i spojrzeniu skrytym za okularami. Jego aparycja może sugerować, że poszedł w ślady ojca – Billa seniora – wykładowcy akademickiego i profesora biochemii. Jak mówi jego biograf, Philip Watson, jest „terminalnie uprzejmy". Swoje myśli wyraża powoli, lubi oprzeć się na pauzie.

748

Billa Frisella usłyszeć można na 748 albumach. Przytłaczającą większość stanowią gościnne występy u boku innych artystów, takich jak Paul Simon, Lucinda Williams, Marianne Faithfull, Yo-Yo Ma, Ginger Baker czy niekończąca się lista muzyków jazzowych. Autorskich płyt nagrał dotąd ponad 40.

Można powiedzieć, że Frisell ogrywa Amerykę: ćwierć wieku temu wydał „Nashville", bodaj pierwszy album, w którym świat wielkomiejskiej muzyki improwizowanej spotyka się z country. Pejzaż środkowego wybrzeża Kalifornii wymalował na płycie „Big Sur". Z Johnem Zornem współtworzył awangardowe „Naked City" i grał nową muzykę żydowską.

W książce „Beautiful Dreamer" Philip Watson z benedyktyńską cierpliwością udokumentował muzyczną drogę artysty. Lekko zażenowany Frisell zdradza, że w jego „muzycznym pokoju" mieszkają aż 63 gitary. „Czy to już obsesja?" – pyta Watson. „Chyba tak... To głupie: wiem, przecież nigdy nie zagram na wszystkich naraz, ale wciąż pamiętam to uczucie, gdy przyniosłem do domu moją pierwszą gitarę; pamiętam nawet jej zapach. I chociaż muzyka bierze się z wyobraźni, a nie z instrumentu, to każda gitara jest inna: nawet dwa telecastery [jedna z najbardziej klasycznych i pierwsza masowo produkowana gitara elektryczna firmy Fender] różnią się brzmieniem. Choć czasem chciałbym znów mieć tylko jedną gitarę" – mówi Frisell.

„Beautiful Dreamer" to opowieść o tym, jak kształtuje się artystyczna osobowość, do jakiego stopnia wyjątkowość artysty jest produktem czasów, w których żyje, okoliczności, spotkań, relacji, znoju i porażek, które w szerszej perspektywie okazują się przepustką do triumfu.

858

– Każdy dźwięk to pytanie: co dalej? A ty nie możesz się zatrzymać: musisz za nim podążać i nigdy nie wiesz, co cię czeka – mówi „Tygodnikowi" Bill Frisell. – Nawet kiedy grasz coś, co grałeś już tysiące razy, zawsze będzie inaczej: pojawi się dźwięk czy brzmienie, którego wcześniej nie słyszałeś.

Frisell wciąż zapisuje muzykę ręcznie na papierze nutowym: – Jako dzieciak bardzo dużo rysowałem. To uczucie wodzenia ołówkiem po papierze: czuję, że wychodzi z tego samego miejsca w głowie, w wyobraźni, które ożywa, kiedy gram muzykę.

Żona Frisella, Carole d'Inverno, jest malarką. Ich córka, Monica Jane Frisell, przemierza Amerykę samochodem-ciemnią, fotografując napotkanych po drodze ludzi i zapisując ich historie w ramach projektu artystycznego Nomadic Photo Ark. Może także dlatego sztuki wizualne zajmują w twórczości Frisella szczególne miejsce.

Stworzył kompozycje do „858" – cyklu abstrakcyjnych obrazów jednego z najbardziej pożądanych malarzy naszych czasów, Gerharda Richtera. Nagrał album inspirowany archiwum prowincjonalnego fotografa z Arkansas, Mike'a Disfarmera. Skomponował muzykę do filmów Billa Morrisona: dokumentalisty, mistrza techniki *found footage*, opartej na tworzeniu nowych dzieł z odnalezionych fragmentów istniejących już obrazów.

608

W „Beautiful Dreamer" Watson podaje też jedną najlepszych definicji muzyki improwizowanej, a może w ogóle twórczej współpracy, opartej na wzajemnym zrozumieniu, wysiłku, ale też pewnej strukturze. Przywołuje wspólny pobyt gitarzysty i jego córki w ośrodku pracy twórczej Vermont Studio Center.

Pod wieczór Frisellowie postanowili zagrać w ping-ponga. Wokół stołu stały rzeźby – w tym nadnaturalnie wielki żelazny posąg jelenia. Zaczęli grać. Szybko uznali, że gra na punkty nie ma większego sensu i po prostu odbijali piłeczkę. Wtedy ojciec zaproponował: „Zobaczmy, czy uda nam się dojść do stu". 25, 26, 27, 28 – skucha. 17, 18, 19 – skucha. 50, 51, 52... „Myślę sobie: teraz się uda. 64... Skucha. Ręka zaczyna mi drętwieć, dookoła jest już zdecydowanie ciemno. 89, 90, 91... Skucha. Od nowa" – wspomina Bill. Z upływem kolejnej godziny Frisellowie byli już w transie. 100, 101, 102... 199, 200, 201... „Nie myśleliśmy o niczym poza tym rytmem odbijanej piłeczki". 250, 300, 400, 500, 600... „Pomyślałem wtedy: do licha, dojdziemy tak zaraz do tysiąca! Gdy tylko ta myśl zaświtała mi w głowie, bum: skucha". 608 uderzeń.

Potem próbowali jeszcze kilka razy, ale za nic nie potrafili przebić pierwszej pięćdziesiątki: „To była ta chwila kompletnego połączenia, bycia obecnym, gdy poza tu i teraz nie ma już nic więcej". Może złożył się na to cały mijający dzień, podczas którego Frisellowie pracowali razem nad produkcją wideo, po raz pierwszy tworząc rzeczywiście wspólne dzieło. „Tylko piłka, mój tata i ja" – wspomina Monica Frisell. „To był jeden z najlepszych dni w całym moim życiu" – dodaje Bill.

1967

Tamtego roku, pod koniec czerwca, do sklepów trafił album „Chapel" tria Charlesa Lloyda, w składzie Lloyd – saksofon tenorowy i flet poprzeczny; Thomas Morgan – kontrabas; Bill Frisell – gitara. 55 lat wcześniej, w 1967 r., 16-letni Frisell kupił swój pierwszy numer magazynu „DownBeat". Z okładki spoglądał na niego właśnie Lloyd. Niedługo później Bill zasiadł na widowni podczas koncertu jego kwartetu – z Keithem Jarrettem przy fortepia-

AL PEREIRA / GETTY IMAGES

Bill Frisell podczas koncertu na Celebrate Brooklyn. Nowy Jork, 18 czerwca 2015 r.

nie, Ronem McClurem na kontrabasie i Jackiem DeJohnettem za perkusją. To było jedno z pierwszych spotkań Frisella z jazzem na żywo.

Morgan i Frisell znają się doskonale. Jako duet nagrali dla wytwórni ECM dwa koncertowe albumy „Small Town" i „Epistrophy" – oba zarejestrowane w jednym z najważniejszych klubów jazzowych na świecie – Village Vanguard w Nowym Jorku. Ich domy dzieli krótki spacer przez Brooklyn. Gdy obostrzenia pandemiczne pozwoliły na spotkania w plenerze, Morgan, Frisell i perkusista Kenny Wollesen wystawili instrumenty przed dom, by zagrać – dla siebie i sąsiadów. Nagrania z tych podwórkowych koncertów znaleźć można na YouTubie. Obaj współpracowali też wcześniej z Charlesem Lloydem, jednak nigdy dotąd nie spotkali się tylko we trzech.

Album „Chapel" to rejestracja ich pierwszego koncertu. W grudniu 2018 r. muzycy wylądowali w San Antonio, na południu Teksasu. Koncert odbył się w niewielkiej kaplicy na terenie tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. – To niewielka, piękna i stara kaplica: doskonała przestrzeń dla intymności tej muzyki – wspomina Frisell. Nie ma tu lidera i akompaniatorów. Wszyscy słuchają się wzajemnie, wspólnie tkając delikatną sieć, improwizowaną koronkę dźwięków. Kompozycje w większości pochodzą ze zbioru Charlesa Lloyda, album otwiera jednak „Blood Count" Billy'ego Strayhorna z... 1967 r.

W zamierzeniu autora miało to być kolejne wspólne dzieło z Dukiem Ellingtonem. Strayhorn trafił jednak do szpitala. Partyturę kończył, leżąc na oddziale onkologicznym. Był to, jak się miało okazać, jego ostatni dokończony utwór. Pierwotny tytuł „Blue Cloud" („błękitna chmura") przemianowany został na „Blood count" („morfologia krwi"). Ellington wykonał go tylko dwa razy: jeszcze za życia Strayhorna podczas koncertu w Carnegie Hall, a następnie w studio, trzy miesiące po śmierci przyjaciela, na poświęconej jego pamięci płycie „...And His Mother Called Him Bill". Czy ten pozamuzyczny kontekst wpływa na interpretację pół wieku później?

– To wszystko zawsze jakoś tkwi w muzyce – mówi Frisell. – To nie są tylko nuty na kartce papieru, tylko opowiadanie, historia, która nieustannie się zmienia. Co dzień coś zaprząta ci głowę, zwłaszcza teraz, gdy oglądasz wiadomości, wydaje się, że codziennie coś się wali. Muzyka pomaga mi sobie z tym wszystkim poradzić. W tym też tkwi siła tych piosenek: potrafią cały czas odbijać rzeczywistość.

3

Książka Philipa Watsona nosi podtytuł „Gitarzysta, który odmienił brzmienie muzyki amerykańskiej". Kiedy zwracam na to uwagę, Frisell uśmiecha się i tłumaczy, że nigdy nie było to jego intencją. Przeciwnie: jego muzyka i brzmienie czerpią swoją siłę właśnie z szacunku, podziwu i przywiązania do wielkich poprzedników: gigantów jazzu, jak Jim Hall, Thelonious Monk czy Miles Davis, ale też klasyków amerykańskiej muzyki poważnej (Aarona Coplanda, Edgara Varèse'a), folku (Pete'a Seegera czy Boba Dylana), rock'n'rolla, bluegrassu...

Pewnej nocy Frisellowi przyśnił się niezwykły sen. Przemierzał w nim nieznany mu neogotycki pałac. W bibliotece, wśród mahoniowych regałów, przy niewielkim stoliku dostrzegł trzech zakonników. „Pokażemy ci rzeczy takimi, jakie są naprawdę" – obiecywali. Pierwszy otworzył przed nim drewnianą szkatułkę. Były w niej kostki: prawdziwie czerwona, prawdziwie niebieska i prawdziwie zielona. Kolory były tak intensywne, że ich blask oślepiał. „Słyszeliśmy, że jesteś muzykiem – powiedział drugi mnich. – Czy chciałbyś usłyszeć muzykę taką, jaka jest naprawdę?". Wtedy bibliotekę wypełnił czysty i bardzo materialny dźwięk.

– To był każdy utwór muzyczny, każdy dźwięk, który usłyszałem, a może wymyśliłem: wszystkie połączyły się w najbardziej harmonijną, piękną, doskonałą muzykę. I wtedy się obudziłem – wspomina gitarzysta.

Aha, ten trzeci zakonnik już nic nie dopowiedział. © KAJETAN PROCHYRA

Charlesa Lloyda i Billa Frisella będziemy mogli usłyszeć na żywo 5 lipca w łódzkim Klubie Wytwórnia podczas otwarcia 15. Edycji Letniej Akademii Jazzu.

WARTO ZOBACZYĆ

1. The Beatles: Get Back

Miniserial dokumentalny, reż. Peter Jackson, Wielka Brytania/ /Nowa Zelandia/USA 2021, Disney+

Opuściwszy uniwersum Tolkiena i okopy I wojny światowej, nowozelandzki reżyser zabiera nas do Londynu 1969 roku, kiedy powstawał album „Let It Be". Za pomocą archiwaliów odtwarza atmosferę pracy nad tą legendarną płytą. W trzech częściach (i prawie ośmiu godzinach!) wykorzystuje nieznane dotąd materiały nakręcone do filmu pod tym samym tytułem.

2. Paweł Łoziński

Przegląd, DAFilms

Retrospektywa twórczości jednego z wybitniejszych polskich dokumentalistów, autora „Filmu balkonowego", mistrza obserwacji i rozmowy, obejmuje zarówno wczesne tytuły szkolne, jak i te najbardziej uznane. Są wśród nich „Siostry", „Taka historia", „Pani z Ukrainy", „Inwentaryzacja" czy „Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham".

3. Hans Zimmer: Live in Prague

Koncert, reż. Tim Van Someren, Wielka Brytania 2017, Sundance TV, 1 VII, 9.40, 17.40

Zanim twórca muzyki do „Diuny" i „Nie czas umierać" ruszy w kolejną trasę, przypomnijmy sobie wcześniejsze o kilka lat tournée, podczas którego zaprezentował utwory m.in. z „Gladiatora", „Incepcji", trylogii „Mrocznego rycerza" czy „Piratów z Karaibów". Wystąpił w otoczeniu 72 muzyków, raz jeszcze zamieniając koncert muzyki filmowej w olśniewający spektakl.

4. Pałac

Dramat, reż. Tadeusz Junak, Polska 1980, 35mm.online

Niegdyś ostro krytykowany przez Andrzeja Wajdę za „pozory oryginalności", dziś może stanowić ilustrację dla „ludowych historii Polski". Debiut Junaka to nie tylko rozbuchana formalnie adaptacja prozy Wiesława Myśliwskiego. To także wizja konfliktu klasowego, która źle wpisuje się we wszelkie konserwatywne projekty wspólnotowe.

MATERIAŁY PRASOWE WARNER BROTHERS

Kadr z film „Elvis"

Król Ameryki

ANITA PIOTROWSKA

Oglądamy film kostiumowy w podwójnym tego słowa znaczeniu: jego sztuczny świat nie ukrywa swego przebrania. Opera mydlana, którą stało się życie Elvisa Presleya, obnaża patologiczne mechanizmy w przemyśle rozrywkowym.

Po kimś, kto dwie dekady temu nakręcił „Moulin Rouge", a wcześniej tak pięknie uwspółcześnił „Romea i Julię", nie można było spodziewać się jedynie „biopiku" o Elvisie. Australijski reżyser Baz Luhrmann robi filmy rzadko i może dlatego nie wytraca swej energii. Jego kino działa z mocą zderzacza hadronów. Jest maksymalnie rozpędzone, elektryzujące i eklektyczne, naładowane wizualnymi pomysłami, ale też emocjami. Gdyby jednak potraktował Presleya wyłącznie jak ikonę-legendę, którą należy zrekonstruować lub zdekonstruować w imię spektaklu, jego najnowszy film, „Elvis", byłby po prostu przeskalowanym fajerwerkiem. Tymczasem film ma ambicje, żeby być czymś znacznie więcej.

Sprzyja temu sprytny zabieg narracyjny. Historię Elvisa opowiada nam bowiem jego największy sprzymierzeniec, a z czasem największy wróg, współtwórca kolejnych wizerunków i jungowski cień, czyli „pułkownik" Tom Parker – wieloletni menedżer, manipulator, hochsztapler. Luhrmann skradł ten pomysł wprost z „Amadeusza", gdzie głos Salieriego zza kadru brzmiał jak opowieść szaleńca i ogarniętego resentymentem „przegrywa", stąd nie mógł być wiarygodny, przemawiał za to językiem uniwersalnego mitu. W „Elvisie" mówi do nas zaś superłotr, który u progu śmierci nadal ogrzewa się presleyowską legendą,

pędząc przez dwadzieścia lat amerykańskiej historii i wlokąc za sobą stojak z kroplówką. Zastosowana subiektywizacja zawęża perspektywę filmu, który na pierwszy rzut oka wydaje się dziełem totalnym. A Luhrmann traktuje to jako świetne usprawiedliwienie – opowiada wszak o człowieku, z którego zrobiono produkt.

Nic też dziwnego, że aktorstwo i piosenkarstwo Austina Butlera kojarzy się z obwoźnymi hologramami, jakimi próbuje się dziś wskrzeszać dawne bóstwa, by ciągle dało się na nich zarabiać. Sam Luhrmann chciałby jednak odciąć się od tak pojętej eksploatacji. Dlatego w rozbuchanej historii ubogiego chłopaka z Memphis, który został królem Ameryki, przegląda się krytyczna opowieść o niej samej. Nie przypadkiem w szemranego „pułkownika" wciela się Tom Hanks, ukryty pod charakteryzacją, obsadzony wbrew emploi, mrugający do naszych popkulturowych skojarzeń (to mały Forrest Gump uczył przecież Elvisa tańczyć). Jednocześnie reżyser znany z tego, że lubuje się zarówno w celebrowaniu ekstazy, jak i romantyzowaniu upadku, widzi w Elvisie upadły *American dream*, hybrydę komiksowego superbohatera i nowego obywatela Kane'a. Z kalejdoskopu obrazów relacjonujących fabrykowanie gwiazdora wyłania się kraj rządzony przez rasę, kasę i przemoc.

Luhrmann usiłuje więc stworzyć produkt ulepszony, widząc w Elvisie ikonę ważnych przemian – tych obyczajowych, zwiastowanych przez skandalizujące ruchy ciała i queerowy wizerunek, i tych rasowych, jako biała twarz równouprawnienia Afroamerykanów, od których on, dzieciak z głębokiego Południa, zapożyczał „murzyńskie rytmy". Reżyser próbuje skonstruować pomost między lękami i pragnieniami bohatera a zbiorowym stanem umysłu przeoranego przez polityczne zamachy, owładniętego coraz większą konsumpcją, zwątpieniem w instytucje państwa i ucieczką w miraże show biznesu. Robi to, na szczęście, z dużym wdziękiem i biglem. Jego stusześćdziesięciominutowe show (pierwotna wersja trwała cztery godziny) ani na moment nie traci wigoru. W tym czasie Butler ma na sobie aż dziewięćdziesiąt przepysznych kostiumów, nożyczki montażowe pracują jak oszalałe, wszystko się mieni, błyszczy, namnaża, a z ekranu spływają nie tylko kawałki w wykonaniu Butlera i Presleya, lecz i współczesny hip-hop.

Oglądamy zatem film kostiumowy w podwójnym tego słowa znaczeniu: zasysając nas w swój sztuczny świat nie ukrywa jego przebrania. Bierze w cudzysłów operę mydlaną, którą stało się życie Elvisa, by obnażać patologiczne mechanizmy nasilające się wówczas w przemyśle rozrywkowym. Dlatego puchnący, coraz bardziej karykaturalny Presley zamiast budzić współczucie, do końca pozostaje metaforą. Kiedy „pułkownik" oskarża, że to my zabiliśmy Elvisa naszą miłością, jest z pewnością coś na rzeczy, aczkolwiek mówi tym więcej o nas niż o nim. I nawet wtedy, gdy retrospekcje przywołują rodzinny oraz kulturowy pejzaż, w jakim Presley dorastał, nie udaje się przeniknąć jego persony. Ani tej scenicznej, ani odbitej w cynicznym spojrzeniu „pułkownika". Jeśli w tym filmie Elvis żyje, to raczej w piosenkach i ich żywiołowych wykonaniach, podanych tutaj na sterydach, z rozmachem godnym luksusowego hotelu w Las Vegas. ©

ELVIS – *reż. Baz Luhrmann. Prod. Australia/ /USA 2022. Dystryb. Warner. W kinach.*

TP FELIETON

JAN

Klata: *Monetyzacja martwych*

Najbogatszy człowiek na Ziemi, niejaki Jeff Bezos, wychodzi z założenia, że jedynie monetyzacja wszystkiego, co się rusza, zapewnia jego korporacji dominację. Nie dziwota przeto, że jego Amazon jest wszędzie, w każdym obejściu, że wie o nas, śmiertelnikach, więcej, niż sami ośmielamy się o sobie pomyśleć. Ale ten rynek jest skończony, wszyscy żywi już zagospodarowani, wszystkie włosy na ich głowach policzone, a zatem czas na umarłych.

Na dniach gruchnęła wieść, że sprzęt Amazona będzie mieć możliwość mówienia głosem zmarłego. Którego zmarłego? Korporacja twierdzi, że jej urządzenia są w stanie z jednej minuty nagranego materiału dźwiękowego zrobić nam dowolny dźwiękowy awatar. Wystarczy poczekać, aż dany klient przeniesie się na tamten świat, i zaoferować jego bliskim nową dźwiękową usługę... dajmy na to, spersonalizowaną pogodynkę albo samochodową nawigację.

W zeszłym stuleciu ekscentryczny doktor Konstantin Raudive nagrywał głosy zmarłych, polecam płytę „The Voices of the Dead", ale Jeff Bezos przeniesie naiwnie chałupniczą ideę w inny wymiar. Po przedśmiertnym skatalogowaniu głosów wszystkich istot żywych (to już mamy z głowy), korporacja z pewnością znajdzie sposób, aby uzyskać głosy martwych, działając retroaktywnie. Wtedy otworzą się bramy zaświatów i (za drobną opłatą) przemówią martwe dusze.

Wschodnia Europa jawi się jako szczególnie przyszłościowy rynek dla wizjonerskiego produktu koncernu Amazon. Wydaje mi się, że u nas będą się sprzedawać miliony egzemplarzy asystenta głosowego Alexy, zwłaszcza 1 listopada każdy będzie chciał pojechać na groby z jedną lub kilkoma sztukami takich urządzeń, żeby pogadać z bliskimi. Wniebogłośny chór zmarłych będzie się klimatycznie komponował ze światłem zniczy. Obole się posypią. Już słyszę ich stukot o lastryko. ©

OBIEŻYKRAJ

ADAM ROBIŃSKI, KRAJOZNAWCA:

Zawsze jest coś do odkrycia. Zwłaszcza że trasy podpowiadane przez Google'a często kończą się tam, gdzie zostawiliśmy samochód. Żeby iść dalej, musimy zaryzykować.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

↦ **ADAM ROBIŃSKI:** Jak zadzwoniłeś i powiedziałeś, że chcesz rozmawiać o pomysłach na wakacje, to pomyślałem, że zabiorę cię w miejsce, które posłuży za metaforę. Możesz schować kalosze do bagażnika.

MICHAŁ OKOŃSKI: O, jaki zapas wody.
Zostało mi z imprezy. Dwa dni temu skończyłem 40 lat.

Imprezowaliście w samochodzie?
Nad Wisłą, pod mostem Poniatowskiego. Generalnie nie obchodzę urodzin, ale tym razem uznałem, że powtórzymy coś, co zrobiliśmy 10 lat temu, na trzydziestkę. Mieszkałem wtedy z przyszłą żoną na Saskiej Kępie, chodziłem na mecze, bo trwało Euro 2012, i to był najbardziej imprezowy czas w moim życiu. Wróciliśmy teraz z przyjaciółmi w to samo miejsce, też była piłka, tylko grały w nią już nasze dzieci, a my gadaliśmy o nowotworach.

Tych 10 lat to mnóstwo podróży, z których niejedną opisałeś w „Tygodniku". Trzy książki. Nominacje i nagrody.
Ale wszystko zaczęło się właśnie tutaj. To osiedle, na którym się wychowałem. Przeprowadziliśmy się w 1989 r., bo pierwsze lata życia spędziłem na Marymoncie.

Tam patrzyłeś na świat z wysokości 10. piętra, tu uciekałeś przed „chłopakami z Pragi", jak czytałem w „Hajstrach". Po tej kostce uciekałeś?
Wiesz, co to za kostka? To średniowieczny trakt z Warszawy do zamku książąt mazowieckich w Czersku. Rycerze tędy jeździli.

Przypominają mi się rozsiane po Europie drogi rzymskie.
A jesteśmy w Warszawie. Z tej strony jest skarpa ursynowska, a dalej Wilanów. Fajne miejsce, bo las stanowi naturalną granicę rozwoju miasta. Mój ojciec budował to osiedle, mieszkałem tu do końca studiów, potem się wyprowadziłem, ale teraz wróciłem, tylko jakieś 100 metrów dalej.

Dużo się zmieniło?
Powstał ten płotek przed nami, zaraz ci powiem, dlaczego.

Widzę: otacza jakieś wielkie drzewo.
To słynny „Mieszko". Może mieć nawet 700 lat, jest najstarszym dębem na Mazowszu, ostańcem mazowieckiej puszczy. Dwa lata temu podpalił go jakiś pijak, więc został ogrodzony.

Bez sensu.
Wcześniej można było usiąść z dzieciakami w cieniu wielkiego dębu, przytulić go, spróbować opasać. Odgrodzono drzewo od ludzi dla jego własnego bezpieczeństwa...

I to ma być ta metafora, o której mówiłeś?
Nie, dopiero teraz będzie. Odwróć się. Co widzisz?

Ścianę lasu.
Popatrz uważniej.

Tabliczkę z napisem „Rezerwat"?
A tamte drzewa?

To też dęby?
I też stare. Po jednej stronie masz ogrodzone i wyeksponowane drzewo, które ma nawet swoje imię w naszym języku. A po drugiej jest ich co najmniej kilka. Też pomniki przyrody. Też mają swoją historię. Są dziećmi tamtego. Idziemy wzdłuż płotu i ich nie zauważamy.

Zaczynam rozumieć: czasami wystarczy się odwrócić.
Ten rezerwat był przez długi czas moim wyrzutem sumienia. Mieszkałem 500 metrów od niego, a nigdy nie byłem w środku. Kilka lat temu, podczas Nocy Muzeów, pojawiła się możliwość zwiedzenia go z przewodnikiem, ale jakoś zawsze było mi nie po drodze. Tej wiosny się zmobilizowałem. Zapisaliśmy się z tatą na wycieczkę i w środku oniemiałem. Przez 30 lat miałem za płotem coś, o czym biolodzy mówią, że jest tak cenne jak rezerwat ścisły w Puszczy Białowieskiej. Niespenetrowane, wspaniałe i dzikie.

Nic nie wiedziałeś?
Wiedziałem, że żyje tam para bocianów czarnych, widuję je czasem nad blokami. Akurat trafiliśmy w miejsce, gdzie budowały nowe gniazdo. Przerażony przewodnik przeganiał wycieczkę, żeby im nie przeszkadzać i nagle mu się wyrwało: „Jezus Maria, łoś!". Pierwszy raz w życiu musiałem wybierać, czy patrzeć na czarnego bociana, czy na łosia.

I wszystko to w granicach Warszawy, w zasadzie bez wysiłku, za darmo.
Skojarzyło mi się to z takim cyklem książek fantasy dla dzieci, „Las ożywionego mitu" Roberta Holdstocka, w którym mowa o tym, że w Europie zachowały się fragmenty pierwotnej puszczy, gdzie fizyczności nabierają odwieczne ludzkie mity. Paleolityczni szamani, Robin Hood, rycerze króla Artura... Chodzę więc teraz wzdłuż tego płotu i myślę, że biegają za nim tury, a kiedy drzewo zwaliło się na ogrodzenie, żartowałem z dziećmi, że to welociraptory uciekły.

Skoro mnie tu przyprowadziłeś, to rozumiem, że proponujesz w trakcie wakacji zejście z utartych ścieżek. Niepodążanie za trendami wyznaczanymi przez gwiazdki w przewodniku.
Podczas Festiwalu Conrada rozmawiałem z pewnym Norwegiem, który wydał książkę o mapach. Powiedział, że jak się jedzie przez Londyn czy Nowy Jork double-deckerem i przewodnik mówi, że po lewej jest Buckingham Palace albo Chrysler Building, to trzeba patrzeć w przeciwną stronę. A po co mamy jechać na drugi koniec świata czy Europy, męczyć się, wydawać mnóstwo pieniędzy, skoro takie przygody czekają w Polsce?

Wielu z nas się wydaje, że w Polsce wszystko zostało już odkryte i zadeptane, tymczasem z Twoich książek bije przekonanie o fałszywości tego stereotypu. „Każdy ma prawo do wielkich odkryć", cytujesz w „Hajstrach" Xaviera de Maistre'a, który opisywał wyprawy dookoła swojej sypialni.

Po pierwsze, nie wszyscy wszędzie byli. Jak wydałem „Kiczery", usłyszałem od tylu ludzi, że nigdy jeszcze nie byli w Bieszczadach.

Nie boisz się, że znajdą się w długim ogonie podchodzących najkrótszą drogą na Połoninę Wetlińską, albo w jeszcze dłuższym na Tarnicę?

Obaj wiemy, że istnieją też Bieszczady kompletnie puste, gdzie nocą w pobliżu słychać wycie wilków. Owszem, z pewną rezerwą myślę o Tatrach, zwłaszcza widząc te zdjęcia szaleństwa wokół krokusów i tłumy pod Giewontem, ale przecież zawsze można tam pojechać w październiku.

Na wakacje jednak zalecam taką metodę: otwieram mapę Polski i wyszukuję miejsca, które nie budzą we mnie automatycznych skojarzeń. Niby zajmuję się tym zawodowo, piszę książki krajoznawcze, a ciągle mam poczucie, że tego jest mnóstwo. Owszem w lipcu wyruszę też z rodziną do Estonii, która zachwyciła mnie już przed rokiem, kiedy zacząłem pracę nad książką o Bałtyku, ale potem pojedziemy nad Pilicę, godzinę od Warszawy, a potem na Jurę Krakowsko-Częstochowską. Jako krakus wzruszysz pewnie ramionami, bo dla was Jura to jak dla nas Puszcza Kampinoska: jedziesz na chwilę i nigdy nie pomyślisz, żeby naprawdę się zatrzymać.

Żyjemy w świecie, w którym wszystko coś kosztuje, a na tej łące wszystko jest za darmo. Mógłbym tu siedzieć cały dzień, ucinając sobie jeszcze drzemkę przy okazji, a potem wrócić jako lepszy człowiek.

Był taki czas, że co tydzień wyciągałem dzieci na spacer w Dolinki Krakowskie. Potrzebowały motywacji w postaci obiadu w Ikei, która u nas jest położona przy wylotówce w stronę Jury.

Założę się, że nie widzieliście nawet jednej dziesiątej z tego, co warto zobaczyć. Oniemiałem, jak pojechałem do Andrzeja Muszyńskiego na wywiad i zobaczyłem Powroźnikową Skałę. Dolina Rodanu się nie umywa.

Zawiozę cię teraz w to miejsce, o którym ci wspomniałem przez telefon. I wiesz, mam taką myśl: może nie powiemy czytelnikom, dokąd?

Czytałem już książki podróżnicze, których autorzy świadomie mylili tropy, żebyśmy nie mogli zbyt łatwo pójść za nimi.

Nie boję się, że ktoś mi to miejsce odbierze. Chodzi mi właśnie o tę metaforę zwykłego, powszedniego miejsca, które masz tuż za progiem i w którym możesz odkryć dziką przyrodę.

Na czym polega haczyk?

Nie ma żadnego. Może tyle, że na pierwszy rzut oka to miejsce wydaje się niedostępne i że lepiej pójść tam z przewodnikiem. Zwykle jak człowiek staje przed ścianą pokrzyw albo widzi jakiś podmokły teren, to myśli, że nie ma sensu dalej się zagłębiać, bo za duże ryzyko, a poza tym komary i kleszcze... Ale ono jest na tyle niewielkie, że pozwala nabrać śmiałości w eksploracji.

Czyli pierwsza jest jednak nieśmiałość?

Ja się wychowałem w mieście. Bawiłem się w chaszczach między blokami, więc dzika przyroda mnie, owszem, onieśmielała. Długo wyobrażałem sobie, że jestem małym hobbitem skulonym pod wykrotem i chowającym się przed czarnymi jeźdźcami.

No ale zostałeś w końcu podróżnikiem.

Nie lubię tego słowa.

Wolisz „wiercipiętę", którego parę razy użyłeś w książkach?

Nieżyjący już Arkadiusz Szaraniec mówił „obieżykraj". Fajne, bo nie ma patosu „obieżyświata" i nie uzurpuje sobie wielkich dokonań, a opisuje czynność, jaką jest chodzenie po kraju.

Rozumiem, że nie czujesz się dzieckiem natury, połączonym z nią na skutek długiego obcowania. Wielu ludzi – także przez Ciebie spotykanych i opisywanych w „Tygodniku" rdzennych – pewnie tak by o sobie powiedziało.

Nie wydaje mi się, żeby w dzisiejszym świecie, przynajmniej tym, który znam, dało się tak czuć. Gra toczy się o coś innego: żeby kolektywnie zaakceptować obecność tej natury po sąsiedzku. Nawet niekoniecznie się z nią zaprzyjaźniać, bo przecież ona wcale nie jest czymś przyjaznym.

Ulica Opieńki. Zbierałbym.

Tu się kończy Powsin, a tam masz Las Kabacki.

Wiesz, miejsce, w które jedziemy, nie ma szans na zadeptanie. To jest Mazowsze, jak mawia Lechosław Herz: wytrawny krajobraz, mając na myśli sosny na piachach aż po horyzont i bagna, gdzie śmierdzi zgnilizną. Czasem ktoś faktycznie próbuje iść tam na grzyby, ale zwykle jest za dużo wody, żeby przejść. Raz nawet odbiliśmy się, jak przywiozłem rodzinę: był październik, chłodno, żona powiedziała, że nie będziemy się moczyć, a kiedy zawróciliśmy, minęli nas inni ludzie. Pozdejmowali spodnie i przeszli, wołając: „wszystkie grzyby nasze!".

Skąd się oni biorą? Tacy, co chodzą po lasach, ale też tacy, co czytają Twoje książki?

To po części ludzie tacy jak ja: mieszczuchy, które widziały trochę świata, ale potem założyły rodziny. Mają inne priorytety, ale nie chcą całkiem zrezygnować z tego, co było kiedyś, więc zaczynają jeździć po Polsce w weekendy. Coś podobnego robili zresztą ich rodzice i dziadkowie, tylko nie nazywali tego hipstersko krajoznawstwem.

↦

↦ Ale na spotkania autorskie i festiwale przychodzą też ludzie starsi, którzy odnajdują w moim wałęsaniu się po Polsce swoje wspomnienia. Widzą siebie sprzed lat i wspominają czasy beztroski.

Beztroski?

No właśnie. Przecież w moim życiu nie ma jej za grosz. Być może wbrew obrazowi wykreowanemu w książkach, przede wszystkim jestem rodzicem, a dopiero potem pracuję nad tekstami.

Mój starszy syn choruje na cukrzycę typu pierwszego, a ja jestem przyspawany do smartfona, na którym kontroluję jego odczyty cukru. Gdy w południe Kazik wraca ze szkoły, dla mnie kończy się wszelka praca. Od dwóch lat wszelkie wyjazdy wymagają nieustannej logistyki: kiedy żona ma luźniej, kiedy babcia może pomóc itp.

W książkach faktycznie tego nie widać. Może poza podziękowaniami dla najbliższych w dedykacjach. Zastanawiałem się, jak przyjmują to, że znikasz.

Ale czy ja znikam? Przez pięć dni jestem i zajmuję się dziećmi w zasadzie non stop. Andrzej Muszyński pięknie powiedział, że nawet jak jedzie na Atacamę, musi mieć w kieszeni klucze od domu, Robert Macfarlane z kolei, że jest autorem literatury drogi, który nie lubi podróżować. Ja bardzo lubię podróżować, ale to nieznaczny element mojego życia.

No, dojechaliśmy. Czas założyć kalosze.

Kalosze? Ty zakładasz wodery.

Nic się nie bój. Chodzi o to, żebym wiedział, którędy cię poprowadzić.

Na jak długo idziemy?

Na jak długo chcesz.

No i zobacz: ściana pokrzyw. Komu chciałoby się przez nie przechodzić?

Podnoszę ręce wysoko. A kleszcze?

Później na łące może być ich sporo, ale ja mam takie szczęście, że mimo całego wiercipięctwa nigdy żadnego nie złapałem, choć łaziły po mnie mnóstwo razy. Zawsze, jak o tym mówię, to sobie myślę, że na pewno dziś będzie ten pierwszy raz...

Zobacz: malowniczy, zarośnięty kępami wierzby staw. W latach 60. mieszkańcy tej okolicy umyślili sobie, że chcą mieć kąpielisko. Wcześniej było tu bagienko, trochę je uregulowano. Tu, gdzie stoimy, był kiosk z drożdżówkami. Wiem, bo kolega, który mieszka niedaleko, zrobił całe śledztwo dotyczące tego krajobrazu.

Jak mówiłeś o beztrosce, pomyślałem, że w Twoich książkach dużo jest czasu pionierskiego. Pokolenia rodziców czy dziadków, ojców założycieli krajoznawstwa, którzy – jak wspomniany Herz czy Mieczysław Orłowicz – wytyczali pierwsze szlaki turystyczne na Mazowszu czy w Bieszczadach. Tylko czy ten czas pionierski nie skończył się wraz z nimi?

Zawsze jest coś do odkrycia. Nasze pokolenie zamieniło szlaki, które oni rysowali, na trasy podpowiadane przez Google'a, ale zauważ: te trasy często kończą się tam, gdzie zostawiliśmy samochód. Czegoś, czego nie ma w internecie, nie da się już tak łatwo „sprawdzić". Trzeba zaryzykować.

Po obejrzeniu filmu „Duch śniegów" chciałem wiedzieć, jak powstał. Pisarz, który pojechał do Tybetu z fotografem, żeby poznać świat śnieżnej pantery, nazywa się Sylvain Tesson. Kilkanaście lat temu spadł z dachu. Przeżył, ale leżąc w szpitalu obiecał sobie, że przejdzie pieszo całą Francję. W trakcie tej pielgrzymki napisał, że ścieżki wydeptane przez zwierzęta są najniższym stopniem nomenklatury dróg. Ogromnie mi się to spodobało: autostrady, drogi ekspresowe, drogi wojewódzkie, drogi inne i wreszcie drogi saren. Ile razy wchodziłeś na czyjś trop nie zdając sobie sprawy, że wcale nie ludzką ścieżką idziesz, a np. rodziny dzików?

Doszliśmy. Fajna sprawa, słyszysz?

Droga.

Ona jest 50 metrów stąd. A tutaj, choć może trudno w to uwierzyć, jest rzeka, przed wiekami oddzielająca włości dwóch rycerzy. Jeszcze niedawno było w niej pełno wody, teraz idziemy po suchym dnie, ale jak dojdziemy do tamy, zobaczysz jej mnóstwo. Zainteresowałem się tym miejscem, kiedy zacząłem pisać „Pałace na wodzie". To centrum lokalnego życia pozaludzkiego. Możesz spotkać łosia, zimorodki i wydry. Rodzina dzików łazi, nietoperze latają.

Ciekawe, co to za rośliny. Wyglądają jak jakieś mikrobambusy, poczekaj, sprawdzę. Jest taka pożyteczna aplikacja, która rozpoznaje... Kropidło wodne.

Ogromne to kropidło wodne.

Kojarzysz didgeridoo? Instrument dęty Aborygenów? W polskich realiach można go robić z barszczu Sosnowskiego, który też bywa gruby i wydrążony w środku. Ważne, żeby łodyga była wysuszona, bo barszcz może strasznie poparzyć.

A tu gąszcz taki, że nie ma którędy przejść. Dżungla jak na filmach wojennych z Wietnamu. Jeszcze ta wilgoć przy dzisiejszej temperaturze...

Rozumiem, że jesteśmy pośrodku rzecznej doliny.

Te doliny to kolejny pomysł na wakacje. Znajomi spływali w długi weekend Wisłą od Kozienic do Warszawy. Rozbijali się gdzieś przy brzegu albo na bezludnych wyspach, wieczorami palili ogniska. Naprawdę nie trzeba w Tatry albo nad Bałtyk: Wisła jest jedną z wizytówek Polski i kompletnie jej nie znamy.

Dla kogoś, kto się interesuje roślinami, to miejsce musi być rajem. Parę tygodni temu było żółto od kosaćców. Krzaki mięty mają z półtora metra: jak wracam do domu, to sobie biorę do zaparzenia.

Uważaj, bo tu są zatopione jakieś pniaki.

Tama.

To kręgosłup wszystkiego. Jakbyś to zobaczył z góry, dostałbyś krajobraz innej planety. Wodne labirynty. Dywany zieleni, która ma różne odcienie. W zimie różne odcienie szarości...

„Wędrowcze, nie bój się, nic złego cię tu nie spotka, tylko uniesienie", napisałeś w „Hajstrach".

Tak, to są te momenty, w których doznaję uniesień.

Przejdziemy po niej?

A to są te momenty, w których trzeba podjąć decyzję: jeśli stracisz równowagę, czy spadasz do głębokiej wody i ryzykujesz utopieniem aparatu, czy na drugą stronę, gdzie się możesz nieźle połamać.

Może po prostu nie stracę równowagi.

Odsuniesz te krzaki? Zobacz: kopczyk zapachowy bobra. Kiedy jest świeży, unosi się nad nim słodki aromat piżma. Mógłbym się wytarzać, wrócić do domu i zachwycić żonę. Klasyczne znakowanie terytorium, sygnał dla innych bobrów: „Tu żyje rodzina, nie wchodzić".

Teraz chyba zawrócimy, bo może być za głęboko. Czy to jest ryba?

Raczej wielka kijanka.

Ale ryba też przepłynęła. Fantastycznie, bo kiedy w jakimś miejscu pojawiają się ryby, wiesz, że zaraz będzie tam masa innych stworzeń, np. czaple.

Żona mi ostatnio powiedziała, że według jakichś badań jako ludzie 90 proc. czasu spędzamy w zamkniętych pomieszczeniach. Przecież to przerażające, przeżyć prawie całe życie pod dachem, a często także bez jakiegoś szerszego widoku. W komforcie, który jest tak naprawdę pozorny.

Tutaj jest naprawdę pięknie.

Werner Herzog potrafi w swoich filmach pokazać ziemię jak obcą planetę. Myślę o tym, jak o nanoszeniu na znany nam obraz kolejnych warstw albo filtrów Photoshopa. Niby ciągle patrzysz na to samo, ale widzisz coś zupełnie innego. Zanim się zacząłem zajmować bobrami, chodziłem przecież trochę po Polsce, a nie zdawałem sobie sprawy z ich obecności. Teraz widzę je wszędzie.

A moja ostatnia zajawka to nietoperze. Byliśmy w zeszłym roku na wakacjach w Beskidzie Niskim. Ja w takich sytuacjach staram się nie myśleć o pracy, ale któregoś dnia pojechaliśmy do Izb i przypadkiem trafiliśmy na lokalny festiwal. Akurat się odbywał wieczór z nietoperzami, pani zaprosiła chętnych w okolice cerkwi, gdzie mieszkają, i opowiadała o nich przez dwie godziny w taki sposób, że wpadłem po uszy. Jeszcze zobaczyłem, jak wylatują nocą na łowy.

Pamiętam, że napisałeś potem tekst do „Tygodnika".

No a teraz kupiłem sobie urządzenie, które się nazywa detektor heterodynowy, ono przekłada ultradźwięki na coś, co możemy usłyszeć. Czasami szwendam się tu cały wieczór, a potem wracam nad staw, od którego zaczęliśmy, siadam i nasłuchuję. Wiesz, echolokacja polega na tym, że nietoperze w zasadzie cały czas krzyczą. To mocna rzecz, usłyszeć, że w tym sielskim krajobrazie jest tyle dźwięku.

Każdy powód jest dobry, żeby wyruszyć. Po tolkienowsku wychodzisz za próg, improwizujesz i na każdym kroku coś się wydarza. Krajoznawstwo jest fajne, bo pozwala na wiele bez nakładania presji.

My teraz słyszymy ptaki. Brzęczą ważki. Chlupie woda pod naszymi stopami. Co jakiś czas dobiegają odgłosy samochodów.

A tam masz żaby, nietoperze i ptaki, które nie zdążyły jeszcze zamilknąć przed nocą. Kolejna warstwa, już nie tylko obraz, ale i dźwięk.

I wszystko to 20 minut od domu.

A wiesz, że gatunki nietoperzy możesz rozpoznać w locie dzięki częstotliwości, na której echolokują? Wizualnie nie jesteś w stanie tego zrobić.

Zapytałeś mnie na początku, dlaczego ja to robię, prawda?

Pewnie chciałem zapytać.

Dla mnie to taki Netflix. Masz poczucie, że siadasz i tyle się dzieje, że nie starczy doby, żeby się tym nacieszyć.

Pamiętam, jak cytowałeś kiedyś Rogera Deakina, który podróżując przez Polskę opisywał nie jakieś tam domy z drewna, tylko za każdym razem pisał, z jakiego gatunku drzewa zostały zbudowane. Jak lutnik, który patrząc na gitarę, widzi nie drewniane pudło, tylko klon i świerk albo mahoń i palisander.

Ale żeby zacząć to widzieć, w pewnym momencie trzeba się zatrzymać. I odkrywać nie tylko kolejne warstwy, ale i skale. Zobacz: usiedliśmy. Mamy dookoła krajobraz doliny rzecznej nizin, ale pod stopami metr kwadratowy wody. A w niej rośliny, kijanki, ślimaki, nad nimi ważki, tyle przejawów życia...

Mamy taki zimowy rytuał, że oglądamy *reality show* „Ucieczka na wieś". Brytyjskie rodziny wyprowadzają się z miasta i szukając nowych domów w sielskim krajobrazie przeżywają rozmaite przygody. W jednym z odcinków pewna pani organizowała „zajęcia dla przepracowanych". Brała ich na łąkę, wyznaczała taśmą metr kwadratowy i kazała ją zinwentaryzować. Niekoniecznie nazwać wszystkie gatunki, ale chociaż je wskazać. Nie mogli przestać. I my teraz chyba też robimy coś podobnego.

Ale fajna zabawa.

I jeszcze jeden aspekt: żyjemy w świecie, w którym wszystko coś kosztuje. Ekonomia tworzy bariery nie do przejścia, szczególnie w czasach drożyzny. Coraz częściej mówię: „Mnie na to nie stać", a tu mam wszystko za darmo. Gdybym nie miał jakichś zobowiązań, siedziałbym tu cały dzień, ucinając sobie jeszcze drzemkę przy okazji, a potem wracał jako lepszy człowiek.

Zobacz, a tam przeszło coś w większej skali. ↦

↦ **Łania.**

Sam widzisz. Pójdziemy teraz na drugi brzeg.

Poczekaj, a co to jest?

Fotopułapka, którą postawił lokalny aktywista. A skoro ją postawił, to znaczy, że musi tu być spora aktywność bobrów. Poproszę, żeby przysłał nam zdjęcia, zrób tylko miły uśmiech.

Tam dalej jest żeremie, wejdę do wody i ci pokażę wlot do jamy bobrów. Tutaj mamy klasyczny wodopój. Ten fragment rzeki był przed rokiem niedostępny, ale jak masz w sobie cierpliwość, to wiesz, że prędzej czy później zdołasz gdzieś wejść.

No i jest drzewo-obserwatorium. Przewaliło się tej zimy pod śniegiem i pochyla się nad łąką. Kiedy poniżej stoi woda, to bobry, które nie mają naturalnych wrogów w powietrzu, niczego się nie obawiają. Włazimy, tylko lepiej nie spadnij, poniżej może być głęboko.

Może to nieprawda, że tego się nie da zmonetyzować. Może są ludzie, którzy chętnie zapłacą za taki surwiwal.

Rebecca Solnit napisała, że ludzie płacą grube pieniądze za karnet na siłownię i się zamęczają, wykonując czynności, które kiedyś były elementem ich codziennego życia.

Myślałem o tym, że często cytujesz innych autorów. Podróżników, przewodników, ludzi, których spotkałeś, albo takich, którzy zapisali coś wiele lat temu.

Mam wtedy wrażenie, jakbym szedł obok nich. Ale staram się wybierać miejsca, w których stać mnie na własną refleksję. Żeby nie przegadać swojego pisania cytatami. I nie skupiać się na dębie Mieszku kosztem pozostałych.

A co myślisz o takich wakacyjnych pomysłach, jak np. przejście Głównego Szlaku Beskidzkiego, przejechanie Wiślanej Trasy Rowerowej albo zdobywanie Korony Gór Polski? Niektórzy chcą mieć jasno wytyczony cel, a najlepiej wyzwanie.

Każdy powód jest dobry, żeby wyjść z domu. Tylko można sobie powiedzieć, że zdobywamy „Koronę Warszawy". Albo przechodzimy główny szlak Puszczy Kampinoskiej. A znajdą się tacy, co po tolkienowsku wyjdą za próg, będą improwizować i na każdym kroku coś im się wydarzy. Krajoznawstwo dlatego jest fajne, że pozwala na wiele bez nakładania presji.

Wszystko, co widzisz dookoła, to tama. Przed miesiącem ta wielka wierzba wyrastała jakby na środku basenu. Teraz woda już tu nie dopływa. Zobacz, jak niepozorne wydają się ich konstrukcje. Trochę mułu, trochę wikliny, parę patyków, a w efekcie powstaje fosa. Łatwo to przeoczyć.

A tamto drzewo z kolei – też na nie wejdziemy – daje szerokie pole widzenia. Andrzej Stasiuk użył w jakimś wywiadzie frazy „komfort dalekiego patrzenia". Bardzo mi się spodobało, często do niego wracam, bo to jest coś, o co mi chodzi, kiedy wyjeżdżam z miasta. Tam widzę co najwyżej do następnego skrzyżowania, a tu wchodzę na drzewo i widzę płaski naleśnik Mazowsza.

To jeszcze jeden cytat, znowu z Herza. Nauczyciel zabrał kiedyś jego klasę na wycieczkę, zaprowadził w miejsce takie jak to i kazał zamknąć oczy. Kiedy je otwierali, to był moment resetu. Nagłe zauważenie tego, co jest dookoła. Najpierw się śmiali, ale potem nauczyli się doceniać mądrość tego prostego gestu. Zamykasz oczy, otwierasz i świat jest przed tobą w chwili stworzenia.

Wiesz, to, co teraz robisz, jest jak rytuał.

Możemy wracać, prawda?

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

ADAM ROBIŃSKI jest pisarzem, krajoznawcą, certyfikowanym przewodnikiem po Kampinoskim Parku Narodowym i stałym współpracownikiem „TP". Opublikował „Hajstry. Krajobraz bocznych dróg", „Kiczery. Podróż przez Bieszczady" i „Pałace na wodzie. Tropem polskich bobrów".

Na zdjęciach: nad Wisłą na południu Warszawy

PAWEŁ

Bravo: *Chwała chemii*

O połowę spadły w ostatnim roku plony herbaty na Sri Lance. W przypadku ryżu jest trochę lepiej, ale są regiony, gdzie zbiory ledwo starczyły na wyżywienie rolnika z rodziną i nic więcej. Nawet jeśli wydaje się wam, że Ceylon Orange Pekoe to jakiś dziwny napar z kwiatem pomarańczy, a ryż basmati wolicie kupować z Persji (do czego namawiam, jeśli macie taką możliwość), posłuchajcie przez chwilę, bo to nie jest pierwszy lepszy news o kryzysie żywnościowym na dalekiej wyspie.

Jej nieszczęście jest tylko w drobnym stopniu wynikiem ogólnej zwyżki na rynkach energii, inflacji, deficytów budżetowych i zmian klimatu. Tak naprawdę chodzi o ideologiczny szał, polityczne cwaniakowanie i logiczny analfabetyzm. Prezydent kraju zdobył władzę, jadąc na platformie wyborczej o wdzięcznej nazwie „Wizja dobrobytu i obfitości". Obiecywał m.in. zamianę wyspy w jedną wielką oazę rolnictwa organicznego. Kiedy po pandemicznym załamaniu się turystyki rezerwy walutowe kraju mocno spadły, pomyślał sprytnie, że zaoszczędzi dewizy, a zarazem wdroży jedną ze swoich obietnic. Zakazał więc wiosną zeszłego roku importu nawozów sztucznych (oraz wielu środków ochrony roślin). Cofnął też dotacje na ich zakup, które były wszak od kilkudziesięciu lat podstawą tzw. Zielonej Rewolucji.

W ślad za zakazem poszły zapewnienia, że państwo wspomoże rozwój alternatywnych metod wzbogacania gleby i wsparcia upraw. Ale żadna realnie dająca się uzyskać bez wielkich zmian ilość kompostu i podobnych „naturalnych" środków nie była w stanie wpłynąć na fakt, że z dnia na dzień wszystko przestało rosnąć. Co się tyczy obornika – szacowano, że aby wyrównać wyrwę w bilansie azotowym roślin, należałoby go rozrzucić pięć do siedmiu razy więcej niż dotąd. Siedem razy więcej bydła – to dopiero zgnoiłoby wyspę i jej dotychczas jako tako zrównoważone ekosystemy.

Nawet jeśli po paru miesiącach, jeszcze w zeszłym roku, zakaz w pewnym zakresie cofnięto, to nagłego ubytku w plonach oraz luki w finansach rodzin i firm szybko się nie wypełni. Ktoś mógłby ocenić, że to tylko problem z pośpiechem, a np. o połowę mniejsze zbiory herbaty da się sprzedać drożej na prestiżowym rynku organicznych produktów w bogatych krajach... Otóż nie – produkcja herbaty na wyspie jest większa niż cały rynek organicznych herbat na świecie. Gdyby nagle „made in Sri Lanka" zaczęło z definicji oznaczać organiczny status listków, ceny takiego surowca spadłyby natychmiast.

Żeby wyłożyć się nawet na tak prostej matematyce, starczy mieć rozdęte poczucie słuszności nieskażone realiami. A one są takie, że bez względu na znane nam niepożądane skutki tzw. chemii w naszym ziemskim gospodarowaniu jest ona po prostu częścią naszego świata i nie da się z tego wyplątać w ciągu roku czy nawet dekady. Fritz Haber i Carl Bosch... może ktoś kojarzy ich z liceum, ale łatwośmy pozapominali. Wypijcie za ich zdrowie dziś wieczorem – spora część waszych komórek zawiera azot uzyskany dzięki opracowanej przez nich metodzie. Mniej więcej sto lat temu zmieniła ona wszystko, jeśli chodzi o łatwość tworzenia nawozów, które do dziś wzbogacają gleby w przyswajalną postać tego pierwiastka. Czasopismo „Nature" poświęciło kiedyś sporo miejsca na wyliczenie, że połowy obecnej ludzkości by nie było – nikt by nie był w stanie jej wykarmić – gdyby nie wynalazek tych dwóch noblistów.

To są dla mnie prawdziwi bohaterowie *pro-life*. Niestety, Nobla dostali z chemii, a nie literackiego czy choćby pokojowego – choć głód na pewno sprzyja wojnie. Dlatego nikt nie nazwie kolejnego gmachu instytucji unijnych na ich cześć. Tym bardziej że Unia dociska, przynajmniej w sferze deklaracji, antychemiczny pedał. Za osiem lat areały organiczne mają stanowić jedną czwartą całości. Nie brzmi to tak lekkomyślnie, jak eksperyment na Sri Lance, ale pamiętajcie, że wokół powrotów do tzw. natury kręcą się największe kłamstwa dzisiejszej polityki. Obiecywane rolnictwo 3.0 (a może 4.0, straciłem rachubę) może się obyć bez części nawozów i pestycydów, ale kosztem naszpikowania go biotechnologią, elektroniką i genetycznymi modyfikacjami, przy których metoda Habera-Boscha (niezbyt skomplikowana, wymagająca tylko znacznej energii) będzie wyglądać niewinnie. Z antropocenu nie ma wyjść awaryjnych. ©℗

Pożegnawszy truskawki, w oczekiwaniu na pierwsze jabłka i porządne śliwki, możemy w pierwszej połowie lipca skupić się na nowych warzywach, których wreszcie pełno. Bób – no cóż, trzeba go ugotować, po czym dodać mięty i/lub dymki, nic lepszego nie wymyślimy. Ale fasolka szparagowa – o, tę łatwo zmarnować długim gotowaniem i zbyt obfitą zasmażką z bułki. Gotujemy 250 g fasolki szparagowej w osolonym wrzątku, około 5-7 minut, powinna po wyjęciu być jeszcze całkiem twarda. Przekładamy ją prosto z garnka na dużą patelnię, gdzie rozgrzaliśmy 1 łyżkę oliwy z ząbkiem czosnku. Podlewamy paroma łyżkami wody z gotowania i dusimy na średnim ogniu pod przykryciem, kontrolując, czy już mięknie. Zazwyczaj potrzeba kwadransa i jeszcze paru łyżek wody. W trakcie duszenia dodajemy skórkę z jednej cytryny. Pod sam koniec posypujemy natką lub kolendrą (szczodrze!). Zostawiamy pod przykryciem, żeby się aromaty dobrze przegryzły. Smakuje najlepiej na zimno, dokwaszona sokiem z cytryny. Hugh Fearnley-Whittingstall, wielki dla mnie autorytet warzywny, o którym nie raz tu wspominam, radzi zamiast natki dać miętę i pół na pół oliwę z masłem.

ADOBE STOCK

STANISŁAW

Mancewicz:
Namaszczenie

Oto 21 czerwca, w dzień przesilenia letniego, gdy słońce raźno weszło w znak Raka, gdy ludność krajowa od Wschodu do Zachodu, od Północy do Południa wiła wianki i wrzucała je do falującej wody oraz przygotowywała się na Noc Kupały, wicepremier do spraw bezpieczeństwa p. J. Kaczyński zrezygnował z rzekomo kluczowej dla naszego państwa funkcji i wskazał swego następcę. Został nim p. M. Błaszczak.

Znak Raka – cokolwiek to znaczy – jest symbolem trygonu wodnego i domem Księżyca. W astrologii kojarzony jest z podświadomością, jasnowidzeniem i płodnością. Odpowiada macierzyństwu. Rak – zważmy – jako skorupiak chodzący do tyłu spowalnia bieg Słońca. W tym okresie Słońce najdłużej utrzymuje się na nieboskłonie. Wśród neoplatoników istniało przekonanie, iż gwiazdozbiór Raka jest jednym z dwóch wrót, przez które przechodzą dusze i zstępują na Ziemię, by tu zamieszkać w wybranym ciele (Wikipedia). Tyle i aż tyle – chciałoby się rzec. Popatrzmy, co z tego dla nas wynika. O konkret nam chodzi, a nie jakieś zabobony.

W spowolnionym biegu Słońca Ojciec Narodu (tacierzyństwo – zważmy – idzie w parze z macierzyństwem) przestał dbać o nasze bezpieczeństwo, uznając, że p. M. Błaszczak będzie robił to co najmniej tak samo świetnie jak on. Ma on, Ojciec Narodu, wgląd w kondycję dusz i doskonale wie, jak przykro musi być z powodu tej nominacji p. M. Kamińskiemu, obecnemu szefowi policji jawnych, tajnych i dwupłciowych. Onże, to nasza znakomita interpretacja, z powodu odepchnięcia od piersi Ojca zamieszkał teraz w zgryzocie w mrocznym domu Księżyca, bez dostępu do instalacji trygonu wodnego. Tak to widzimy.

Stało się coś bardzo ważnego w historii naszego państwa, a pytania i odpowiedzi w tej sprawie cisną się na usta wszystkim analityczkom i analitykom. Czymże zajmie się Gospodarz w czasie, gdy p. M. Błaszczak będzie czuwał nad naszym dobrostanem? To wszystkich ciekawi. Powiada się, że będzie podróżował po miastach, miasteczkach i wioseczkach, i tamże będzie przede wszystkim strofował – to chyba oczywiste – rozleniwionych działaczy partyjnych, piastujących tysiące jakichś stanowisk, wynagradzanych grubym publicznym groszem. Można by tu przypomnieć – to wtręt z pogranicza lingwistyki i tzw. kultury osobistej – że aktywiści PiS-u powiadają w przypadku konkurentów politycznych o konieczności odrywania takich osobników od koryta. My nie możemy posługiwać się brzydkim językiem i wolimy powiedzieć, że Gospodarz będzie obserwował, sprawdzał i korygował. Będzie napominał i notował. Po to właśnie, by w przyszłym roku, w wyborach, lud nie musiał odrywać od koryta jego znanych z kompetencji ludzi. Podróże to jedno, krajoznawstwo to drugie, spotkania z ciekawymi ludźmi i pytania z sali to trzecie – mamy tu zestaw czynności z każdej kampanii wyborczej, potencjalnie udanej. Słowem, Gospodarz będzie sobie jeździł na białym koniu po kraju, czyli będzie robił to, co umie najlepiej.

A minister, wicepremier p. M. Błaszczak? Czy zasiadłszy, będzie reformował i coś zmieniał? Jeśli idzie o szeroko pojęte bezpieczeństwo: moje, twoje, wasze, nasze? To ciekawe pytanie o tyle, że każde dziecko w Polsce wie, iż stanowisko wicepremiera ds. bezpieczeństwa zostało stworzone *ad hoc*, dla Gospodarza, że było i jest ono stuprocentowo zbędne w strukturze państwa, w koncepcji bezpieczeństwa i w czymkolwiek. Jest merytorycznie puste, choć wyposażone w pensję. Jest, ośmielmy się jednak tak to nazwać – korytkiem samego Gospodarza i powinno być zlikwidowane, skoro ten nie chce przychodzić do tej pracy, lecz woli jeździć na koniku po Polsce, pokrzyczeć sobie na tłuste koty i posłuchać oklasków.

Opinię, że minister, wicepremier p. M. Błaszczak odziedziczył to stanowisko, ponieważ został tym samym namaszczony na następcę po Gospodarzu, przyjmujemy z zaciekawieniem jako ciekawostkę właśnie, ale i osobliwość, bowiem okoliczności wszelkich namaszczeń, i tych pierwszych, i tych ostatnich, studiujemy zawsze z uwagą. Historia świata to historia namaszczeń. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

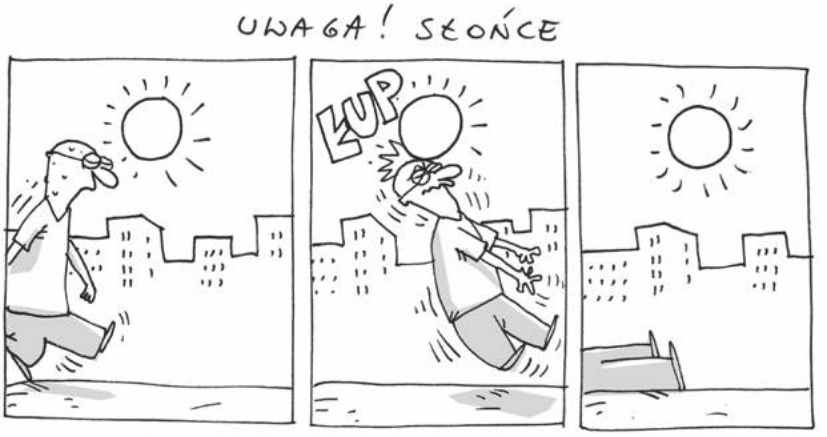

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

REKLAMA

Kraków

sacrum profanum

Festiwal muzyki współczesnej

Kraków | 2-11.09.2022

12 koncertów u schyłku cywilizacji

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

kbf:

sacrumprofanum.com